eprasa.pl 9b8aaefe56

TYLKO DO 26 SIERPNIA

Najlepszy czas na subskrypcję!

TYLKO 9,90 zł za 3 miesiące czytania!

Cena 9,90 zł
za pierwsze 3 miesiące,
następnie 44,90 zł co 3 miesiące
i możesz zrezygnować,
kiedy chcesz

Oferta tylko do 26 sierpnia

Przez całe wakacje czytaj:

- mocne komentarze publicystów, aktualne informacje z Polski i ze świata, wywiady z najważniejszymi ludźmi polityki
- **wszystkie zamknięte artykuły na** wPolityce.pl Premium
- pełne **e-wydanie tygodnika** SIECI wcześniej niż inni, bo już w niedzielę o 18:00
- **w prezencie świetne ebooki Sieci Extra** udostępniane TYLKO subskrybentom

Zamów dziś na **www.siec.wpolityce.pl/oferta**

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 9b8aaefe56

Infantylizm też zabija

To dopiero początek prezydentury Karola Nawrockiego, ale ten początek, także w sferze polityki międzynarodowej, jest naprawdę świetny. 3 września robocza wizyta w Białym Domu, a to będzie niepełny miesiąc od zaprzysiężenia. Wielu przywódców latami czeka na taką możliwość. Do tego udział w bardzo ważnej rozmowie z prezydentem Donaldem Trumpem przed kluczowym szczytem w sprawie przyszłości Ukrainy.

Prezydent Nawrocki jest tam, gdzie zapadają decyzje. Przypomnijmy – premier Tusk do Kijowa jechał w wagonie drugiej klasy, a dziś siedzi w przedsionku, i to nie tylko w obszarze relacji ze Stanami Zjednoczonymi, lecz także w obszarze europejskim. Nie słychać przecież, by kanclerz Niemiec Friedrich Merz walczył o niego. Choć to akurat nie może dziwić. Tusk przestał być opłacalną inwestycją dla Berlina i Brukseli. Miał w ręku wszystkie narzędzia, podeptał konstytucję i ustawy, sięgnął po twarde represje, a jednak przegrał najważniejszą bitwę, tę z 1 czerwca. Teraz słyszy: „Co jeszcze musiałbyś mieć, żeby wygrać? Na co jeszcze mielibyśmy ci pozwolić, by twój kandydat pokonał polskich patriotów?". Premier nie ma na to pytanie wiarygodnej odpowiedzi. Wie, że jego upadek jest kwestią czasu.

Niech nam nie umknie istota sprawy: wyeliminowanie Tuska z zasadniczej rozmowy w sprawie przyszłości Ukrainy to kolejne potwierdzenie, że w tak niebezpiecznym momencie dziejowym polski premier i szef polskiej dyplomacji są osobami, z którymi władze USA, naszego najważniejszego sojusznika, nie chcą mieć nic do czynienia. Do tego stopnia, że prezydent Trump osobiście decyduje: chcę na linii telefonicznej prezydenta Nawrockiego, nie chcę premiera Tuska. To więcej niż polityczny policzek – to cios o wadze być może nokautującej w dłuższej perspektywie.

Niestety to także czynnik, który szkodzi interesom naszego państwa. Bo relacje z USA nie są polem PR-owej rozgrywki – one są polem, na którym decyduje się kwestia naszej niepodległości. Kto tego nie rozumie, kto bez uzasadnionej przyczyny trzyma na placówce w Waszyngtonie osobę niemile tam widzianą, ten kupczy sprawami zasadniczymi.

W tle mamy aferę KPO, który to skrót niektórzy rozwijają jako „Koryto Platformy Obywatelskiej", inni – „Kasa Platformy Obywatelskiej", a jeszcze inni – „Koniec Platformy Obywatelskiej". W każdym razie to naprawdę gruba afera. Pieniądze trafiły do swoich, a informacja o sierpniowym „złotym deszczu" była starannie skrywana. Nie przeprowadzono żadnej akcji informacyjnej, zabrakło kampanii w mediach czy w internecie. Była informacja dla wybranych, po linii politycznej, środowiskowej. Przykładów aż nadto. Rząd z jednej strony twierdzi, że afery nie ma, z drugiej – zwala winę na poprzedników, a co więcej, ustami minister Pełczyńskiej-Nałęcz grzmi o „grupie twitterowych, netowych aferzystów, którzy rozkręcają antyunijną, antyfunduszową hecę z ogromną szkodą dla samego projektu, jak i beneficjentów". Te słowa zostaną zapamiętane, bo zabrzmiały wyjątkowo kiepsko. W XXI w. nie można sądzić, że wydawanie pieniędzy – które są przecież pożyczką – na prywatne jachty, solaria, kluby dla swingersów przejdzie bez echa. Że uznamy, iż „taki mamy klimat", tak ma być, wszystko jest w porządku. Nic nie jest w porządku, Polacy mają prawo się oburzać.

Ale nasze oburzenie powinno sięgać głębiej niż w przypadku oczywistych „wałków" w tej sprawie. Powinniśmy się oburzać na bezdenną głupotę całego projektu rozdawania pieniędzy na dobra luksusowe, na przedsięwzięcia, które nie przyniosą polskiej gospodarce żadnej długofalowej korzyści, które nie są związane choćby nawet z iluzoryczną szansą na trwały rozwój, na innowacyjność. Tak pieniądze wydają bardzo prymitywne plemiona: na błyskotki, bieżącą konsumpcję, bez żadnego planu, bez przemyślenia. Ot, rozrzucenie pieniędzy nad wybranym obszarem. Takie państwo nie ma prawa przetrwać w coraz bardziej brutalnym świecie. Ten skrajny infantylizm to w długiej perspektywie poważne zagrożenie dla naszej państwowości. Zagrożenie równie wielkie co agresja zewnętrzna. To już zresztą widać w liczbach opisujących lawinowo rosnący deficyt w finansach państwa.

Jacek Karnowski

Autopromocja

eprasa.pl 9b8aaefe56

SIECI spis treści

31 Nawrocki w Białym Domu
Marek Budzisz

37 Kłopotliwi goście
Konrad Kołodziejski

68 Triumf kobiet
Stanisław Janecki

NA POCZĄTEK

5 **NIE AFERA, SYSTEM**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **SCENY INTYMNE**
Krzysztof Feusette

9 **WOJNA NA USTAWY**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **TUSKOWA PUŁAPKA WIATRAKOWA: SZANTAŻ MROŻENIEM CEN I EUROPEJSKI ZIELONY KOSZMAR**
Daniel Obajtek

13 **SZLAK BEZPIECZEŃSTWA I NIEPODLEGŁOŚCI**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA ALEKSANDRY SŁAWIŃSKIEJ**
Michał Korsun

16 **KPO = KARYKATURA PLANU ODBUDOWY**
Jan Pietrzak

16 **CO TAK BOLI TVN?**
Samuel Pereira

17 **PIEKIEŁKO TUSKA?**
Arkadiusz Mularczyk

18 **RANKING AMANTÓW**
Jolanta Gajda-Zadworna

20 **WIELKA POLSKA OD ZARAZ!**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

22 **JACHTY, CZYLI OŚMIORNICZKI 2.0**
Marek Pyza

26 **WIELKIE KŁAMSTWO O 100 MILIARDACH**
Łukasz Wróblewski

KRAJ

28 **NOWE ROZDANIE HOŁOWNI**
Stanisław Janecki

31 **NAWROCKI W BIAŁYM DOMU**
Marek Budzisz

34 **NATURALNIE I Z KLASĄ**
Dorota Łosiewicz

37 **KŁOPOTLIWI GOŚCIE**
Konrad Kołodziejski

40 **PATODEWELOPER W POZNAŃSKIM RATUSZU**
Piotr Gursztyn

43 **NAWROCKI ROZMAWIA wPOLSCE**
Łukasz Wróblewski

ŚWIAT

44 **GRUPA KOPERNIKA OSTRZEGA**
Aleksandra Rybińska

48 **SIŁA KONSERWATYZMU**
Z dr. Miklósem Szánthó rozmawia Goran Andrijanić

OPINIE

50 **PIERWSZY TYDZIEŃ PREZYDENTA**
Jan Rokita

53 **POLSKO-POLSKA WOJNA – CZYŻBY?**
Romuald Szeremietiew

56 **KTO POLAK, A KTO NIEMIEC?**
Maciej Walaszczyk

HISTORIA

58 **BRYGADA ŚWIĘTOKRZYSKA – SPÓR O KLABORACJĘ, SPÓR O POLSKĘ**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

61 **ŚWIETLISTA LATARNIA**
Jolanta Gajda-Zadworna

64 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

66 **МАРКУС ВОЛЬФ, ANGRY BIRDS I STASI**
Robert Tekieli

SPORT

68 **TRIUMF KOBIET**
Stanisław Janecki

KUCHNIA

71 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **O DNIU ÓW...**
Ryszard Czarnecki

74 **TYGODNIK DLA LUDZI NA POZIOMIE**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

eprasa.pl 9b8aaefe56

BRONISŁAW WILDSTEIN

Nie afera, system

Skoro wiemy już, na co poszły pieniądze z KPO, warto przypomnieć, że np. odrzucone zostały wnioski centrów onkologii, które koordynują leczenie na cały kraj: z Warszawy, Bydgoszczy, Opola, Brzozowa, Lublina i Kielc.

„Połowa albo i większość moich znajomych, rodziny bliższej i dalszej też, dostała dofinansowania w ramach HoReCa" – oświadczyła posłanka KO Katarzyna Królak. W ten sposób uzasadniała, dlaczego dotacja z KPO dla żony najbogatszego parlamentarzysty Artura Łąckiego (KO, naturalnie) nie jest niczym niezwykłym. Na drugi dzień polityk tłumaczyła, że się... przejęzyczyła.

Przeglądając listę beneficjentów KPO, odkrywamy jednak, że jej „przejęzyczenie" oddaje stan rzeczy. Janusz Kowalski wyliczył kilku odbiorców dotacji z Opola. Na usługi cateringowe ponad 400 tys. zł dostaje restaurator, którego lokal eksponował „osiem gwiazdek" w trakcie rządów PiS. Jego ojciec wpłacił kilkadziesiąt tysięcy złotych na konto Platformy Obywatelskiej w 2023 r. Ponad 500 tys. zł na „mobilne apartamenty" otrzymuje właściciel firmy „filmowej" znany głównie z ataków na PiS, Kościół i Karola Nawrockiego. Chyba najdroższa w województwie restauracja Starka w centrum Opola, znana z akcji wymierzonych w TVP za czasów PiS, dostaje ponad 400 tys. zł na usługi cateringowe.

Bruksela nie przekazała jeszcze funduszy KPO do Polski, a zatem dotacje wypłacane są z budżetu państwa. Ponieważ afera jest już szeroko znana, KE wystąpiła do polskiego rządu o jej zbadanie. Możliwe więc, że pieniędzy z KPO, a w każdym razie całej ich sumy, nie zobaczymy. Tak czy owak są to kredyty, które będziemy musieli zwrócić.

Sprawa KPO odsłania mechanizm „pomocy" unijnej w celach propagandowych radykalnie zmistyfikowanej i przeszacowanej w Polsce. To spaczenie realnej konkurencji, które prowadzi do degeneracji gospodarki. W minionym roku powstał specyficzny rynek handlu przedsiębiorstwami, które miały możliwości uzyskać dotacje z KPO. Efekt jest taki, że nawet gdybyśmy uznali sens tego programu, to praktyka zasadniczo rozmija się z założonymi celami. Nie tymi jednak, które postawiła sobie KO, czyli wynagrodzeniem swoich polityków i stronników.

Królak nie tylko powiedziała prawdę, lecz także oddała mentalność dominującej oligarchii, która uznaje za oczywiste, że to jej należą się państwowe środki.

Można uznać to za formę modelu gospodarki polaryzacyjno-dyfuzyjnej lansowanej przez PO za czasów jej pierwszych rządów. Rozwój metropolii, o co dbał rząd, miał za sobą pociągnąć resztę kraju. Nowa wersja programu oznacza pompowanie środków w środowiska związane z obecną władzą. Na tym ma polegać rozkwit Polski.

Donald Tusk znowu się wściekł, raz na jachcie zakupionym prawdopodobnie na konto KPO, potem w samolocie, w którym odradzał nam podróże lotnicze. Mamy szczęście, że szef rządu jest tak szczerze oburzony jego praktykami. I na pewno okaże się, że to koalicjanci są odpowiedzialni za aferę.

KPO bezpośrednio zajmuje się Jacek Karnowski, wiceminister z KO. Pamiętając go jako prezydenta Sopotu, powinniśmy spodziewać się dokładnie tego, co dzieje się obecnie. W tej sprawie jednak okaże się pewnie czysty jak łza. A nawet jeśli nie, to tym bardziej powinniśmy współczuć Tuskowi postawy przyjaciela.

Liberalna demokracja to merytokracja, czyli system budowany według zasług. Zdobywane są one w walce z populizmem, a zatem z tymi, którzy chcieliby zrewidować coraz bardziej sztywną hierarchię układu społecznego. Populiści nie liczą się z autorytetami, takimi jak profesorowie Andrzej Zoll czy Marek Safjan, i chcą samodzielnie czytać konstytucję. Nie uważają, że Janowi Kulczykowi i jego dzieciom przysługiwać winny szczególne prawa. Populiści negują obywatelski charakter przedsięwzięć za pieniądze zagranicznych miliarderów, a uznają za takie obronę polskich granic. Populiści uważają nawet, że mają prawo do wyboru władz państwa. Dlatego populistów należy niszczyć wszelkimi sposobami i wynagradzać elitę, a więc lepszych, mądrzejszych i piękniejszych. A tacy zapisują się do KO i ją wspierają.

Oto metoda działania liberalnej demokracji dziś. Tworzy ją górna warstwa społeczeństwa, zespół powiązanych ze sobą osób i środowisk osadzonych na kluczowych pozycjach w państwie, które zasila ich finansowo i prestiżowo. W ten sposób powstaje układ, który kontroluje całość życia społecznego. Zorganizowana mniejszość zawsze będzie miała przewagę nad niezorganizowaną większością. Współpracująca ze sobą na zasadzie sieci, świadoma swojego interesu grupa buduje coraz bardziej szczelny i totalny system, który panuje we wszystkich domenach społecznych. Ten układ kontroluje sferę publiczną, w tym politykę, i wyłania swoich reprezentantów do oficjalnego sprawowania władzy. Jako populistów zwalcza ugrupowania, które pojawiają się z zewnątrz i występują w imieniu ubezwłasnowolnionych narodów.

Sprawa KPO to nie afera, to model działania.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9b8aaefe56

Sygnalista nadaje

Donald! Co? KPO! Tak zaczynamy nasz cotygodniowy przegląd sukcesów rządu koalicji 15 października łamane na 13 grudnia.

Donald oblał się wodą pod hasłem: „Szybciej, wygodniej, bez turbulencji". Premier znów ukazał się nam jako mistrz PR i naczelny influencer kraju. Oblał się w samolocie. Z humorem i na luzie. Całe społeczeństwo zachwyca się filmikami z premierem. Bo jest na nich taki spontaniczny, naturalny i młodzieżowy. A premier jest zachwycony sobą jeszcze bardziej. PS Filmikiem z premierem oblewającym się wodą zainteresowali się producenci sucharów. Twierdzą, że bardzo im się przyda do reklamowania tego produktu.

Kaśka Pełczyńska-Nałęcz ogłosiła w sprawie dotacji z KPO: wszystko sprawdzimy, mysz się nie prześlizgnie! To jasne. Nam nie trzeba tego tłumaczyć. KPO nie jest programem dla szarych myszek i innych małych robaczków. KPO to program dla grubych ryb i dużych misiów. I nie jest prawdą, że pieniądze na jachty i kluby swingersów dawano, jak leci, każdemu i bez sprawdzenia. Kryteria dostępu były bardzo rygorystyczne. Dostawali tylko sprawdzeni przedsiębiorcy. Sprawdzeni w rejestrze wpłat na partie polityczne. Co zrozumiałe, warunkiem było wpłacanie tylko na ugrupowania prawdziwie demokratyczne. Plus 10 proc. dla pośrednika.

Rząd premiera Donalda Franciszka Tuska przechodzi do historii. A to dzięki monumentalnym inwestycjom możliwym tylko dlatego, że zostały odblokowane środki z KPO. Gdyby nie rząd premiera, to Polaczki z Ten Kraju nie wiedziałyby, że istnieje coś takiego jak obwodnice. Zawdzięczamy to temu rządowi Ten Kraju – 19,4 km obwodnic. Imponująca liczba. Zwłaszcza gdy dodamy do tego kwotę, która na to poszła: 2,3 mld zł. Czyli 120 mln za kilometr. Takich luksusowych obwodnic nie mają nawet w Dubaju.

Popatrzmy na człowieka, który powinien być wzorem dla nas wszystkich. Wzorem umiaru, taktu i kultury osobistej. ***Artur Łącki***, najbogatszy poseł, a taki skromny. Tylko 60 mln w nieruchomościach, kilka fur, zegarki jak z muzeum, a pobrał z KPO jedynie 1 mln zł. Dokładniej wzięła to Wioleta, stara Artura. Na bardzo potrzebne, innowacyjne i prorozwojowego rzeczy – remont sali konferencyjnej i budowę ogrodu zimowego. I jak delikatnie poseł odpowiada zawistnikom, którzy rzucili się na tę parę naszych ludzi sukcesu tylko za to, że skorzystali z tego, co i tak im się należało od życia. Poza tym rodzina Łąckich wzięła tylko 1 mln zł. Dla was, bidoki, to abstrakcja, a dla nich – wystarczy tylko na waciki. Nie macie ogrodu zimowego? I nie będziecie mieć, a jak chcecie obejrzeć, to jedźcie do Pobierowa. Można popatrzeć przez płot.

Teraz kolej na przedstawienie kolejnego człowieka sukcesu. To osoba poselska ***Królak Katarzyna*** z Iławy. „Żyjemy w świecie, w którym każdy może pisać wnioski" – powiedziała pani poseł o dotacjach z KPO.

eprasa.pl 9b8aaefe56

I jest to prawda, tak samo jak to, że hołota nie potrafi pisać wniosków i dlatego jest hołotą. I nie dostaje dotacji. A rodzina i znajomi pani poseł Królak nie są hołotą i dostają (według informacji udzielonych przez panią poseł ponad połowa z nich). Prawda, że to proste? Dzięki takim ludziom mamy warmińsko-mazurski cud gospodarczy.

I jeszcze jeden człowiek sukcesu. Ostatnio opinia publiczna sądziła, że to idiota, a tymczasem to wyrafinowany cwany gapa. ***Dr Krzysztof „Anomalia" Kontek***. To ten Sherlock z SGH (chociaż SGH się do niego nie przyznaje), idol Silnych Razem i natchnienie Romana Giertycha, który dzięki jego inspiracji nie może się oderwać od ponownego przeliczania głosów. Jest zresztą szansa, że mecenas Giertych wyrobi się z przeliczaniem głosów do 2030 r. i wtedy nie trzeba będzie robić wyborów prezydenckich, bo okaże się, że wybory 2025 wygrał jednak Rafał. Tak więc dr Kontek, niesłusznie do tej pory uważany za kompletnego idiotę, wyciągnął z KPO symboliczne 1,5 mln zł na program zwalczania uprzedzeń i manipulacji jurorów w konkursach muzycznych i inne takie tam. I kto tu jest idiotą? Nie on, frajerzy, ale wy wszyscy nimi jesteście, bo wy go będziecie spłacać.

Rząd pamięta również o ludziach kultury. Tu także mysz się nie prześlizgnęła, lecz jedynie najlepsze wnioski. Oto kilka przykładowych: „Interaktywna instalacja ekologiczna z recyclingu butelek PET w rytmie techno" – bardzo oszczędny wniosek, tylko 200 tys. zł. „Ekofeminizm w Praktyce Osób Artystycznych z Ameryki Południowej" – taniocha, 25 tys. „Udział w kursie „The Menstruality Leadership Programme"" – jeszcze skromniej, 20 tys.

Sumując tę całą pseudoaferę (jak słusznie nazywa ją „Gazeta Wyborcza"): lepiej, jak społeczeństwo będzie spłacało jachty, niż płaciło 800+ pińcsetplusom. Biznesmeni z jachtami są bardziej sexy i glamour, a pińcsetplusy to tacy ludzie, że przez nich lepiej nie przyznawać się za granicą, że jesteśmy z Ten Kraju. I wtedy lepiej udawać, że nie mówimy po polsku. Pińcsetplusy to ludzie, którzy do Dino poszliby nawet w miasteczku Wilanów. Królowie socjalu! Wszystko by chcieli dostać od państwa za darmo. Nie to co przedsiębiorcy z branży HoReCa. Oni, sól tej ziemi, do wszystkiego doszli sami, do wszystkiego dopłacają, nic im się nie opłaca i nie wyciągają ręki do państwa. Chyba że po jakiś symboliczny nieduży jacht (bo za 500 tys. można kupić tylko małą łajbę). Poza tym nadużycia w HoReCa to wina PiS, bo PiS to wymyśliło, no i zresztą PiS zawsze jest winne.

Jeszcze ogłoszenie! Zlot miłośników KPO HoReCa w Lublińcu. Klub swingersów. Obowiązują stroje niekrępujące. KPO Kultura też będzie mile widziana. Rafał, właściciel klubu, zaprosił też premiera. To ładna inicjatywa. Ale czy pamiętał o zaproszeniu osoby towarzyszącej? Przecież pani Kristinie albo Barbarze byłoby przykro, gdyby zostały pominięte.

Ten zjazd w klubie swingersów jest bardzo potrzebny. Pod hasłem: „Murem za jachtami z HoReCa". W mediach (tych, które są prawdziwymi mediami, a nie tubami PiS) mamy wysyp wstrząsających świadectw o męczeństwie beneficjentów. Jedna pani, która wzięła jacht, aby zdywersyfikować swój biznes kebabowy, opowiada o tsunami hejtu i linczu. Inny pan, też skromny biznesmen z zaledwie dwoma nowymi jachtami, opowiada wyciskające łzy historie o tym, że motłoch odwołuje rezerwacje w jego zdywersyfikowanym hotelu. I nazywa go złodziejem. A przecież jest na to rada. Wystarczy, że policja i prokuratura potraktuje tę niewdzięczną i bezrozumną hołotę jak tych wszystkich, którzy obrażają majestat świętego Jurasa Owsiaka. Skończy się, jak nożem uciął!

Rozrywający serca wywiad udzielił minister – już nie sędzia – Waldek Żurek. Masa ciekawych rzeczy. M.in. taka: o względy Waldka Żurka biły się wszystkie ugrupowania. A on odmawiał, bo ma poczucie misji. I jak wiadomo, jest bardzo bezinteresowny. Przyszedł nawet ktoś z PiS. To znaczy niby nie przyszedł, ale jednak przyszedł. Tak to Waldek opisuje: „PiS nie, ale przyszedł zausznik, który proponował, żebym przeszedł na ich stronę mocy, i odbył ze mną dwie rozmowy. Nie chcę tutaj mówić o szczegółach. Kiedyś może opowiem w pamiętnikach, jeśli zdążę je napisać, kto to był i od kogo przychodził. Zdziwilibyście się państwo". Niezłomny Waldek odmówił, czego szczerze gratulujemy prawicy. Bo popełniła masę błędów i głupstw, więc dobrze, że uniknęła chociaż tego nieszczęścia.

Skandal stulecia! Teściowie tego Nawrockiego i jego matka siedzieli na balkonie w Belwederze. A córka jeździła na hulajnodze. Co Europa o nas pomyśli? Jak tak dalej pójdzie, to urządzą tam grilla z kiełbasą przy dźwiękach disco-polo. A wtedy to już na pewno wyrzucą nas z Unii. Obciach na skalę globalną. Jest tylko jeden sposób, aby to naprawić. Ten Nawrocki musi za wszystko przeprosić i oddać prezydenturę Rafałowi. Jest nadzieja, że mecenas Giertych uzna to za okoliczność łagodzącą.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Ludmyła Skwarczyńska, Polskie Radio, Wikipedia

eprasa.pl 9b8aaefe56

Sceny intymne

Krzysztof Feusette

Tusk: Halo?! Jest 4 rano! Jeszcze raz, kierwa, zadzwonisz, to ci zrobię taki pogłos w pustostanie, że ci uszy odpadną!
Głos 1: Dzień dobry!
Tusk: Chyba dobranoc!
Głos 1: Ja po jacht.
Tusk: Jaki, kierwa, jacht?!
Głos 1: No normalnie, na pizzerię.
Tusk: Jaką, kierwa, pizzerię?!
Głos 1: U Rudego. A co?
Tusk: A jajco! Jacht na pizzerię? Czy pani oszalała?!
Głos 1: A z kim w ogóle rozmawiam?
Tusk: Z prezesem Rady Ministrów!
Głos 1: Ale... przecież... pan miał nic nie wiedzieć...
Tusk: Miałem, ale się dowiedziałem. Przepraszam, ale mam drugi telefon! Słucham!
Głos 2: Moje nazwisko Łącka. Mój mąż jest z zawodu posłem niezawodowym, to znaczy spotkał mnie zawód, że on został dokładnie takim samym politykiem, jak mąż. I on mnie pyta: „A może byśmy sobie żaglowiec pierd...lnęli? Żeby frajerzy wiedzieli?". Proszę pana, my mamy ponad 80 mln zł polskich, nie licząc niepolskich, więc mu mówię: „A po co ci to wszystko, skoro i tak nie możesz mieć wszystkiego, a już najpewniej nie mnie?". Tak mu powiedziałam. Bo muszę teraz odnowić salę konferencyjną, gdyż nie mam nawet lokalu, to znaczy mam na oku, a na oko to mąż już z siedem dotacji przytulił, gdyż nie chcemy przeginać. To znaczy aż za dobrze znamy słowo „pożyczka", natomiast to, że wszyscy mają spłacać ogród zimowy najbogatszego posła, to jest takie dziwne? Ile pieniędzy mąż łożył na... przepraszam, ale nie jestem upoważniona tak do końca... w każdym razie, mnie żaden jacht nie jest potrzebny. Moja dywersyfikacja ma polegać na tym, że jeśli COVID-19 zabierze turystów z naszej pralni, to znaczy pralni turystów, muszę sobie na spokojnie usiąść i to przemyśleć. Nawet jeśli w maseczce. To jak będzie z tym ogrodem? Bo zima za pasem, jak to mówią...
Tusk: Nie mówię „nie". Bardzo lubię pani męża, zwłaszcza majątek budzi szacunek, więc myślę, że taki ogród, ale zimowy, oczywiście, no i ta sala na oku, bardzo by się Polsce przydały. Zwłaszcza że kryteria mamy poluzowane. Sorry, muszę odebrać... Halo?
Głos 3: Mówię cicho, bo już raz wziąłem. To znaczy kupiłem firmę w upadku, bo kuzyn jest radnym, i teraz jest mi potrzebne solarium... Żeby sobie turysta, dajmy na to z Niemiec, mógł się poopalać z kebabem. Albo falafelem. Aha, bo bym zapomniał: j...bać PiS!
Tusk: J...bać.
Głos 3: I Konfederację!
Tusk: Zobaczymy. Przepraszam, drugi telefon, to znaczy czwarty już chyba. Ja tę Pełczyńską zabiję!
Głos 4: Siema! Czy ekspresy jeszcze są?
Tusk: W sensie pociągu?
Głos 4: Za szybko łączysz kropki, facet. Mnie edukacja nie interesuje. Masz coś do pisania?
Tusk: Wyłącznie wspomnienia.
Głos 4: Jakby co, to ja znam każdego klawisza w Trójmieście.
Tusk: Fajnie. A o co chodzi?
Głos 4: O ten ekspres, co nie chodzi. Co się tak dopytujesz?
Tusk: Bo mi, proszę pana, tu wyjeżdżają z KPO na kulturę. Hotelarstwo to jest przy tym pikuś. O, znowu dzwoni...
Głos 5: Halo? Halo? Halo!
Tusk: Co się pan tak drze?
Głos 5: Bo premier mówił, żeby szybko. A ja się chyba spóźniłem...
Tusk: Na się co pan zapisał?
Głos 5: No właśnie wolałbym nie zdradzać, bo to ma być niespodzianka. Ministrowie wchodzą za darmo, a pan premier czerwonym dywanem.
Tusk: Lotnisko?!
Głos 5: Aż tyle to na turystykę chyba nie ma. To ma być skromny klub swingersów. To znaczy takich, co lubią, że tak powiem, oddawać się...
Tusk: A co ja mam do tego?
Głos 5: No nie wiem, myśleliśmy...
Tusk: Od myślenia to ja mam Kierwińskiego i Szłapkę. Chwileczkę, bo znowu dzwoni... Halo?
Głos 6: Dzień dobry, ja w sprawie intymnej...
Tusk: To ty, Barbaro?
Głos 6: Akurat nie Barbara, natomiast ja też bym chciała...
Tusk: Ale co?
Głos 6: KPO.
Tusk: Jachtów nie ma.
Głos 6: Szkoda, bo by się przydał. W Dubaju na jachtach to są takie imprezy...
Tusk: Proszę konkretnie!
Głos 6: Potrzebuję dotację na szkolenie.
Tusk: Z zakresu?
Głos 6: Choreografia scen intymnych.
Tusk: Chore... co?
Głos 6: Sceny intymne w kinie i teatrze. Koordynacja, układ, ćwiczenia.
Tusk: Jest pani aktorką?
Głos 6: Oczywiście, wystąpiłam nawet w telenoweli.
Tusk: Aha. No to jak tak, to tak, oczywiście. Jestem bardzo za koordynacją. Zwłaszcza scen intymnych. Przepraszam, bo ktoś się dobija... KPO, słucham? To znaczy, Kancelaria Premiera...
Głos 7: Czy można coś zaśpiewać?
Tusk: Ale po co?
Głos 7: No więc wykonam utwór „Hej, Jude"...
Tusk: Czemu akurat ten?
Głos 7: Bo premier lubi. 7 mln milionów kosztowało, jak pan śpiewał, ale wyszło wspaniale.
Tusk: Bardzo dziękuję. Widzę, że zna się pani na śpiewie. A KPO na co by się pani przydało?
Głos 7: Chodzi o śpiew online.
Tusk: Nie znam. Kojarzę operowy i ten, no, chóralny. To jest jakaś innowacja?
Głos 7: Innowacja i dywersyfikacja. Bo normalnie to pracuję w sklepie. Ale pomyślałam: każdy się teraz dywersyfikuje – przynajmniej na rok, zanim nie opchnie jachtu – to ja będę uczyła śpiewu. Online. W maseczkach. Bo bezpieczeństwo jest najważniejsze.
Tusk: 500 tys. mogę dać, nie więcej. I tak już za dużo ludzi się dowiedziało. Ja to akurat czekam na edukacyjne. Muszę poćwiczyć hiszpański, bo z Peru nie ma ekstradycji. A z tą czapką, co mi dali, to jeszcze mogę wziąć na szydełkowanie.

eprasa.pl 9b8aaefe56

Wojna na ustawy

Prezydent już szykuje kolejny prezent dla rządu: inicjatywę ustawodawczą podnoszącą kwotę wolną od podatku do 60 tys. zł, czyli realizację sztandarowej zapowiedzi Tuska z kampanii 2023 r.

W Polsce trwa bezprecedensowa bitwa na ustawy. Prezydent Karol Nawrocki zasypuje rząd i Sejm kolejnymi inicjatywami ustawodawczymi. Projekty latają prawie jak konfetti, a prezydent robi po prostu to, co zapowiadał w kampanii.

Pierwszy był projekt dotyczący CPK, który zakłada ukończenie budowy lotniska pod Baranowem do grudnia 2031 r., a także rozwój linii kolejowych. Kolejny projekt ustawy dotyczy zerowego PIT dla rodzin, które mają dwoje lub więcej dzieci. Był też projekt inicjatywy ustawodawczej w sprawie ochrony polskiej wsi. Rząd nie pozostaje dłużny i chce złapać prezydenta w inną ustawową pułapkę, czyli ustawę wiatrakową, w której rząd sprytnie „zaszył" prezent dla obywateli – zamrożenie cen prądu. Brzmi pięknie, ale w pakiecie jest też bonus: wiatraki mogą stanąć 500 m od twojej sypialni, czyli mniej więcej w odległości, w której przy silnym wietrze można usłyszeć ich cichutkie „świst, świst" nad poranną kawą. Rząd tak przygotował ustawę, że jak prezydent ją zawetuje, to usłużne media zawyją: „Nawrocki zabiera wam tańszy prąd!". Jak ją podpisze, to wiatraki znajdą się w zasięgu rzutu kaloszem! Z tą ustawą jest jak z ciastkiem z niespodzianką: na wierzchu bita śmietana (taniej za prąd), w środku niespodziewany kawałek śledzia (wiatrak za oknem). Ale głowa państwa nie da się złapać w pułapkę – zapowiada własny projekt dotyczący cen energii, a ustawę wiatrakową planuje zawetować.

Jednak prezydent już szykuje kolejny prezent dla rządu. Gdzieś w kolejce stoi inicjatywa ustawodawcza podnosząca kwotę wolną od podatku do 60 tys. zł, czyli realizacja sztandarowej zapowiedzi Donalda Tuska z kampanii 2023 r. Sama zapowiedź tej ustawy wywołuje drgawki w rządzie. Donald Tusk i Andrzej Domański już muszą kombinować, jak zablokować tę inicjatywę bez ośmieszenia własnych obietnic. Europoseł Michał Szczerba w radiowej Trójce z wyrazem troski na twarzy ogłosił: „To rozrzutność!". A pomyślał pewnie: „No chyba że my byśmy to wprowadzili, wtedy byłaby to reforma godna Nobla". Szczerba zapowiedział także działania odwetowe: „karne cięcia" w budżecie Kancelarii Prezydenta RP: „Prezydent [...] powinien porozmawiać z ministrem finansów i zorientować się, jaka jest sytuacja budżetowa, bo za chwilę może się okazać, że jego kancelaria nie będzie miała wystarczającej liczby środków, jak będzie forsował takie podejście rozrzutności" – wypalił Szczerba. Ale się myli, jeśli sądzi, że doradcy głowy państwa od teraz będą musieli pracować na własnych laptopach, a flaga RP zniknie z balkonu z powodu zbyt wysokich kosztów prasowania.

Z kolei Aleksandra Gajewska zarzuciła prezydentowi, że „rzuca rządowi kłody pod nogi", a przecież mogła powiedzieć: „To nie tylko kłody, to wręcz dębowe polana! I to jeszcze z drzazgami!". Minister finansów, który od półtora roku opowiada o pracach nad ustawą o kwocie wolnej od podatku, pytany w TVP Info w likwidacji o zapowiedzianą inicjatywę prezydenta w tej sprawie, stwierdził, że finansowanie tego projektu z uszczelnienia VAT to... bajka. Dodał też, że składanie takich propozycji stanowi próbę wysadzenia rządu w powietrze i torpedowanie jego prac. Domański dodał też: „My w tej chwili wydajemy niemal 5 proc. naszego PKB na obronę. Najwięcej spośród wszystkich państw NATO. Jeżeli ktoś przedstawia projekty, które wiążą się z potężnymi wydatkami z budżetu, to należy sobie zadać pytanie, czy tym samym nie uderza w możliwości sfinansowania z budżetu wydatków na obronę, na bezpieczeństwo Polaków".

Ktoś mógłby zapytać, dlaczego minister Domański tak ostro krytykuje Donalda Tuska, skoro to była jego przedwyborcza obietnica, a nawet jeden ze 100 konkretów. Ostatecznie zawsze można powiedzieć, że wyborcy źle zrozumieli intencje premiera, bo przecież chodziło o 60 tys. moralnego wsparcia. Można też tłumaczyć, że wcale nie chodziło o 100 dni, a o 100 lat. W końcu wyborcy PO już się przyzwyczaili, że dwa razy obiecać, to jak raz dać oraz że obietnice obowiązują tylko tych, którzy w nie wierzą.

Dorota Łosiewicz

Demokracja pod nadzorem

„Cała twórczość J.R.R. Tolkiena odzwierciedla konserwatywny sposób myślenia, co jest szczególnie cenne". Zdanie wyrwane z recenzji literackiej? Opinia premier Włoch Giorgii Meloni, znanej fanki twórczości brytyjskiego pisarza? Bynajmniej. Jest to wypowiedź polityka Alternatywy dla Niemiec (AfD) Joachima Paula, byłego już kandydata na burmistrza miasta Ludwigshafen.

Znalazła się ona w raporcie kontrwywiadu, który zleciła burmistrz Ludwigshafen Jutta Steinruck i zarazem rywalka Paula w wyborach municypalnych (do 2023 r. członkini SPD). Według dziennika „Die Welt" jedenastostronicowy dokument jest po prostu „absurdalny". Oprócz pretensji o literackie preferencje kandydata AfD zarzuca mu się także, że chciał skłonić ekipę filmową kręcącą kolejną wersję „Pieśni o Nibelungach", aby uczyniła to w Nadrenii-Palatynacie, gdzie znajduje się Ludwigshafen. „Dla niego ten film ma ogromne znaczenie w kontekście dumy narodowej" – głosi raport agentów miejscowego oddziału Urzędu Ochrony Konstytucji.

Można by się z tego śmiać, gdyby nie to, że w następstwie raportu zleconego przez wyborczą konkurentkę Paul został wykluczony z wyborów. Kontrwywiad doszedł bowiem do wniosku, że „kandydat AfD może być nielojalny wobec konstytucji". Zdaniem „Die Welt" zupełnie bezpodstawnie, na podstawie plotek, domysłów i podciągania wszystkiego, co się da, pod prawicowy ekstremizm. „Odkąd [była szefowa MSW] Nancy Faeser przekształciła Federalny Urząd Ochrony Konstytucji w agencję badającą poglądy polityczne, wszelki rozsądek wyparował z głów urzędników tej instytucji" – czytamy na łamach gazety.

Do tego dochodzi niepodważalny fakt, że pani burmistrz miała się czego obawiać. AfD zdobyła w lutowych wyborach do Bundestagu 23,4, a SPD zaledwie 19,4 proc. głosów. I nic dziwnego. Ludwigshafen to miasto, gdzie jak na dłoni widać postępującą „deindustrializację" Niemiec. Zbudowano je wokół zakładów chemicznych BASF, które dziś przenoszą produkcję do USA i Chin. W imigranckich dzielnicach rządzą arabskie klany, a przestępczość rośnie od lat. O tym także mówił niedoszły kandydat Paul. „Wyeliminowanie go z wyborów stanowi naruszenie konstytucji, co SPD, Lewica i Zieloni uważają za uzasadnione. Partie te tworzą permanentny stan wyjątkowy, który następnie pozwala im na zawieszenie demokracji w celu jej ochrony [...]. Mamy tu do czynienia z przyszłą techniką rządów lewicy i Zielonych: wiedząc, że nie zdobędą większości parlamentarnej, nie polegają na wyborach, lecz bronią kluczowych stanowisk" – podsumowuje „Die Welt".

Aleksandra Rybińska

Zabić księdza

Gopichand Padalkar, jeden z posłów do parlamentu stanowego Maharasztra, reprezentujący rządzącą partię BJP, zaoferował nagrody za akty przemocy wobec duchowieństwa katolickiego. Według doniesień portalu Catholic Arena wspomniany polityk obiecał każdemu, kto zaatakuje księdza, ok. 3,8 tys. euro, a temu, kto zamorduje duchownego – 10,8 tys. euro. Parlamentarzysta wyjaśnił, że jego apel był odpowiedzią na działalność chrześcijańskich misjonarzy, którzy mają rzekomo dokonywać przymusowych nawróceń hinduistów.

Są to fałszywe oskarżenia, ponieważ w Indiach panuje wolność religijna, Kościół nikogo nie zmusza do przyjmowania chrztu, a każdy obywatel ma prawo zmienić swoje wyznanie, dokonując swobodnego wyboru. Tak też wyglądają w tym kraju konwersje na katolicyzm. Ostatnio jednak wiele osób, głównie dalitów (nietykalnych, czyli członków najniższej kasty społecznej), przechodzi na katolicyzm, co wywołuje niepokój hinduskich nacjonalistów, którzy wysuwają sfabrykowane zarzuty pod adresem księży.

Mimo licznych protestów środowisk chrześcijańskich indyjskie władze nie podjęły żadnych działań przeciw Padalkarowi. Komentując ten sprzeciw, wspomniany polityk rzucił pod adresem Chrystusa wyzwanie: „Jeśli Jezus naprawdę potrafi czynić cuda, to go posłucham. Ale on nie robi nic. Więc po co te wszystkie protesty?".

Powyższe słowa pokazują stosunek do chrześcijaństwa wielu hinduskich nacjonalistów. Jednym z nich jest Devendra Fadnavis, premier stanu Maharasztra. Pozbawił on dalitów, którzy przeszli na chrześcijaństwo lub islam, przywilejów przeznaczonych dla kast objętych programami rządowymi. Ta polityka jest jednak legalna w świetle prawa, ponieważ w 2023 r. Sąd Najwyższy wydał orzeczenie, że na owe przywileje mogą liczyć jedynie dalici wyznający buddyzm, hinduizm i sikhizm. To pokazuje, że chrześcijanie w Indiach są obywatelami drugiej kategorii, a przejście na katolicyzm grozi dyskryminacją.

Grzegorz Górny

Togo

Islamiści u bram

Rosja rozszerza swoje wpływy w Afryce. W ostatnich dniach lipca Moskwa ratyfikowała porozumienie o współpracy wojskowej z Togo. Kraj ten – podobnie jak wiele innych w regionie – jest poważnie zagrożony rebelią islamistów.

Umowa przewiduje wspólne ćwiczenia wojskowe obu krajów i wymianę informacji wywiadowczych. Rosja ma również pomagać w szkoleniu togijskich żołnierzy oraz uzyskać prawo do korzystania z portów położonych w Zatoce Gwinejskiej.

Zawarcie porozumienia zbiega się nieprzypadkowo w czasie z ofensywą islamskich rebeliantów, którzy dotarli już do północnych granic Togo. Terroryści powiązani z Al-Kaidą i Państwem Islamskim rozprzestrzeniają się w regionie Sahelu od 2011 r., a więc od upadku reżimu Kadafiego w Libii. Lokalni islamiści uzyskali wtedy szeroki dostęp do broni, co bardzo ułatwiło wybuch rebelii. Dżihadyści umiejętnie wykorzystują podziały etniczne do rekrutacji członków, a swoją działalność finansują głównie z zorganizowanej przestępczości, takiej jak porwania oraz przemyt narkotyków.

Za najgroźniejszą organizację dżihadystów w Afryce Zachodniej uchodzi JNIM, powstały z połączenia w 2017 r. pięciu mniejszych grup. Jego celem jest utworzenie w regionie kalifatu rządzonego zgodnie z zasadami szariatu. Rebelia JNIM doprowadziła już do zamachów stanu w Nigrze, Burkina Faso i Mali. Tamtejsze junty wojskowe zerwały stosunki z Zachodem i postawiły na bliską współpracę z Moskwą, która obiecała im pomoc w walce z dżihadystami. Ale choć wszystkie trzy reżimy utrzymały się u władzy, to nie udało się im stłumić rebelii, która ciągle rozszerza się na kolejne kraje regionu.

Rząd Togo przesunął na zagrożone tereny 8 tys. żołnierzy, co doprowadziło już do krwawych starć z dżihadystami. Umowa zawarta z Rosją oraz niedawny zakup helikopterów bojowych od Moskwy mają pomóc w powstrzymaniu rebelii. Jednak Kreml wydaje się bardziej zainteresowany pozyskiwaniem afrykańskich rekrutów na front ukraiński oraz rozszerzaniem swoich wpływów w regionie, niż udzielaniem miejscowym rządom realnego wsparcia w walce z islamistami.

Konrad Kołodziejski

Amazonka zmienia granicę

Peru

„Kolumbia nie uznaje zwierzchnictwa Peru nad wyspą Santa Rosa ani nie uznaje jej aktualnych władz" – oświadczył lewicowy prezydent tego kraju Gustavo Petro podczas obchodów rocznicy bitwy pod Boyacá. Triumf Simóna Bolívara dał w 1819 r. niepodległość większości krajom Ameryki Łacińskiej.

W tym roku władze Kolumbii zorganizowały oficjalne uroczystości rocznicowe w miejscowości Leticia nad Amazonką, położonej 1 tys. km na południe od stolicy kraju Bogoty. W tym samym czasie premier Peru Eduardo Arana przybył na amazońską wyspę Santa Rosa i wciągnął na niej peruwiańską flagę.

Miesiąc wcześniej władze Peru przeniosły na sporną wyspę administracyjną stolicę regionu i wysłały tam oddział wojskowy, co w Kolumbii uznano za krok prowokacyjny. Prezydent Kolumbii postanowił więc odwołać się do uczuć patriotycznych i ożywić stary spór graniczny pomiędzy obydwoma państwami. Zdaniem władz w Bogocie Santa Rosa – zgodnie z traktatami z 1922 i 1929 r. – powinna zostać przekazana Kolumbii, bowiem nurt Amazonki przesunął się na południe od wyspy, co powinno uzasadniać zmianę jej przynależności państwowej.

Peruwiańska prezydent Dina Boluarte jest zaskoczona roszczeniami Kolumbii. Jej zdaniem spór jest sztucznie podsycany, bo sporna wyspa nie istniała w momencie podpisywania traktatów. Santa Rosa powstała dopiero w latach 60. lub 70., gdy za sprawą naturalnych zmian biegu Amazonki oddzieliła się od wyspy Chinería, która na mocy traktatów należy do Peru. Na Wyspie św. Róży mieszka dziś ok. 3 tys. osób, które uważają się za obywateli Peru.

W opinii ekspertów wojna słów pomiędzy obydwoma krajami ma przykryć ich wewnętrzne problemy. Prezydent Kolumbii jest obwiniany o niezrealizowanie obietnic wyborczych. Zmaga się też z podejrzeniami o uzależnienie od narkotyków. Z kolei prezydent Peru Dina Boluarte musi się liczyć z zarzutami o korupcję. Dodatkowo posądza się ją o czasowe porzucenie urzędu z powodu operacji plastycznej. W świetle ostatnich sondaży jej popularność wynosi 3 proc., co raczej nie wskazuje na perspektywę reelekcji.

Źródłem napięć są również częste zmiany biegu Amazonki, która stale przesuwa się w stronę Peru. Władze Kolumbii, graniczącej w tym miejscu również z Brazylią, obawiają się, że w rezultacie tych zmian utracą dostęp do rzeki, która w tym peryferyjnym regionie odgrywa rolę jedynej trasy komunikacyjnej.

Marek Budzisz

Fot. nitpicker/Shutterstock.com, Shutterstock x3

eprasa.pl 9b8aaefe56

Tuskowa pułapka wiatrakowa: szantaż mrożeniem cen i europejski zielony koszmar

Panie prezydencie Nawrocki, wetuj to! Niech Donald Tusk kręci wiatrakami w Brukseli, a nie w polskich wsiach

Ach, jakże sprytnie! Rząd Donalda Tuska, mistrzowie europejskiego slalomu, wciska prezydentowi Karolowi Nawrockiemu ustawę wiatrakową z szantażem last minute: mrożenie cen energii dla gospodarstw domowych do końca 2025 r. Bo kto by nie chciał tańszego prądu?

Tylko że to popularne mrożenie (137 zł za rok na dom) wrzucono do projektu o wiatrakach, by zmusić nowego prezydenta do podpisu. „Albo akceptujesz wiatraki 500 m od chałup, albo miliony Polaków zapłacą drożej" – oto logika Donalda Tuska.

Panie prezydencie, nie daj się nabrać na ten bubel, bo Polska skończy jak zielone ofiary Unii Europejskiej: z chaosem, blackoutami i kosmicznymi rachunkami za prąd.

Weźmy Niemcy, naszego „lidera" w Energiewende. Nowa minister gospodarki Katherina Reiche, objąwszy stanowisko w maju 2025 r., już porzuca zielone marzenia byłego szefa tego resortu Roberta Habecka. Zamiast „czystych" elektrowni, buduje gazówki do 20 GW jako backup dla odnawialnych źródeł energii. Reiche przyznaje: „Nie mamy rozwiązań na neutralność klimatyczną". Energiewende, ta święta krowa, pochłonęła biliony euro, a w 2025 r. Niemcy mają najmniej czystej energii od dekady. Subsydia dla małych farm wiatrowych i słonecznych są wycofywane, bo sieć nie wytrzymuje OZE. Donald Tusk chce to kopiować? Brawo – importujmy chaos za miliardy!

Holandia, wzór ekologicznych cnót, tonie w prądowym bagnie. W lipcu 2025 r. wprowadzili racjonowanie energii: biznesy i domy ograniczane, bo sieć przeciążona elektryfikacją i OZE. Była minister ostrzega: blackouty na horyzoncie, sklepy zamknięte, pociągi stoją. Nadmiar fotowoltaiki i wiatru, a miejsca w sieci brak – inwestorzy uciekają, gospodarka hamuje. Tuskowa ustawa to recepta na holenderski horror: wiatraki wszędzie, a prąd? Może jutro, jak wiatr zawieje.

Hiszpania? 28 kwietnia 2025 r. – wielki blackout na całym półwyspie! Miliony ludzi bez prądu, Madryt i Lizbona w ciemności przez dobę. Chaos: płatności zablokowane, transport sparaliżowany. Winna? Nadprodukcja prądu z odnawialnych źródeł energii, której sieć nie udźwignęła. Branża nazywa to „sygnałem ostrzegawczym dla Unii Europejskiej", ale kto słucha? A u nas? Wiatraki bliżej domów, więcej hałasu, więcej chaosu. Podziękuję, panie Tusku, za „zielony raj" z latarką.

A polityka Unii? Green Deal to utopia na sterydach – cel 90 proc. redukcji emisji do 2040 r., Fit for 55 duszący gospodarkę, warunkowość budżetu jako bat na niepokornych. Przemysł i rolnicy żądają rewizji, ale kto ich słucha... Europejski Zielony Ład kosztuje biliony, a efekty? Frustracja rolników, protesty i rosnące rachunki. Donald Tusk posłusznie wykonuje, a my płacimy coraz więcej.

Panie prezydencie Nawrocki, wetuj to! Niech Donald Tusk kręci wiatrakami w Brukseli, a nie w polskich wsiach. Zielona transformacja? Tak, ale nie za cenę szantażu i bankructw. Inaczej Polska stanie się skansenem – z wiatrakami na horyzoncie i ciemnością w gniazdkach.

Daniel Obajtek

eprasa.pl 9b8aaefe56

Szlak bezpieczeństwa i niepodległości

Marta Kaczyńska-Zielińska

W sierpniu br. przywódcy Armenii i Azerbejdżanu podpisali w Białym Domu porozumienie pokojowe, w którym pośredniczyły Stany Zjednoczone, kończące trwający od dziesięcioleci konflikt. Oba kraje Kaukazu Południowego zawarły między sobą, a także z USA, układy, które ponownie otworzą kluczowe szlaki transportowe. Umowa obejmuje utworzenie głównego korytarza tranzytowego łączącego Azerbejdżan z enklawą Nachiczewan, a właścicielami praw do jego rozbudowy mają być Stany Zjednoczone.

Region Kaukazu Południowego pozostaje obszarem wpływów i rywalizacji Federacji Rosyjskiej, USA, Turcji, Iranu i Chińskiej Republiki Ludowej. Obecnie, po kilkunastu latach przerwy zainicjowanej przez Baracka Obamę, Waszyngton zdaje się na nowo zwiększać zainteresowanie wspomnianym regionem. Aktywność prezydenta Donalda Trumpa w tym rejonie wyraźnie nawiązuje do polityki Georga Busha jr. i potwierdza kluczowe znaczenie Kaukazu jako jednego ze strategicznych punktów na mapie świata, w których pokój może oznaczać nie tylko bezpieczeństwo w zakresie lokalnym, lecz także wrota do zapewnienia bezpieczeństwa całej Europie.

Azerbejdżan, będąc poważnym eksporterem ropy naftowej, ma też olbrzymie możliwości, jeśli chodzi o gaz. Prezydent Lech Kaczyński uważał ten kraj za strategicznego sojusznika Polski. Wspierał go w jego polityce zbliżania do struktur euroatlantyckich, a także UE. Dążył to tego, by azerska ropa była tłoczona do Polski rurociągiem Odessa–Brody. Chodziło o stworzenie alternatywnego dla rosyjskiego szlaku dostaw ropy naftowej z Azji Środkowej do Europy.

W maju 2007 r. w Krakowie z inicjatywy prezydenta Kaczyńskiego odbył się szczyt energetyczny. Przywódcy Polski, Litwy, Gruzji, Ukrainy, Azerbejdżanu i przedstawiciel prezydenta Kazachstanu zadeklarowali współpracę w dziedzinie energetyki, zwłaszcza przy przedłużeniu ukończonego w 2002 r. rurociągu Odessa–Brody do Gdańska. Drugi szczyt energetyczny odbył się w Wilnie. Prezydenci pięciu państw podpisali umowę o współpracy energetycznej oraz w sprawie powołania spółki Sarmatia. Trzeci szczyt energetyczny zorganizowano w Kijowie. Wzięli w nim udział prezydenci Polski, Ukrainy, Litwy, Łotwy, Estonii, Azerbejdżanu i Gruzji. Podpisano na nim deklarację o zasadach globalnego bezpieczeństwa, koncepcję bałtycko-czarnomorsko-kaspijskiego stowarzyszenia energetycznego oraz dokument dotyczący rozwoju ropociągu Odessa–Brody, który pozwoli na transport ropy naftowej ze złóż na dnie Morza Kaspijskiego do Polski i Europy oraz umożliwi zwiększenie eksportu kaspijskiego surowca na nowe rynki.

W 2008 r. Lech Kaczyński i goszczący w Warszawie prezydent Azerbejdżanu wyrazili poparcie dla projektu budowy korytarza tranzytowego dla kaspijskiej ropy naftowej na rynki europejskie i światowe (Odessa–Brody–Płock–Gdańsk). Latem 2009 r. prezydent Kaczyński udał się do Baku. W jego obecności przedstawiciele firmy LOTOS i spółki naftowej SOCAR podpisali list intencyjny o wspólnych działaniach dotyczących wydobycia i przerobu ropy naftowej. Prezydenci Polski i Azerbejdżanu powołali stały komitet doradczy mający na celu usprawnienie współpracy pomiędzy obydwoma krajami. „Azerbejdżan to klucz nie tylko do sukcesu Polski, lecz także całej UE, jeśli chodzi o niezależność energetyczną" – stwierdził Lech Kaczyński.

Za rządów PO–PSL zarzucono idee szczytów energetycznych i stworzoną przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego koncepcję przestrzeni geopolityczno-energetycznej niezależnej od Rosji. Uruchomienie rurociągu do transportu kaspijskiej ropy pozwoliłoby zdywersyfikować dostawy tego surowca do Polski i częściowo uniezależnić nasz kraj, a także Ukrainę, od dostaw z Rosji. Uwolnienie Polski i regionu spod energetycznej dominacji rosyjskiej było – oprócz wzmocnienia naszego bezpieczeństwa militarnego – jednym z głównych filarów polityki prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Znaczenie Azerbejdżanu dla bezpieczeństwa energetycznego państw Unii Europejskiej zostało docenione przez Brukselę dopiero po rozpoczęciu przez Rosję w 2022 r. pełnoskalowej wojny z Ukrainą.

Fot. Archiwum autora

Panu

MATEUSZOWI MORAWIECKIEMU

Premierowi Rzeczypospolitej Polskiej

wyrazy współczucia i słowa wsparcia w tych trudnych chwilach z powodu śmierci

MAMY

składają

posłowie, senatorowie oraz europosłowie z Podkarpacia
Piotr Babinetz, Zbigniew Chmielowiec, Tadeusz Chrzan, Kazimierz Gołojuch, Mieczysław Golba, Józef Jodłowski, Fryderyk Kapinos, Marek Kuchciński, Maria Kurowska, Ewa Leniart, Daniel Obajtek, Teresa Pamuła, Zdzisław Pupa, Bogdan Rzońca, Janina Sagatowska, Anna Schmidt, Krzysztof Sobolewski, Piotr Uruski, Jan Warzecha, Marcin Warchoł, Rafał Weber, Alicja Zając, Zbigniew Ziobro

15/05825/F

eprasa.pl 9b8aaefe56

Walizka Aleksandry Sławińskiej

psychologa, pianistki

Moje życie jest związane z walizką – niedużą, różową, tzw. kabinówką, która w polskich liniach lotniczych jest traktowana jako bagaż podręczny. Najczęściej latam z Polski do USA i sprawia mi to ogromną przyjemność. Te loty mają w sobie coś poetyckiego.

W Polsce natomiast bliskie jest mi rodzinne Pomorze Zachodnie (Koszalin i Szczecin), a także Warszawa i Lublin.

Walizka, którą przedstawiam na zdjęciu, jest raczej niewielkich gabarytów, ale ostatnio zmieściłam w niej to, co najważniejsze: sukienkę i nuty Chopina, niezbędne do wystąpienia w Konsulacie Generalnym RP w Nowym Jorku. Lubię ją, bo jej rozmiar przypomina mi, że to, co najpiękniejsze, powinniśmy przechowywać w swym sercu: wspomnienia, uczucia, pragnienia. A ludzkie serce ma nieograniczone miejsce na to, co piękne, i codziennie pokonuje drogę, jakby tworzyło kolejny nokturn Chopina z wypisanym w duszy mottem – life is about experiencing. I choć ludzkie serce nie wie, jaki będzie dalszy ciąg tej wędrówki, wypływa na głębię, bo tylko takie życie ma sens.

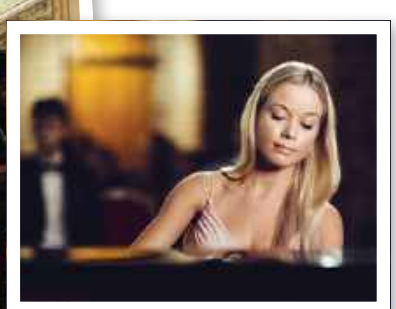

PASZPORTY

Zawsze mam je przy sobie. Posiadam obywatelstwo polskie i amerykańskie. Niedawno do dwóch prawdziwych paszportów dołączył poetycki, zakupiony przeze mnie w Muzeum Morgana w Nowym Jorku. Paszport do „krainy czarów" z powieści Lewisa Carrolla to metafora, która przypomina mi, że życie może być piękną baśnią, której narrację tworzymy sami każdego dnia.

eprasa.pl 9b8aaefe56

MÓJ KUZYN

Artysta malarz Jack Laroux – cieszę się, że jest w moim życiu. Współpracujemy artystycznie w ramach naszego autorskiego formatu „The Beauty of Chopin". Uzupełniamy się: Jack prezentuje podczas wydarzenia swe obrazy (w tym „Chopina"), ja gram na fortepianie Chopinowskie dzieła i opowiadam o psychologii muzyki polskiego poety fortepianu. To dzięki niemu, gdy miałam pięć lat, pojawiła się we mnie chęć obcowania ze sztuką.

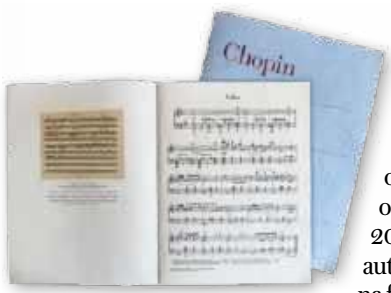

CHOPIN

Gdy byłam w Muzeum Morgana w Nowym Jorku, nie mogłam odmówić sobie zakupu oficjalnego wydania odnalezionego po 200 latach walca jego autorstwa. Chopina gram na fortepianie, a także opowiadam o psychologicznym wpływie jego muzyki na istotę ludzką podczas swoich wystąpień, ostatnio również w ramach „The Beauty of Chopin" – wydarzenia, które zorganizowałam wraz z moim kuzynem, artystą malarzem Jackiem Laroux, w Konsulacie Generalnym RP w Nowym Jorku.

PATRIOTYZM

Stanowi dla mnie niezwykle istotną wartość w życiu. Opaska stylizowana na powstańczą, towarzyszyła mi kilka miesięcy temu podczas warszawskiego Marszu Niepodległości.

ULUBIONY SWETER

Otrzymałam go w prezencie od mojej Mamy Lidki, gdy kilka miesięcy temu byłyśmy w New Jersey (USA) u Cioci Basi Cencory. Moja Mama wiedziała, że marzyłam dokładnie o tym swetrze. Myślę, że zachowam go do końca życia.

VIKTOR E. FRANKL

Oprócz wykształcenia psychologicznego jestem terapeutą certyfikowanym przez Instytut Viktora E. Frankla w Wiedniu, a teoria poczucia sensu życia stworzona przez wspomnianego autora to jedna z bazowych koncepcji moich prac naukowych z zakresu psychologii i pedagogiki sztuki.

BŁYSZCZYK

Podstawa mojego makijażu na co dzień oraz podczas występów. Jestem miłośniczką delikatnego koloru różowego, który odzwierciedla moją wysoką wrażliwość artystyczną i uczuciową.

KRAKOWSKI FRANCISZKANIZM

Jest bliski mojemu sercu, a za swego przewodnika duchowego prowadzącego do Boga uważam dr. Andrzeja Zająca – franciszkanina, wykładowcę i autora wielu poruszających publikacji.

MUZYKA MICHAŁA LORENCA

M.in. stworzona do filmu „Różyczka" to coś, co porusza mnie do łez. Słucham jej w formie płyt CD, bo uwielbiam powroty do przeszłości.

CZYTANIE

Stanowi nieodłączną część mojego życia: proza, poezja, nauka.

Wysłuchał Michał Korsun

Fot. Michał Korsun, Krzysztof Smejlis, prywatne archiwum Aleksandry Sławińskiej

eprasa.pl 9b8aaefe56

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

KPO = Karykatura Planu Odbudowy

Jan Pietrzak

Któregoś dnia dowiedzieliśmy się o nowym sukcesie rządu. Unia „odmroziła" pieniądze należne Polsce z funduszu mającego odbudować sytuację po covidowej zapaści. Czekaliśmy dosyć długo, no i się doczekaliśmy. Jak mawiał sierżant w mojej żołnierskiej przeszłości: „Trzeba równo w szyku stać, żeby dostać, k... mać".

Oczywiście nie wszyscy mogą dostać, jedynie słuszni aktywiści z obywatelskiej platformy i osobniki pokrewne. Zaskoczeniem dla gawiedzi jest specyfikacja poszkodowanych przez COVID-19. Od tej zarazy ogromnie ucierpieli właściciele jachtów, hoteli, saun, salonów masażu, knajp, cateringów, agencji towarzyskich, swingers clubów, mobilnych ekspresów do kawy, wytwórni alko-tubek, kac-saszetek... itd.

Przypomnijmy, że otrzymane od Unii pieniądze nie są darowizną, lecz pożyczką. Mechanizm jest pomyślany tak, że pożyczkę spłaci Skarb Państwa, a nie ci, którzy otrzymują kasę. Czyli ktoś zgarnia bonus za wierną służbę Tuskowi, a buli Rzeczpospolita. Zrobiło się jeszcze ciekawiej, kiedy po tygodniu medialnej zawieruchy odkryto, że sumy, o których mowa w emocjonalnych wrzutkach, w ogóle nie pochodzą z unijnego KPO, lecz bezpośrednio z budżetu państwa. W portalowych wpisach znowu zapieniła się żółć i poplątały się języki wkurzonych polemistów. Ten cyrk trwa, to się dzieje na naszych oczach. Nie wiemy, czy kiedyś ktoś logicznie wyjaśni, co tu się stało „z piniędzami, których ni ma i nie będzie". Na mnie nie liczcie.

Mam dużo ciekawszych zajęć. Zwłaszcza że wyżywa się na mnie hałastra agenciaków wypisujących niestworzone brednie na temat moich chorób, żon, szpitali, walizek ze Słowacji, podejrzanych kontaktów, rozbitych samochodów i pijackich akcji. Wśród moich wrogów popularny jest motyw śmierci, na którą z utęsknieniem czekają. Jak na razie – powtarzając za Markiem Twainem jego genialną frazę – oświadczam, że pogłoski o mojej śmierci są przesadzone. Spokojnie przesuwam się w kierunku zachodzącego słońca na nieboskłonie, z czystym sumieniem, z porządkiem w szufladach. Zaliczam 65. rok moich występków w branży kabaretowej i 89. rok egzystencji na tym padole płaczu i radości. Możecie mnie spotkać w poniedziałki na łamach „Sieci", w czwartki w Republice u Rachonia. Ponadto na spotkaniach domowych, jak w stanie wojennym, ponieważ administracja państwowa i wiele samorządowych jednostek nie zezwala na moje występy w miejscach publicznych. Nie bez powodu obecny rząd chlubi się datą „13 grudnia". Jestem zakazany w wielu miejscach, bo wypełniam obowiązki polskie, a nie niemieckie. Dbam o zdrowie, bo chcę dożyć chwili, gdy zaśpiewamy razem: „Żeby Polska była Polską" przy Łuku Triumfalnym Bitwy Warszawskiej! 15 sierpnia minęła 105. rocznica Cudu nad Wisłą! Ale z pomnikiem cudów nie ma w niepodległej niby-Polsce! Jest wstyd i hańba!

Co tak boli TVN?

Samuel Pereira

„Jest super, jest super" – zdaje się nucić TVN, gdy mowa o KPO. Afera? Skądże. To tylko zła opozycja się czepia, a w Łodzi Katarzyna Kolenda-Zaleska pokazuje przedsiębiorców, którzy się żalą, że państwo sprawdza, na co poszły unijne granty. Kino Charlie? Miłe, klimatyczne, ale bilet na komediodramat kosztuje 56 zł. Wsparcie publiczne? 4,24 mln zł – w tym pandemia, tarcze, wszystko, jak trzeba. Pytanie tylko, czy skoro to pieniądze obywateli, nie powinniśmy wiedzieć, na co idzie każda złotówka i czy wraz z dotacjami idą też podwyżki dla pracowników.

Narracja TVN jest prosta: to dobro wspólne, które dziwnym trafem ląduje w prywatnych kieszeniach. Argument, że kawiarenka „uratowałaby" nas w pandemii, brzmi jak kiepski żart. Wszyscy pamiętamy zamknięte lokale i hasło: „Zostań w domu".

I tak pojawia się pytanie: czemu jedni przedsiębiorcy muszą radzić sobie sami, a inni zawsze znajdą się w odpowiednim miejscu i czasie, by budować majątek na publicznych pieniądzach. Gdyby TVN dostał miliony z budżetu i zamiast na reporterów wydał je na jachty, też byśmy usłyszeli, że to „tylko pół procent"? Bo skoro przy ułamkowej części tortu jest tyle dymu, to jak wyglądają „lody" na reszcie?

Dla „szamanów z Wiertniczej" zawsze winne jest PiS, a wybawcą pozostaje Donald Tusk. Problem w tym, że jego „największy sukces" polegał na tym, że środki zablokowano, a odblokowano dopiero po jego powrocie do władzy. Niemieckie media pisały o „eksperymencie nad Wisłą" – trudno o trafniejsze określenie.

A żeby było zabawniej, beneficjenci KPO to często firmy z milionowymi przychodami, które dziś oferują „atrakcje dla dzieci"... po 3150 zł za turnus. Państwo daje, biznes bierze, a rodzic płaci. W tle Tusk, który przed każdą wątpliwą deklaracją rzuca zaklęcia: „naprawdę", „możecie mi wierzyć". I poucza ministrów, że w aferze KPO jedynym winnym jest PiS, a rząd z narodem to ofiary. Tymczasem jego minister publicznie opowiadała, jak luzowano kryteria wydawania tych „prezentów".

Kabaret polityczny? Raczej kosztowne widowisko. I bilety na ten spektakl, proszę państwa, opłacamy wszyscy – bez ulg, bez happy hours, ale za to w pierwszym rzędzie.

Autopromocja

eprasa.pl 9b8aaefe56

Piekiełko Tuska?

Donald Tusk ogłosił „wielki sukces" – budowę tunelu kolejowego Podłęże–Piekiełko, który jako część inwestycji kolejowej skróci do godziny czas dojazdu z Krakowa do Nowego Sącza i Zakopanego, stanowi też ważną część korytarza kolejowego łączącego Bałtyk z Adriatykiem. Problem w tym, że ten sukces to nie dzieło jego rządu, lecz efekt lat ciężkiej pracy parlamentarzystów, samorządowców, społeczników, a przede wszystkim decyzji podjętych przez rządy PiS Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego. Dokumentacja, decyzje środowiskowe, finansowanie, przygotowanie inwestycji – wszystko to zostało wykonane, zanim Tusk wrócił do władzy. A teraz wbija się przed kamery, błyszczy jako „główny budowniczy" i rozdaje uśmiechy.

To jest prawdziwe – *nomen omen* – piekiełko polskiej polityki w wydaniu Tuska: cudze projekty przedstawiane jako swoje osiągnięcia, a równocześnie zaorywanie ambitnych przedsięwzięć, które wymagają odwagi i wizji. Wystarczy spojrzeć na CPK – największy projekt infrastrukturalny w historii Polski. PiS planowało nie tylko nowoczesny port lotniczy, lecz także sieć kolejowych „szprych", które miały połączyć wszystkie regiony kraju. Tusk z Laskiem okroili tę wizję, kolej wyrzucili do kosza, a szansę na wielki skok cywilizacyjny zamienili w atrapę.

Podczas gdy my budowaliśmy realne inwestycje, Tusk „rozwija" Polskę w zupełnie inny sposób – wystarczy spojrzeć na najnowszą aferę władzy dotyczącą KPO, o które tak walczyli. Zamiast strategicznych projektów dla milionów Polaków, pojawiają się jachty dla swoich, solaria w pizzeriach czy gruba dotacja dla klubu swingersów. To jest jego rozumienie rozwoju – pieniądze podatników na wątpliwe projekty. I tak delikatnie napisane.

Są jednak ludzie, którzy myślą dalej niż do następnych wyborów. Prezydent Karol Nawrocki złożył projekt ustawy przywracającej pierwotną, pełną koncepcję CPK – wraz z siecią nowoczesnych połączeń kolejowych, które połączą całą Polskę, nie tylko Warszawę z okolicami. To wizja, która prowadzi nas w przyszłość, a nie do politycznego piekiełka stagnacji.

Jako wieloletni poseł wiem, ile wysiłku i lat zabiegów kosztowało doprowadzenie inwestycji takich jak Podłęże–Piekiełko do realizacji. Dlatego nie można milczeć, gdy Tusk wchodzi na gotowe, ustawia się w pierwszym rzędzie i gra rolę bohatera, a tam, gdzie trzeba ciężko i konsekwentnie pracować, zwija projekty, niszczy ambicje i cofa Polskę.

Arkadiusz Mularczyk

wPolsce 24

NIE MA NAS W TWOIM TELEWIZORZE?

Zacznij działać! Naciskaj na swojego operatora telewizji kablowej.

Dzwoń, pisz, przekaż mu kontakt do nas:

operatorzy.kablowi@wPolsce24.tv

Im więcej zgłoszeń otrzyma operator, tym szybciej
Ty i Twoi bliscy będziecie mogli oglądać wPolsce24.

Informacje o lokalnych i regionalnych operatorach tv:
www.wpolsce24.tv/gdzie-nas-ogladac

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio
52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43

eprasa.pl 9b8aaefe56

Coraz mniej uwodzicieli

„Na wieki wieków amant". Żaden ze współczesnych aktorów nie chciałby takiego szufladkującego określenia. A jeszcze kilkadziesiąt lat temu, w dobie czarno-białych filmów i gorących kinowych emocji, bycie ekranowym uwodzicielem wiązało się z samymi pozytywami

Niejeden marzył o pójściu w ślady słynnego Valentino. Bo wiązało się to ze sławą, pozycją i uwielbieniem żeńskiej części kinowej publiki. Ale to już minęło.

Dziś nierzadka jest opinia, że w polskim kinie czas rasowych amantów skończył się wraz z wybuchem II wojny światowej. Po niej nie było pomysłu na aktorów wyjątkowo przystojnych, obdarzonych magnetycznym wdziękiem i uwodzicielską siłą. Szybko przepadali w machinie produkcyjnej.

Jerzy Hoffman uważał, że brak u nas ekranowych kochanków – w dawnym stylu i z taką klasą – ponieważ nad Wisłą i Odrą gatunek romansowy nigdy się w pełni nie rozwinął. I coś w tym jest, bo jeśli któremuś z polskich aktorskich przystojniaków udało się zdobyć i przez jakiś czas utrzymać pozycję amanta, to bardzo często w taki czy inny sposób wychodził ze swoim emploi poza klasyczne ramy.

Wyjątkiem mogliby być Andrzej Łapicki czy Leszek Teleszyński, ale nie było dla nich zbyt wielu stylowych ról. Tadeusz Janczar, a zwłaszcza Zbyszek Cybulski z jego charakterystycznym wizerunkiem jako amanci stali się przede wszystkim ikonicznymi postaciami polskiej szkoły filmowej.

W różnych plebiscytach o palmę pierwszeństwa bili się – poza Łapickim, nazywanym „amantem nad amantami", i Teleszyńskim, czyli polskim Rockiem Hudsonem – także muskularny Marek Perepeczko (zwłaszcza w wersji zawadiacko-zbójnickiej) czy czarujący (głównie na salonach) Marek Barbasiewicz. Męską urodą, podkreśloną przez serialowy wrogi mundur, przez długi czas (poza Hansem Klossem wypełniony także innymi rolami, w tym m.in. Pana Samochodzika) podnosił ciśnienie kobiecej części widowni Stanisław Mikulski. Tleniony chłopięcy Janek

Eugeniusz Bodo

Amant wbrew regułom. Udowodnił, że mężczyzna o niezbyt klasycznej urodzie, ale z wdziękiem i charyzmą, może pokonać aktorską konkurencję. W przedwojennej Polsce był na szczycie. Role w produkcjach, takich jak „Czy Lucyna to dziewczyna?", „Paweł i Gaweł", „Piętro wyżej", utrwalały jego wizerunek skutecznego uwodziciela (poza sceną też był bohaterem licznych romansów i skandali). Ale widzowie potrafili mu wiele wybaczyć, ponieważ uwielbiali go słuchać (m.in. jako wykonawcę piosenek „Ach, śpij kochanie" czy „Umówiłem się z nią na dziewiątą"). Chętnie oglądali go też w komediach, gdzie np. w kobiecym przebraniu śpiewał „Sex appeal" albo deklarował: „Już taki jestem".

Fot. NAC

Aleksander Żabczyński

Przedwojenny amant idealny. Dobrze urodzony, przystojny, czarujący. Mógł łamać niewieście serca jako absolwent poznańskiej Szkoły Podchorążych Artylerii lub prawnik. Trafił jednak do studenckiego koła dramatycznego, a potem do zespołu Juliusza Osterwy. Przed wojną zagrał w blisko 30 filmach, przeżywając na ekranie miłosne perypetie i śpiewając m.in. „Ach, jak przyjemnie", „Na moje wady nie ma już rady" czy „Nie kochać w taką noc to grzech". Podobnie jak w kinie był uwielbiany przez kobiety w realnym życiu. Miał też słabość do wykwintnych strojów i snobistycznego towarzystwa.

Fot. NAC

Andrzej Łapicki

Urodził się wzłychczasach. Z warunkami i manierami dżentelmena świetnie prosperowałby przed wojną. W latach socrealizmu, gdy zaczynał karierę, dyskwalifikował go już sam wygląd. Kinową szansę dały mu filmy „Naprawdę wczoraj" (z Beatą Tyszkiewicz) czy przebojowe „Lekarstwo na miłość", gdzie jako kapitan MO śledził Kalinę Jędrusik. Był serialowym Ketlingiem zakochanym w Barbarze Brylskiej. Kinomani wspominają „Salto", „Jak daleko stąd, jak blisko", „Wszystko na sprzedaż", „Wesele" czy „Zazdrość i medycynę" z jego udziałem. Przyznanego mu tytułu „amanta nad amantami" nie odebrał mu żaden następca.

Fot. NAC

z „Czterech pancernych" dał Januszowi Gajosowi przysłowiowe pięć minut nieprawdopodobnej popularności.

Gwiazdorem daleko wyrastającym poza ramy typowego uwodziciela był – przez rekordową liczbę oraz różnorodność zadań i produkcji – Daniel Olbrychski. Niepokorny Andrzej Kmicic z „Potopu", a także Marek Arens z „Jowity" czy Karol Borowiecki z „Ziemi obiecanej".

Kostiumowo-musicalowe role (zwłaszcza „Hallo Szpicbródka") na moment wpisały w romansową formułę Piotra Fronczewskiego. Na planie filmowym u Jerzego Hoffmana do tytułu ekranowego amanta aspirowali m.in. Tomasz Stockinger („Znachor"), wspomniany Leszek Teleszyński („Trędowata", „Potop") czy Michał Żebrowski („Ogniem i mieczem", a także, u innych reżyserów, „Pan Tadeusz" i wiedźmin).

Jedną sceną – ofiarowania ukochanej własnoręcznie zerwanych nenufarów (w „Nocach i dniach") – tytuł amanta zdobył Karol Strasburger. W początkach kariery – choć grywał wtedy głównie niegrzecznych bohaterów– gwałtowniejsze bicie serca u żeńskiej części widowni wywoływał Artur Żmijewski, potem związany z serialową Leśną Górą i urzekający np. w romantycznej komedii „Nigdy w życiu!".

Amancki status – na miarę polskich realiów – miał też rozmiłowany w poezji Krzysztof Kolberger. Marcin Dorociński, z filmu na film coraz subtelniejszy i sprawniejszy aktorsko, bywał przez reżyserów obsadzany w rolach amantów niejednowymiarowych, ustawianych w szerszym kontekście.

Patrząc z perspektywy ostatnich lat, nawet najbardziej „amancki" – za sprawą udziału w licznych komediach romantycznych – Maciej Zakościelny nie w pełni odpowiadał cechom klasycznego ekranowego uwodziciela. Atrakcyjny? Tak. W typie chłopięcego Brada Pitta. Kochanek? Raczej marzenie o nim. Playboy? Na pewno nie w przedwojennym stylu, chociaż klasy i osobistego uroku, również poza ekranem, mu nie brakowało. Wydaje się, że Zakościelny był aktorem najdłużej trwającym zarówno w formule romantycznej komedii, jak i życzliwej pamięci widzów. Z czasem dawny chłopięcy urok potrafił wreszcie zastąpić widoczną aktorską osobowością oraz warsztatem.

A dziś? Kogo z młodszego pokolenia można by nazwać amantem? Wydaje się, że przy takiej liczbie produkcji, gatunków, platform emisji i promocji nie lada wyzwaniem jest już zdobycie uwagi widzów, a co dopiero ich serc. W dobie pogłębiającej się emancypacji nie ma też przestrzeni na klasyczny charme i magnetyczny wdzięk. Dlatego dziś choć na chwilę wrócimy do kilku bardzo subiektywnie wybranych polskich amantów kinowych.

***Jolanta** Gajda-Zadworna*

Zbyszek Cybulski

Antyamant, który ze swoich ograniczeń i kompleksów uczynił atuty wizerunkowe. Lekko zgarbiona sylwetka w skórzanej kurtce, niezgrabne ruchy i łagodne oczy krótkowidza skryte za ciemnymi okularami. Nazywany polskim Jamesem Deanem, swój bunt skrywał głęboko i zarazem wyrażał w rozpoznawalnym stylu. Niedostępny, tajemniczy, nie walczył o kobiety – intrygował je. Tak jak – szerzej – intrygował widzów, zapamiętujących jego role – w „Popiele i diamencie", „Do widzenia do jutra", „Pociągu" czy „Jak być kochaną". Tragiczna śmierć dopełniła legendę zagubionego w życiu charyzmatycznego indywidualisty.

Fot. Domena publiczna

Leszek Teleszyński

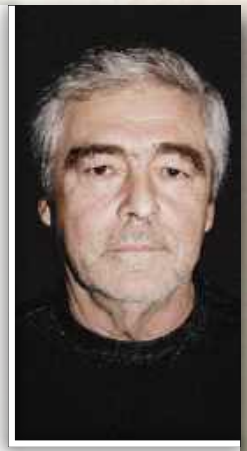

Już na krakowskiej uczelni kochały się w nim ponoć wszystkie studentki i większość profesorek. Rola ordynata Michorowskiego w rasowym melodramacie „Trędowata" przyniosła mu ogromną popularność. Wcześniej Jerzy Hoffman zobaczył w nim cynicznego arystokratę, księcia Bogusława Radziwiłła z „Potopu". „To był zdrajca narodu, ale drań sympatyczny" – oceniał Teleszyński. Aktorską passę lat 70. ub.w. zamknęła serialowa produkcja „Życie na gorąco", gdzie jako „polski James Bond", czyli redaktor Maj, bez problemu wędrował po niedostępnej dla większości obywateli „demoludów" Europie.

Fot. Paweł Matyka

Maciej Zakościelny

Nazywany „polskim Bradem Pittem" nie lubił tego porównania. Uważał, że łatka amanta pozbawiała go szansy na ambitną i wymagającą rolę. Obiektywnie rzecz biorąc, zebrał na swoim koncie imponującą liczbę filmowych i serialowych hitów. Były wśród nich m.in. romantyczne komedie „Tylko mnie kochaj" i „Dlaczego nie!" (oprócz „Dywizjonu 303. Historii prawdziwej"), seriale „Kryminalni", „Czas honoru", „Strażacy" czy „Na dobre i na złe". W nowych częściach kinowej serii „Kogel mogel", już nie najmłodszy, z dystansem do wcześniejszego wizerunku, brawurowo zaprezentował na ekranie talent komediowy.

Fot. Grabowski Foto/Shutterstock.com

Opracowała JGZ

eprasa.pl 9b8aaef656

Wielka Polska od zaraz!

Demografii Rzeczypospolitej nie uratuje nielegalna migracja z Afryki czy Azji. Dzieci z gwałtów można przecież legalnie abortować (sarkazm!). Wypychani z Niemiec kłopotliwi nachodźcy staną się dla nas obciążeniem finansowym i śmiertelnym zagrożeniem egzystencji. Chyba że zmodyfikujemy nieco to niefrasobliwe niemieckie „herzlich willkommen!".

Abyśmy w krótkim czasie mogli stać się potęgą gospodarczą, militarną i ludnym, przynajmniej 50-mln krajem, należy jak najszybciej wprowadzić kilka zmian polityczno-prawnych. **1.** Odsunąć od władzy szkodliwy dla polskiej racji stanu rząd Donalda Tuska. **2.** Jednostronnie wypowiedzieć pakt migracyjny z UE. **3.** Nielegalnych migrantów (również tych legalnych, ale mających zatargi z prawem) bezwarunkowo odsyłać do krajów pochodzenia, zgodnie z dewizą W.C.: „Wszyscy won!". **4.** Ogłosić, że po spełnieniu pewnych warunków Polska jest w stanie przyjąć ograniczoną liczbę chętnych do osiedlenia się w naszym kraju emigrantów z Unii. I w pierwszej kolejności przyjmować rozsianych po całym świecie Polonusów i Polaków z Kresów. Należy preferować bliskich nam kulturowo białych Europejczyków, którzy identyfikują się z cywilizacją łacińską i wiarą chrześcijańską. Ponadto ludzie ci muszą posiadać zawody poszukiwane na naszym rynku pracy. Powinni też zdać egzamin z podstawowej znajomości języka i historii Polski oraz podpisać deklarację lojalności (wolę asymilacji) z państwem polskim.

Zaraz po cofnięciu skutków niemieckich pushbacków i wprowadzeniu powyższych rygorów nasz kraj stanie się ziemią obiecaną dla Francuzów, Hiszpanów, Włochów czy Szwedów szukających pracy, normalności i bezpieczeństwa. W ślad za nimi napłynie tu wielki kapitał i nowe inwestycje. A w koalicji z Węgrami, Czechami, Słowacją i innymi Rzeczpospolita stanie się europejską potęgą!

PS Nazywanie obecnego rządu nieudolnym jest wielkim błędem! W anihilacji RP są to ludzie wyjątkowo „udolni", wręcz mistrzowie.

Lech Makowiecki

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: MINDAUGAS KULBIS/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS, ŁUKASZ BŁASKIEWICZ/KPRP, KPRP, SHUTTERSTOCK/MARIUSZ GUC

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

Reklama | 05/0425/FZAL

eprasa.pl 9b8aaefe56

SALTUS | 30 lat
UBEZPIECZENIA

Dbamy o to, co się liczy.

Ubezpieczenie mieszkań i domów jednorodzinnych SALTUS – Mój DOM

Szeroki zakres ochrony, który możesz dopasować do swoich potrzeb.

Oferta dostępna w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

Jachty, czyli ośmiorniczki 2.0

Patologia, bezczelność, skok na kasę. Nic dziwnego, że w komentarzach do tej afery pada wiele grubych słów. I przypomina się 2014 r. Czy skandal z marnotrawieniem pieniędzy z KPO będzie miał podobny wpływ na scenę polityczną jak rozmowy u Sowy i Przyjaciół? Czy doprowadzi do upadku rządu?

MAREK PYZA

Gdy w społecznym odczuciu powszechny staje się wniosek, że oderwane od rzeczywistości elity dbają wyłącznie o siebie, gardzą zwykłymi Polakami i ich potrzebami, rząd powinien się przygotować na najgorsze. Należałoby się spodziewać unikania nazywania afery „drobiazgiem" i przekonywania, że winni są poprzednicy. Mamy bowiem do czynienia z serialem, którego końca nie widać, a w jego ostatnim odcinku nastąpi klęska głównego bohatera.

Skandale pojawiają się w każdym rozdziale tej historii. Zaczęło się od kłamstwa założycielskiego dotyczącego wydumanych problemów z praworządnością

Fot. Screen KPRM

eprasa.pl 9b8aaefe56

i blokowania należnych Polsce pieniędzy. Gardłowali za tym politycy obozu dziś rządzącego, wręcz chlubili się donoszeniem na poprzedników i namawianiem brukselskich urzędników do bezprawnych działań. Po wyborach pieniądze na polski Krajowy Plan Odbudowy w magiczny sposób odblokowano, bo Komisji Europejskiej nie chodziło o żadne „wartości europejskie", lecz zainstalowanie w Warszawie premiera, który będzie chłopcem na posyłki Brukseli i Berlina.

Kolejnym etapem było poluzowanie kryteriów przyznawania pieniędzy na branżę HoReCa (od angielskich słów: hotel, restaurant, catering). Nie trzeba już było wykazywać 30-proc. spadku obrotów na przełomie 2020 i 2021 r., a nawet nie trzeba było prowadzić działalności w tej branży! O pieniądze mógł więc wystąpić każdy, kto wiedział, że taki program ruszy.

Problem w tym, że mało kto o tym wiedział. W pierwszym naborze zgłosiło się tylko 1 tys. chętnych. Planowano kampanię informacyjną, ale w ostatniej chwili Ministerstwo Funduszy i Rozwoju Regionalnego zabroniło ją uruchamiać. Dlaczego? Tego do dziś nie wyjaśniono.

Ostatecznie kasa w wielu przypadkach trafiła do ludzi, którzy albo wcale jej nie potrzebowali (bo są wystarczająco zamożni, a ich firmy świetnie sobie radzą), albo są powiązani (rodzinnie czy towarzysko) z układem rządzącym (jedno nie wykluczało drugiego).

Wreszcie nastąpił ostatni etap: bezwstydne tłumaczenia z zrzucaniem winy na Prawo i Sprawiedliwość na czele (przoduje w tym Donald Tusk) oraz „netowych aferzystów" (to już minister Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz), bagatelizowaniem problemu („drobiazg" w ustach ministra Waldemara Żurka czy „pół mojej rodziny dostało" poseł Katarzyny Królak) oraz wyzwiskami („cyniczne mendy płci obojga", jak określił poseł Artur Łącki ludzi krytykujących zachłanność jego i jego małżonki).

Ta sprawa nie rozejdzie się po kościach.

RODZINA NA SWOIM

Przeciętny człowiek widzi ją tak: obiecali, że odblokują unijne pieniądze, odblokowali, ale potem wzięli je dla siebie. I ma przed oczami jachty (potrzebował ich np. przedsiębiorca, który prowadzi lokal w... Łodzi, oddalonej o kilkaset km od akwenu, po którym pływają zakupione łodzie), sauny, solaria czy konsole do gier, na które poszły pieniądze z KPO dla hotelarzy i restauratorów. Ma przed oczami zdjęcia przyciemnionych wnętrz klubu dla swingersów z Lublińca, o którego istnieniu zapewne nawet nie wiedziała większość mieszkańców tego śląskiego miasteczka.

Ów przeciętny człowiek dodatkowo dowiedział się z anteny telewizji wPolsce od Grzegorza Pudy (pełnił funkcję ministra funduszy w rządzie Mateusza Morawieckiego), że resort wprowadził zmianę polegającą na możliwości ubiegania się o dotacje dla hotelarzy i restauratorów przez osoby, które nie zajmują się takim biznesem! Wystarczyło, że mają firmę, a w jej PKD wpisaną fikcyjnie na 25. miejscu działalność gastronomiczną, by mogli dostać 500 tys. zł na niemal dowolne wydatki. W dodatku po roku sprzęt zakupiony za publiczne środki będą mogli sprzedać, a kasę zostawić sobie w kieszeni.

> Kasa w wielu przypadkach trafiła do ludzi, którzy albo wcale jej nie potrzebowali (bo są wystarczająco zamożni, a ich firmy świetnie sobie radzą), albo są powiązani (rodzinnie czy towarzysko) z układem rządzącym

Ów przeciętny człowiek zaczyna się temu wszystkiemu przysłuchiwać i dowiaduje się, że całe to KPO na HoReCa to żadne dotacje, lecz pożyczki, które i on będzie musiał spłacać przez najbliższe 30 lat. A przecież – przypomina sobie – te pieniądze miały iść na szpitale, energetykę czy inne branże krytyczne z punktu widzenia funkcjonowania państwa.

Ów przeciętny człowiek dowiaduje się, kto skorzystał z tej pomocy. I widzi Włodzimierza Czarzastego, którego żona wzięła 400 tys. zł na swój hotel (ten sam, w którym Czarzasty organizował partyjną imprezę SLD). Widzi łódzką wojewodę Dorotę Ryl, której córka wzięła 538 tys. zł na domki letniskowe na Pomorzu Zachodnim. Widzi senatora KO Beniamina Godylę, którego żona wzięła 540 tys. zł na trzy jacuzzi, saunę i dwie altany w swoim hotelu pałacu. Widzi Ryszarda Wójcika, kiedyś znanego sędziego piłkarskiego, a dziś prowadzącego biuro podróży Sindbad, którego syn wziął 428 tys. zł na rozszerzenie działalności o usługi cateringowe. Tu na szczególną uwagę zasługuje fakt, że przed wyborami w 2023 r. rodzina Wójcików wpłaciła 60 tys. zł na kampanię Koalicji Obywatelskiej – ile w całej Polsce jest podobnych przypadków dotowania firm, które sponsorowały powrót Donalda Tuska do władzy, dopiero się dowiemy.

Ów przeciętny człowiek widzi wreszcie Artura Łąckiego, którego przypadek jest tak symboliczny, że zasługuje na oddzielne potraktowanie.

KTO JEST CYNICZNĄ MENDĄ?

Uchodzi za najbogatszego posła. Ma ponad 3 mln zł oszczędności, kolejne 4,5 mln zł w papierach wartościowych. Ma też dwa domy, 8 mieszkań i gospodarstwo rolne. Do tego jeszcze 3 inne nieruchomości o wartości 64 mln zł. W jego garażu stoi 5 niezłych aut (Mercedes, Land Rover, Jeep, BMW i Infiniti), na nadgarstku zmienia Rolexa, Rado, Hublota, Geneve, IWC i Rado, a ściany jego domu/domów zdobią antyki. Jest multimilionerem.

Ośrodek wypoczynkowy Gryf w Pobierowie przepisał na żonę i to właśnie ona wyciągnęła ręce po 216 tys. zł na rozbudowę i modernizację sali konferencyjnej, 324 tys. zł na przystosowanie pomieszczenia na salę konferencyjną i 474 tys. zł na stworzenie ogrodu zimowego. Wszystko z KPO.

Artur Łącki jest człowiekiem, który nie grzeszy kulturą osobistą. Gdyby powstał ranking sejmowego chamstwa,

eprasa.pl 9b8aaefe56

zajmowałby jedną z najwyższych lokat. Po wybuchu afery dowiódł tego po raz kolejny.

W naturalny sposób powszechnie się oburzano, że tak majętna rodzina ma czelność brać pieniądze, które wszyscy będziemy musieli spłacać. Nikt jej nie przypisywał chęci zakupu jachtu, a jednak Łącki postanowił zacząć swoje internetowe tłumaczenia od zdementowania takowych pogłosek (obecnych chyba tylko w jego głowie). Dalej poszedł w swoje ulubione knajactwo: „[...] parę słów do hejterów wszelkiej maści, niedoinformowanych dziennikarzy i w ogóle do wszystkich cynicznych mend płci obojga: jeśli ktoś będzie naruszał dobre imię mojej żony, mojej rodziny bądź moje, może być pewny, że zostanie rozliczony z każdego kłamstwa, z każdej kalumnii".

I tak naród się dowiedział, że oburzenie na zachłanną platformerską rodzinkę oznacza bycie „cyniczną mendą".

Takim językiem poseł na Sejm RP chce się komunikować z suwerenem? Mamy się przerzucać obelgami? Parlamentarzystę wypada ostrzec, że przegranymi w tej rynsztokowej nawalance tak czy siak będą chciwy cham i jego pryncypał, a nie ciężko pracujący rolnik, kierowca czy nauczycielka, którzy nie chcą latami spłacać luksusów przedstawiciela politycznej kasty.

Łąckiemu nie wystarczył wpis w mediach społecznościowych. Poszedł do Kanału Zero, gdzie przekonywał, że choć on i jego żona są majętni, to nie mają na kupce 10 mln zł, z których mogą brać na różnorakie inwestycje, lecz zawsze sięgają po kredyt czy leasing.

Krzysztof Stanowski ripostował: „10 mln na kupce może nie ma, ale patrząc na oświadczenie majątkowe, jest 7 mln 700 tys.". Łącki: „7,7 chyba nie, chyba trochę mniej, ale nie wiem" – beztrosko odpowiedział poseł. Choć nawet nie wie, ile ma milionów na koncie, kolejny milion bierze na rozszerzenie działalności biznesowej z państwowych pieniędzy.

Przy okazji parlamentarzysta przyznał, że blokowanie pieniędzy z KPO było zabiegiem politycznym. Tak mówił o Komisji Europejskiej: „Oni są ludźmi normalnymi, którzy muszą pilnować pieniędzy, więc powiedzieli: »Owszem, damy, ale wygrajcie wybory«". Dopytywany, czy w takim razie odblokowanie KPO było zależne wyłącznie od elekcji w 2023 r., stwierdził: „Nie, było uzależnione od wyniku wyborów i od tego, że było pewne, że my się zajmiemy tym, czym się zajmujemy".

Następnego dnia rzeczniczka KO powie, że Łącki wyrażał własne opinie, a nie klubowe. Konsekwencji wobec majętnego parlamentarzysty nikt nie będzie wyciągał.

> Żona Włodzimierza Czarzastego wzięła z KPO 400 tys. zł na swój hotel, z kolei żona najbogatszego posła Artura Łąckiego wyciągnęła ręce po ponad 1 mln zł na przepisany na nią przez męża ośrodek wypoczynkowy w Pobierowie

GŁUPIO SIĘ TŁUMACZĄ

Dawno minęły czasy, gdy Donald Tusk umiał reagować na kryzysy we własnym obozie. Można nawet powiedzieć, że zatracił tę zdolność już pod koniec swoich pierwszych rządów. Dziś wraca do starych metod, które przestały działać. Na zwycięstwo Karola Nawrockiego zareagował rekonstrukcją rządu, o której wszyscy już zdążyli zapomnieć. Gdy więc wybuchł mu w ręku kolejny granat, sięgnął do starego zeszytu z głupimi pomysłami na obronę.

I zaczął od zaatakowania... poprzedników. Na PiS zrzucił winę za to, że miał tak mało czasu na rozdysponowanie środków, choć osobiście skamlał w Brukseli, by nie przelewano funduszy na KPO, gdy rządziło Prawo i Sprawiedliwość. Na jednym wdechu dodał jednak, że doszło do „beztroskiego wydawania na rzeczy, które słusznie ludzi co najmniej zastanawiają, jeśli nie wkurzają". A zatem premier dostrzega problem. Rozumie, że ciężko będzie się z tego wywinąć. Zapowiada jakieś odbieranie dotacji, jeśli się okaże, że zostały przyznane w wyniku jakichś uchybień. Ale to nie ma prawa się wydarzyć, bo sam podkreśla, że tak poluzowano kryteria, by jak najwięcej przedsiębiorców dostało zastrzyk gotówki.

Nie lepiej idą tłumaczenia minister Pełczyńskiej-Nałęcz. Kilka miesięcy temu tak mówiła w RMF FM, czym jest KPO: „Trzeba ludziom tłumaczyć, skąd biorą się te pieniądze, dlaczego warto brać takie kredyty, które się opłacają – bo to jest metoda na rozwój, a równocześnie gwarantować ludziom, że my te pieniądze dobrze zainwestujemy, że mamy na to pomysł, że one nie zostaną przepalone, po prostu pójdą w dym, tylko zostaną włożone w takie rzeczy, że z każdej złotówki za jakiś czas będą 2 zł albo 3 zł".

Dziś zapewne wolałaby o tej wypowiedzi zapomnieć, bo dzień po dniu poznajemy szczegóły przepalania tych pieniędzy. Co robi pani minister? Wraca z urlopu (dlaczego nań w ogóle pojechała, wiedząc – bo wiedziała – że zaraz wybuchnie afera?) i na specjalnej konferencji prasowej oskarża... internautów: „Mamy grupę twitterowych, netowych aferzystów, którzy rozkręcają antyunijną, antyfunduszową hecę".

Ale to się dzieje już kilka dni po obnażeniu skandalu. Wcześniej pani minister podobnie jak premier próbuje przerzucić odpowiedzialność na PiS oraz Polską Agencję Rozwoju Przedsiębiorczości. Najpierw twierdzi, że to szefowa PARP Katarzyna Duber-Stachurska odpowiada za oburzający program i dlatego odwołała ją przed dwoma tygodniami. Gdy jednak padną pytania, dlaczego w takim razie o sprawie było cicho przez tyle dni, wiceminister funduszy Jan Szyszko powie Onetowi, że prezes agencji została zdymisjonowana jednak za inne nieprawidłowości.

W międzyczasie Duber-Stachurska wydaje oświadczenie, w którym czytamy: „MFiPR zatwierdzało nawet sposób opisu faktury z wydatkami, nadzorowało codziennie realizację programu. Ministerstwo wiedziało

eprasa.pl 9b8aaefe56

o łodziach – odpowiadało na pytania operatorów, czy łodzie z silnikiem spalinowym mogły być dopuszczane. Pani Minister zapewniała przedsiębiorców, że osobiście interweniowała, by poluzować pierwotne zasady, żeby środki płynęły sprawniej i szybciej. [...] Kontrolę Pani Minister zleciła tym samym osobom, które zajmują się programem od 1,5 roku, czyli poleciła im skontrolować samych siebie [...] Nie mieszajmy PARP do polityki – to kierownictwo MFiPR ponosi odpowiedzialność za KPO HoReCa i wszystkie inne programy ze środków europejskich, które na bieżąco kontroluje".

I znów wszystkie drogi w tej kompromitującej sytuacji prowadzą do rządu. A co robi kancelaria premiera? Gdy 9 sierpnia cała Polska huczy o kasie wyrzuconej na jachty i naładowaniu kieszeni ludzi związanych z obozem rządzącym, KPRM postanawia się ratować wpisem w mediach społecznościowych o treści: „KPO to szansa na rozwój Polski! 19,4 km obwodnic wybudowanych z KPO!".

Jak można było wpaść na pomysł pochwalenia się wybudowaniem 19 km obwodnic w 1,5 roku?! W dodatku jako odwrócenie uwagi od pączkujących przypadków bulwersującego rozdawnictwa na rzecz „odpowiednich" przedsiębiorców...

Nie pomagają też szeregowi posłowie Koalicji Obywatelskiej. 8 sierpnia Katarzyna Królak zaskakuje w Polsacie: „Patrząc na region, w którym ja mieszkam, to połowa albo i większość moich znajomych, rodziny bliższej, dalszej, też dostała dofinansowania w ramach HoReCa. Przecież żyjemy w takim świecie, gdzie ludzie mają prawo pisać wnioski o dofinansowanie". Dzień później sprostuje: „Zamiast powiedzieć, że mieszkam w takim regionie, że większość moich znajomych i bliskich mogłaby dostać dofinansowanie z HoReCa w ramach KPO, powiedziałam, że większość moich znajomych i bliskich dostało dofinansowanie w ramach HoReCa z KPO, co jest oczywiście klasycznym przejęzyczeniem".

Ot, mamy nową definicję przejęzyczenia. I to klasycznego!

AFERA ZATOPI RZĄD?

Gdy w czerwcu 2014 r. wybuchła afera podsłuchowa, nie przypuszczaliśmy, że będzie miała tak wielki wpływ na scenę polityczną i stanie się jednym z głównym powodów utraty władzy przez PO. A przecież to, co zostało z rozmów u Sowy i Przyjaciół, w dużej mierze ograniczało się do fatalnego wizerunku tej ekipy, a nie ordynarnych przekrętów. Choć wiele pogawędek ministrów rządu Tuska było bulwersujących, choć omawiano m.in. skandaliczny pomysł ratowania budżetu pieniędzmi z NBP (pod warunkiem zmiany na stanowisku ministra finansów), choć dowiedzieliśmy się, że „państwo polskie praktycznie nie istnieje", a Polskie Inwestycje Rozwojowe to „ch...j, d...pa i kamieni kupa", to w masowej świadomości pozostały ośmiorniczki, którymi raczyła się polityczna elita oraz późniejsza próba siłowego wydarcia nagranych rozmów z redakcji „Wprost" przez prokuratorów i ABW.

To wystarczyło, by do Platformy na długo przylgnęła łata aroganckiej elity, która o połowie kraju mówi: „Ch...j z tą Polską wschodnią". Tusk musiał się salwować ucieczką do Brukseli, a kraj zostawił na pastwę Ewy Kopacz, nazywanej wówczas w satyrycznej rubryce tygodnika „Sieci" „królową polskiej komedii".

W kampanii wyborczej 2023 r. PiS przekonało się, że nawet wymyślona afera może kosztować utratę rządów. Tak było choćby ze sprawą wiz pracowniczych dla obcokrajowców, która uderzała w jądro programu Zjednoczonej Prawicy. Granda z KPO jest dla Donalda Tuska jeszcze groźniejsza, bo tu mamy realną aferę z realnymi korzyściami dla ludzi z otoczenia rządzących. A te realne korzyści to łatwe do wyobrażenia dla przeciętnego Polaka luksusy wyższych sfer.

„W badaniu exit poll w 2023 r. pytaliśmy o najważniejsze zadania dla rządu – odblokowanie pieniędzy z KPO było wówczas na pierwszym miejscu. I co trzeba obiektywnie stwierdzić, to była jedna z niewielu obietnic, które ten rząd spełnił. Donald Tusk pokazywał pieniądze fizycznie, więc każdy sobie myślał, że te pieniądze trafią do niego. A jedyną namacalną rzeczą w tym KPO stały się jachty. To fatalne, bo uderza w największą nadzieję – miliardy z Unii, które Tusk jest w stanie załatwić" – komentował w podcaście Układ Otwarty Łukasz Pawłowski, prezes Ogólnopolskiej Grupy Badawczej.

Problem jest dla Tuska olbrzymi. Już nawet Onet publikuje wypowiedzi przedsiębiorców, którzy głosowali ostatnio na PO, ale dziś przyznają, że „PiS jednak lepiej potrafiło nam pomóc".

I to nie są pojedyncze osoby, lecz armia tysięcy ludzi. To również pacjenci (czyli my wszyscy), którzy słyszą od rozsierdzonych lekarzy, że „szlag ich jasny trafia", bo odmówiono im finansowania ultrasonografów, foteli do chemioterapii czy pomp leków, a znalazły się pieniądze na lody czy jachty.

To wszystko z nami zostanie i będzie pączkować, bo przecież branża HoReCa to tylko 0,5 proc. całego KPO. Aż strach pomyśleć, co będzie się działo w innych.

I nawet jeżeli rząd jeszcze przez jakiś czas się utrzyma (tu główne pytanie dotyczy zachowania Szymona Hołowni i tego, czy będzie do upadłego bronił Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz – na razie marszałek milczy), to te pieniądze z Tuskowej palety przekazane żonom partyjnych działaczy jeszcze go dopadną.

Szykuje się spektakularne odpłynięcie z wielkiej polityki. Wcale nie na wypasionym jachcie, lecz jakiejś tratwie. Może nawet skleconej z tej palety pełnej pożyczonych euro.

> Posłanka KO Katarzyna Królak 8 sierpnia szczerze mówiła w Polsacie: „Patrząc na region, w którym ja mieszkam, to połowa albo i większość moich znajomych, rodziny bliższej, dalszej, też dostała dofinansowania w ramach HoReCa"

eprasa.pl 9b8aaefe56

Wielkie kłamstwo o 100 miliardach

Donald Tusk miał odzyskać dla państwa 100 mld zł rzekomo zrabowanych przez ludzi PiS. Jak ustaliliśmy, nie odzyskał nawet 1 proc. tej kwoty, złamał za to życia wielu osobom i odciągnął służby od ich realnych zadań

Wdrukowanie w głowy znacznej części Polaków przekonania, że władza PiS kradła bez opamiętania i na potęgę jest pewnie ostatnim wielkim sukcesem narracyjnym Donalda Tuska. Fala oburzenia „Willą plus", straszną aferą Funduszu Sprawiedliwości i setkami innych, omawianych dzień w dzień skandali, wyniosła Koalicję Obywatelską i jej sojuszników do władzy.

Dziś można z pełnym przekonaniem stwierdzić: kłamali. Żadnych gigantycznych nadużyć nie było. Są za to ofiary zemsty: ks. Michał Olszewski, urzędniczka z Ministerstwa Sprawiedliwości i KPRM czy brat posła Jarosława Sellina, który spędził 14 miesięcy w areszcie wydobywczym. I polskie państwo, które zamiast sprawnie pracować na rzecz obywateli, traciło czas oraz zasoby na tropienie wymyślonego rabunku.

PISOWCY, ODDAWAĆ NASZE 100 MLD!

O tym, że on, Donald Tusk, odda Polakom 100 mld zł ukradzionych w mrocznych czasach PiS, premier Rzeczypospolitej poinformował 9 sierpnia 2024 r. Uczynił to w iście moskiewskim stylu. Car Donald perorował przy pulpicie, czynownicy (ówcześni ministrowie sprawiedliwości Adam Bodnar, spraw wewnętrznych i administracji Tomasz Siemoniak oraz wciąż minister finansów Andrzej Domański) kiwali głowami przy stole, a zachwyceni dworzanie (dziennikarze liberalnych mediów) skrupulatnie zapisywali złote myśli wodza.

Ministrowie, wyjaśniał Tusk, zwrócili się do niego z prośbą, aby wyraził zgodę na podpisanie porozumienia pomiędzy resortami, on zaś udzielił tej zgody Bodnarowi, Siemoniakowi i Domańskiemu.

„Skoordynowanie pomiędzy tymi resortami jest niezbędne, abyśmy skutecznie i możliwie szybko odzyskiwali te gigantyczne kwoty, co do których mamy dowody albo przekonanie w niektórych przypadkach i praca nad szukaniem dowodów trwa, że zostały wydane w sposób nieprawidłowy, niezgodny z prawem, na szkodę interesów publicznych [sic!] albo wprost zawłaszczone" – obwieszczał szeryf Tusk.

Konferencja prasowa Donalda Tuska, Tomasza Siemoniaka, Adama Bodnara i Andrzeja Domańskiego dotycząca rzekomych nadużyć PiS, 9 sierpnia 2024 r.

Fot. KPRM

I choć tak naprawdę mówił po prostu o dotacjach dla rozmaitych instytucji, wydatkach reklamowych czy wspieranych przez rząd w czasach PiS projektach (np. słynnych wozach strażackich kupowanych z Funduszu Sprawiedliwości), mars nie opuszczał premierowskiego czoła. Siemoniak, Bodnar i Domański, korzystając z aparatu Krajowej Administracji Skarbowej, mieli „ujawnić, zabezpieczyć i odzyskać mienie Skarbu Państwa". Na KAS jako instytucję, która oszacowała kwotę rzekomych nadużyć na 100 mld zł, bardzo wyraźnie wskazał sam Tusk.

Jak oszacowała? W jaki sposób będzie odzyskiwać pieniądze? Co miało wnieść do sprawy podpisane z pompą porozumienie? O to nikt nie pytał, nikt się tym nie przejmował. Wtedy jeszcze wiatr dmuchał w żagle koalicji 13 grudnia. Minimalnie, bo minimalnie, ale wygrali wybory europejskie, pozbawili PiS dotacji budżetowych, zakładali, że za kilka miesięcy będą mieli swojego prezydenta. A o „ukradzionych przez PiS 100 mld" powiedzieć zawsze dobrze,

eprasa.pl 9b8aaefe56

zwłaszcza przed przedłużonym weekendem – 9 sierpnia wypadał w piątek, w tygodniu dni robocze przedzielało Święto Wojska Polskiego. Miało się nieść i się niosło.

NIE MA I NIE BĘDZIE

Mija dokładnie rok od Tuskowej putinady. Jest już jasne, że żadnych 100 mld nie ma i nie będzie. Jak twierdzą funkcjonariusze KAS, z którymi udało nam się porozmawiać, jeśli kiedyś na podstawie robionych przez nich audytów dałoby się przerzucić z powrotem do państwowej kasy chociaż 5 mld, byłby to niebywały wynik. Ale raczej się nie da. 2 mld? Może. 1 mld? Już bardziej prawdopodobne, choć i tak mniej pewnie. Na razie kwota na pewno nie przekroczyła 1 mld. I nie mówimy oczywiście o zwróconej gotówce, a raczej trwającej egzekucji. Trzeba pamiętać, że jeśli komuś uda się ostatecznie coś zabrać, sprawa może jeszcze zmienić obrót w sądzie.

Nawet tu, przy tych marginalnych wobec zapowiedzi kwotach, mamy kuriozalne wręcz ściemy. Do „odzyskanych" środków zalicza się np. dotację zwróconą przez Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego. Po tym, jak władzę przejęli w niej ludzie obecnej władzy, państwowa instytucja oddała niewydaną jeszcze dotację swojemu właścicielowi i nadzorcy, czyli państwu. Takie to „odzyskiwanie".

Teraz instytut już nic nie będzie musiał oddawać, bo Dmowskiego i Paderewskiego w nazwie zastąpił Narutowicz, a dyrektorem placówki jest pupil liberalnych salonów prof. Adam Leszczyński.

NIE CHCIELI IŚĆ PO BANDZIE

Dlaczego piarowa operacja Tuska nie mogła się udać? Z dwóch powodów. Po pierwsze, w przygniatającej większości po prostu nie było żadnych istotnych nieprawidłowości pozwalających skonfiskować pieniądze albo postawić kogoś przed sądem. Można się spierać o poszczególne dotacje – jedne zakończyły się ewidentnymi sukcesami, inne wyglądają całkiem sensownie, są też wątpliwe czy rzeczywiście dziwne – ale tego typu spory toczą się od zawsze i za każdej władzy.

Po drugie, skarbowcy, prokuratorzy, a nawet sędziowie nie chcieli iść po bandzie, naginając czy wręcz łamiąc prawo, by spełnić zachciankę wodza. Jakiekolwiek nadzieje radykałów na spektakularne sukcesy w „rozliczaniu" i „odzyskiwaniu" załamały się po przegranej Rafała Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich. Dziś mamy tylko coraz bardziej groteskowe pogróżki nowego ministra sprawiedliwości i umarzane po cichu śledztwa.

„Były szumne zapowiedzi, a nawet pierwsze zwroty. Ministra Joanna Mucha przekonywała, że MEN odzyska kolejne miliony rozdane w ramach »Willi plus«. Ale postępowania zwrotowe utknęły, a beneficjenci w rozmowach z radiozet.pl mówią, że pieniędzy nie zamierzają oddawać" – z wyraźnym zawodem informowała w kwietniu br. rozgłośnia należąca do Agory.

„Dotychczas z rozdzielonych 40 mln zł do budżetu państwa wróciło zaledwie 3,5 mln zł. Te środki beneficjenci zwrócili dobrowolnie. Stało się to, zanim zdążyli je wydać" – dodawali dziennikarze Zetki.

Jednym z oskarżanych o najstraszniejsze rzeczy beneficjentów programu Ministerstwa Edukacji Narodowej była lubelska fundacja Pod Damaszkiem. Pieniądze posłużyły jej na zakup niewielkiego (88 m²) lokalu w centrum Lublina. Zorganizowano tam Akademię Prawdy, Dobra i Piękna im. św. Ojca Pio, gdzie młodzi ludzie uczą się języków, otrzymują darmowe korepetycje i wsparcie psychologiczne.

„Na żadnym etapie postępowania kontrolnego czy sprawdzającego ministerstwo nie zakwestionowało naszych działań w sprawie zakupu nieruchomości. Nie zwracało się do nas także w sprawie zwrotu dotacji na zakup lokalu. Otrzymaliśmy tylko wezwanie do zwrotu 25 tys. zł za miejsce parkingowe przed budynkiem. Opinie prawników w tej sprawie były podzielone, ale uznaliśmy, że nie będziemy dyskutowali z ministerstwem. I te pieniądze oddaliśmy dość szybko" – mówił w kwietniu br. ks. Mirosław Matuszny, przewodniczący rady fundacji.

PANOWIE SIĘ BAWIĄ

Zapytaliśmy KAS, w jaki sposób oszacowano kwotę, o której mówił Tusk. Chcieliśmy się dowiedzieć, na czym polega mechanizm odzyskiwania środków, jaka jest podstawa prawna działań i wreszcie, ile miliardów z tych 100 udało się już odzyskać i od kogo. I choć początkowo obiecywano nam informacje, do czasu zamknięcia tego wydania tygodnika „Sieci" nie otrzymaliśmy nic. „Niestety, dziś już nie damy rady" – napisała do nas tylko rzeczniczka szefa KAS asp. Justyna Pasieczyńska.

Wszyscy wiedzą, że akurat funkcjonariusze KAS mieli i mają w tej sprawie najmniej do powiedzenia. Tajemnicą poliszynela jest też to, że kwota 100 mld zł została ulepiona nie na Świętokrzyskiej, tylko w Kancelarii Premiera albo w willi przy ul. Parkowej. I że nikt rozsądny w KAS nie kwapi się do wyciągania rąk po pieniądze na podstawie dętych, ewidentnie politycznych pomysłów.

– Panowie politycy się bawią, a niewinni cierpią i muszą się tłumaczyć, bo jest zapotrzebowanie polityczne – mówi nam Agata Jagodzińska, przewodnicząca Związkowej Alternatywy w KAS. – Gdyby nieprawidłowości w wydatkowaniu tychże środków były ogromne, spektakularne, to już byśmy o tym wiedzieli. I nie mówię, że jakichś nieprawidłowości w ogóle nie było, bo zawsze tam, gdzie rąbie się drewno, lecą wióry, ale nie są one wielkie – dodaje.

Jagodzińska podkreśla, że to, co w trakcie audytów rzeczywiście wzbudziło podejrzenia o malwersacje, trafiło do prokuratury, a skarbowcy od początku mówili o „zasadzie proporcjonalności i zjawisku koszt–efekt". – W sprawach środków publicznych jednak powinniśmy skupić się na merytoryce, celu oraz efekcie, jaki dane dofinansowanie miało osiągnąć – podkreśla. – Audyty pokazują, że nie były zbyt efektywne, a obciążyły pracowników i funkcjonariuszy KAS pracą, która mogła być wykorzystana w innym, lepszym miejscu – puentuje działaczka.

Łukasz Wróblewski

eprasa.pl 9b8aaefe56

Nowe rozdanie Hołowni

Jeśli marszałek Sejmu wytrzyma presję i przejdzie do ofensywy, przed wyborami w 2027 r. powstanie alternatywna koalicja rządząca

STANISŁAW JANECKI

Marszałek Sejmu Szymon Hołownia ma już świadomość, że przygoda jego samego i Polski 2050 w koalicji rządzącej dobiega końca. Musi więc uciec do przodu. Z kolei Władysław Kosiniak-Kamysz obawia się, że Polskie Stronnictwo Ludowe znajdzie się pod progiem wyborczym albo zostanie pożarte przez Tuska, jeśli będzie trwało w obecnych układach. Wbrew zaprzeczeniom od kilku miesięcy toczą się rozmowy o zmianie układu rządzącego, czyli odsunięciu Koalicji Obywatelskiej (KO) i Donalda Tuska od władzy oraz stworzeniu większości przez Prawo i Sprawiedliwość, Konfederację i Polskę 2050 (przy ewentualnej neutralności PSL lub jego warunkowym wsparciu w konkretnych sprawach). Tyle tylko, że mniejsze partie boją się takiego rozwiązania przed wyborami parlamentarnymi w 2027 r. Ale maszyna zmian ruszyła.

Politycy KO oraz oddani im pracownicy mediów coś wyczuli, dlatego przypuścili atak na Szymona Hołownię, szczególnie po jego spotkaniu z Jarosławem Kaczyńskim w mieszkaniu Adama Bielana. Wicenaczelny „Gazety Wyborczej" Bartosz Wieliński nazwał marszałka Sejmu „nielojalnym i obłudnym". Hołownia jest oskarżany o bycie „piątą kolumną PiS", gdyż negocjował nową koalicję i pozycję premiera bądź utrzymanie się do końca kadencji na stanowisku marszałka Sejmu. Dlatego lider Polski 2050 musi grać na „zwarcie z Tuskiem".

„Żelazny" elektorat Platformy Obywatelskiej jeszcze w czerwcu 2025 r. zaczął nazywać Hołownię „zdrajcą" uczestniczącym w „zdradzieckich spotkaniach". Marszałek Sejmu robi to, co robi, gdyż przewiduje, że w listopadzie 2025 r., gdy według umowy koalicyjnej dojdzie do zmiany na stanowisku marszałka Sejmu, rząd Tuska będzie miał fatalne notowania, więc trwanie do końca w takim „upadłym" gabinecie stanowiłoby dla niego wielki kłopot. Lider Polski 2050 obawia się też, że byłby to zapewne koniec jego spektakularnej kariery. Dlatego jedynym ratunkiem dla niego i szansą zachowania wpływów jest zbudowanie swego politycznego zaplecza od nowa.

Już na początku lutego 2025 r. bliscy współpracownicy Hołowni dali koalicjantom do zrozumienia, że dogadał się on z opozycją i na mocy tego tajnego porozumienia nie tylko pozostanie marszałkiem, lecz także doprowadzi do stworzenia nowej koalicji PiS–PSL–Polska 2050, dysponującej większością ok. 250 mandatów. Do przejęcia władzy niepotrzebna byłaby więc Konfederacja. Stało jednak za tym kompletnie nierealistyczne założenie, że w taki układ weszłoby PSL i większość posłów z klubu Polski 2050.

Obecnie pomysł jest inny: najpierw nowa partia, a potem nowa koalicja na wybory parlamentarne jesienią 2027 r.

DRUGA SZANSA

W sierpniu 2025 r. sytuacja dojrzała do tego, żeby marszałek Szymon Hołownia, który swoimi decyzjami o przeprowadzeniu zaprzysiężenia Karola Nawrockiego na prezydenta oderwał się od Tuska, a nawet się z nim skonfliktował, a także pokazał charakter oraz polityczną „dorosłość", stanął na czele nowej partii. Składałaby się ona z części obecnej Polski 2050, niewielkiej części PSL, części Konfederacji, większości partii Razem, niewielkiej części Nowej Lewicy, a także z niektórych polityków w różnych latach należących do PiS oraz PO. Byliby w niej również ludzie w pewnych okresach popierający Pawła Kukiza i należący do Nowoczesnej, gdy przewodził jej Ryszard Petru. Byłyby też osoby wspierające w kampanii prezydenckiej Artura Bartoszewicza, Marka Wocha czy Krzysztofa Stanowskiego. Nowa partia wchłonęłaby także różnych rozbitków, którzy zostali wypchnięci z PO czy Nowoczesnej i są surowymi krytykami rządów Donalda Tuska. Hołownia uważa, że nie ma innego wyjścia, bo gdyby chciał odgrywać rolę rozjemcy w polskiej polityce, koalicjanci by mu na to nie pozwolili. Dla nich lepszy jest taki wariant, że lider Polski 2050 pozostaje stroną najważniejszego konfliktu politycznego – między PiS a koalicją 13 grudnia.

„Wyzwolony" z żelaznego uścisku Tuska Hołownia nie chciał firmować tzw. rządu technicznego z nim jako premierem. Taki gabinet siłą rzeczy musiałby doprowadzić do wcześniejszych wyborów, np. już w połowie 2026 r., do czego Polska 2050 była kompletnie nieprzygotowana. W dodatku po nocnym spotkaniu Hołowni z Kaczyńskim koalicjanci weszli w etap „totalnej nieufności", co oznacza m.in. inwigilowanie partnerów, żeby wiedzieć, co „knują". Sam Tusk zaczął grać na rozbicie lub rozczłonkowanie klubu Polski 2050. Zaufany Tuska Paweł Graś prowadził rozmowy o transferach do Koalicji Obywatelskiej, oferując biorące miejsca na listach przed wyborami w 2027 r. Premier chce, żeby większość posłów Polski 2050 skończyła w KO, a wtedy czeka ich los wcześniej pożar-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9b8aaefe56

tych polityków partii dokooptowanych do Koalicji Obywatelskiej.

Nawet tuż po przegranych wyborach prezydenckich 18 maja 2025 r. Szymon Hołownia dawał sygnały, że w połowie listopada 2025 r. nie będzie chciał oddać funkcji marszałka Sejmu. Jego pozostanie na tym stanowisku było wtedy warunkiem utrzymania koalicji 13 grudnia. Ludzie Hołowni rozpowiadali, że marszałek nie odejdzie sam, więc rządząca koalicja będzie musiała „siłowo" przegłosować jego usunięcie. Policzono wtedy, że za jego odwołaniem mogłoby się opowiedzieć nie więcej niż 200 posłów, gdyż opozycja nie poszłaby na rękę Tuskowi oraz Czarzastemu i nie poparła tego wniosku. Nie miałaby w tym żadnego interesu, choćby dlatego, że Jarosław Kaczyński już na początku 2025 r. mówił o ewentualnej nowej koalicji z PSL i Polską 2050.

Już w listopadzie 2024 r. Michał Kobosko, eurodeputowany Polski 2050, odgrażał się w Polsat News, że skoro Lewica cały czas atakuje polityków Polski 2050 i PSL, w tym marszałka Hołownię, on nie może zagwarantować, że posłowie istniejącej wtedy jeszcze Trzeciej Drogi zagłosują za Czarzastym. Wcześniej także politycy Polskiego Stronnictwa Ludowego, np. Marek Sawicki, opowiadali się za zachowaniem przez Hołownię funkcji marszałka przez cztery lata.

Szymon Hołownia chciał (a nawet z kilku powodów musiał) zostać, a Donald Tusk za wszelką cenę chciał uniknąć „siłowego" głosowania nad ustąpieniem obecnego marszałka Sejmu, zaczął więc szukać rozwiązania zastępczego, czyli takiego, żeby lider Polski 2050 sam zrezygnował. Hołowni zaproponowano funkcję wicepremiera (a nawet pierwszego wicepremiera), ale ten nie był zainteresowany posadą w rządzie. Obawiał się, że upadłby razem z gabinetem Tuska i byłby to też prawdopodobnie koniec jego spektakularnej kariery, a przecież ma dopiero 48 lat. Tym bardziej jeśli przyjąłby propozycję funkcji wicepremiera zaraz po wyborach prezydenckich. Ale zdecydowanie odmówił.

Przegrane głosowanie w sprawie odwołania Szymona Hołowni z funkcji marszałka byłoby katastrofą dla Donalda Tuska i prawdopodobnie doprowadziłoby do rozpadu koalicji 13 grudnia.

eprasa.pl 9b8aaefe56

LIDER JAK NOWY

Taki Szymon Hołownia, jakim był przed 1 czerwca 2025 r., nie byłby w stanie zostać liderem nowej siły politycznej, ale w sierpniu 2025 r. to się zmieniło. Problemem pozostaje, że marszałek Sejmu nie ma już większościowego poparcia we własnym klubie. Zostało w nim 30 posłów i ta liczba by wystarczyła, żeby rozbić koalicję 13 grudnia oraz stworzyć nową większość rządzącą z PiS i Konfederacją albo doprowadzić do wcześniejszych wyborów. Ale lidera Polski 2050 popiera tylko 12 posłów, pod pewnymi warunkami jeszcze 3–4. A to za mało, więc obecny marszałek Sejmu raczej będzie musiał dążyć do stworzenia nowej partii i pójścia z nią na wybory w 2027 r. Podstawowa różnica między nową formacją a Polską 2050 jest taka, że nie wchodziłaby ona w żadne układy z Donaldem Tuskiem, tylko z Jarosławem Kaczyńskim. Hołownia ma plany, by nowa partia wyniosła go do funkcji premiera w przyszłym rządzie, ale to zależy wyłącznie od jej siły. Gdyby nie była ona wystarczająca, stanowisko premiera będzie poza zasięgiem Szymona Hołowni, ale już całkiem realna jest funkcja marszałka Sejmu, i to nie na dwa lata, lecz na całą kadencję.

Nie tylko Szymon Hołownia odkrył, że po niecałych 20 miesiącach rządów Tuska i kompletnym wyjałowieniu ugrupowań koalicyjnych, gdy chodzi o świeżość, witalność, dynamikę i pomysłowość, w polskiej polityce jest miejsce na coś nowego. I być może to ostatni moment, żeby coś takiego nie tylko się pojawiło, lecz także odniosło sukces. Polska 2050 w istotnym stopniu pomogła Donaldowi Tuskowi odzyskać władzę, co wyniosło Szymona Hołownię do funkcji marszałka Sejmu i dało jego partii trzy stanowiska szefów resortów. Ale potem formacja Hołowni była coraz bardziej ociosywana z oryginalności i odmienności, konformizowana i ustawiana w roli przystawki. Po prawie dwóch latach Szymon Hołownia zna już wszystkie wady współpracy z Tuskiem, wszystkie zagrożenia i wie, że obecny układ władzy się wyczerpał, a w przyszłości jest nie do powtórzenia. Chyba że w postaci jednej listy na wybory w 2027 r., co właściwie oznaczałoby koniec Polski 2050.

Gdyby nie przyspieszone dojrzewanie Hołowni przed zaprzysiężeniem Karola Nawrockiego i jego odmowa wzięcia udziału w zamachu stanu, nie byłby on w stanie stworzyć czegoś nowego. Ale odzyskał wiarygodność i stał się w pewien sposób politykiem uniwersalnym oraz jednoczącym. Dlatego może dostać drugą szansę i może mu się udać. Tym bardziej że nastroje są takie, iż powinna powstać nowa partia i przełamać obecne zapętlenie oraz pewnego rodzaju beznadzieję. W historii polskiej polityki po 1989 r. były już takie przesilenia dające drugą szansę, a ich beneficjentami są m.in. Jarosław Kaczyński, Donald Tusk czy Sławomir Mentzen. Jeszcze większe zbliżenie z Koalicją Obywatelską byłoby zabójcze dla mniejszych koalicjantów, tym bardziej że ugrupowanie Tuska ciągnie wszystkich w dół. Ale jest na tyle duże i stoi za nim sam premier, że wciąż stanowi realną siłę. Jest to jednak siła destrukcji i patologii, co najlepiej pokazuje afera z dofinansowaniem z KPO wszystkich chętnych krewnych i znajomych królika, czyli w ogromnej większości ludzi powiązanych z KO. I nic tu nie zmienia fakt, że szefowa resortu funduszy Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz reprezentuje Polskę 2050, a nawet jest jej wiceprzewodniczącą. Wciągnął ją (dosłownie po szyję) system stworzony przez Donalda Tuska i czołowych polityków Platformy Obywatelskiej oraz powiązane z nimi lokalne sitwy.

> Toczą się rozmowy, by trwale wyeliminować Donalda Tuska i Koalicję Obywatelską z układu rządowego, który wyłoni się po wyborach parlamentarnych w 2027 r., a może nawet wcześniej

KORDON SANITARNY WOKÓŁ TUSKA

Toczą się rozmowy, by (w różnym czasie w zależności od sytuacji) trwale wyeliminować Donalda Tuska i Koalicję Obywatelską z układu rządowego, który wyłoni się po wyborach parlamentarnych w 2027 r., a może nawet wcześniej. Dla obecnej opozycji, a także Polski 2050 optymalne by było otoczenie Tuska i KO czymś w rodzaju kordonu sanitarnego. Ale żeby pozostawał on szczelny, potrzebne będzie PSL. A Władysław Kosiniak-Kamysz wciąż nie chce podjąć takiej decyzji. Woli to, co ma obecnie, nawet jeśli wielu członków PSL to nie zadowala. Choć dołączenie ludowców do przyszłego układu rządzącego przesądziłoby o izolacji Tuska, skomplikowałoby funkcjonowanie nowej większości, gdyż PSL zawsze chce dużo, i to ważnych stanowisk. Potrzebna jest też oczywiście Konfederacja. Nieprzypadkowo tyle hałasu wywołał pierwszy punkt Deklaracji Polskiej Jarosława Kaczyńskiego skierowany wprost do tej partii: „Sprzeciw wobec koalicji z siłami Donalda Tuska: Wykluczenie możliwości tworzenia koalicji z udziałem sił politycznych Donalda Tuska i jego współpracowników. Zapowiedź pociągnięcia Tuska i jego współpracowników do odpowiedzialności karnej i cywilnej za ich działania". Sławomir Mentzen uznał to za ustawienie Konfederacji w roli przystawki do skonsumowania i odebranie jej wszelkiego pola manewru.

Nawet bez PSL, a z nową partią z Hołownią na czele, możliwe jest pozbawienie Tuska władzy, a także jego osądzenie. Dla obecnych koalicjantów premiera byłoby to wygodne, gdyż zdejmowałoby z nich współodpowiedzialność za rządzenie po 13 grudnia 2023 r. Objęłaby ich swego rodzaju amnestia.

Wiele wskazuje na to, że nowa formacja pod kierownictwem Hołowni będzie zawiązywana do połowy 2026 r., a może już przed końcem tego roku powstanie projekt nowej większości rządzącej, na lata wypychającej z gry Donalda Tuska i Koalicję Obywatelską. Wielu polityków różnych ugrupowań sądzi, że warto spróbować oczyścić polską politykę z trucizny, jaką wlewa do niej Tusk i jego bezpośrednie zaplecze polityczne.

eprasa.pl 9b8aaefe56

Fot. #Nawrocki2025/x.com

Nawrocki w Białym Domu

O czym polski prezydent powinien rozmawiać z Donaldem Trumpem? Oto moja propozycja

MAREK BUDZISZ

Przed spotkaniem z Putinem na Alasce Donald Trump stwierdził, że będzie potrzebował kilku pierwszych minut, aby wiedzieć, czy rozmowy zakończą się porozumieniem. „Być może powiem – deklarował amerykański prezydent – dużo szczęścia, walczcie nadal", ale niewykluczone jest też, że konkluzja będzie inna, w rodzaju: „Możemy się dogadać". Karoline Leavitt, rzeczniczka Białego Domu, opisując nastawienie amerykańskiego prezydenta, zaznaczyła, że negocjacje będą przede wszystkim „ćwiczeniami ze słuchania" i Trumpowi zależy na tym, aby „lepiej zrozumieć sytuację" i wiedzieć, czy porozumienie jest możliwe.

Krytycy obecnej administracji w rodzaju Daniela Frieda z Atlantic Council, w przeszłości ambasadora w Polsce, zwracają uwagę na „intuicyjny" charakter polityki Trumpa. Ich zdaniem w jego przypadku mniej liczą się informacje dostarczane przez personel Narodowej Rady Bezpieczeństwa i Departamentu Stanu (który notabene w związku z polityką oszczędności w maju został zredukowany o 25 proc.), a bardziej osobiste odczucia i wrażenia. Amerykański prezydent nie kryje się zresztą z okazywaniem sympatii lub antypatii, co było widać w czasie spotkania z Ursulą von der Leyen w Szkocji w czasie rozmów kończących negocjacje handlowe z UE, kiedy publicznie, jak uważają dziennikarze, upokorzył szefową Komisji Europejskiej, przyjmując ją w przerwie między kolejnymi partiami golfa. Pokazał też, gdzie lokują się jego sympatie, kiedy po telefonicznej rozmowie z przywódcami europejskich państw przed spotkaniem na Alasce powiedział, że konsultował amerykańskie stanowisko z „bardzo mądrym politykiem" Viktorem Orbánem, który demonstracyjnie odmówił podpisania europejskiego stanowiska w sprawie zakończenia wojny na Ukrainie.

Złośliwi komentatorzy piszą, że Trump „filtruje wszystkie informacje" i postrzega świat przez pryzmat swej

eprasa.pl 9b8aaefe56

narcystycznej osobowości, ale nie zmienia to faktu, że na decyzje polityczne Waszyngtonu dominujący wpływ mają osobiste zapatrywania i antypatie amerykańskiego prezydenta. Jest to o tyle istotne, że na początku września na robocze spotkanie do Białego Domu został zaproszony Karol Nawrocki i ta wizyta może nie mieć wyłącznie kurtuazyjnego wymiaru.

BEZPIECZEŃSTWO POLSKI

Zastanówmy się, o czym polski prezydent winien rozmawiać z Donaldem Trumpem, pamiętając, że spotkanie musi się zakończyć sukcesem, bo amerykański prezydent dba o swój wizerunek polityka skutecznego, dealmakera, człowieka rozwiązującego konflikty i problemy od lat przykuwające uwagę świata. Nie jest też człowiekiem przesadnie wchodzącym w szczegóły, rozmowy Nawrocki–Trump nie będą zatem detalicznym przeglądem dziesiątek spraw, a raczej winny koncentrować się na jednym, za to znaczącym przesłaniu.

Z pewnością powinno ono dotyczyć bezpieczeństwa Europy, przede wszystkim Polski i wschodniej flanki NATO, siły odstraszania Rosji i modelu, do którego mamy wspólnie dążyć. Jego kontury, choć jeszcze niewyraźnie, już można dostrzec.

Po pierwsze, Ameryka nie porzuca Europy, choć zmieniają się priorytety Waszyngtonu. W długim eseju opublikowanym w „Foreign Policy" Michael Hirsh napisał o generacyjnej zmianie w amerykańskiej polityce zagranicznej. Jego zdaniem niezależnie od partyjnych sympatii do głosu dochodzi nowe pokolenie, reprezentowane choćby przez J.D. Vance'a czy Elbridge'a Colby'ego, obecnie 40–50 latków, którzy wyznaczą nowy kurs Ameryki. W jego przekonaniu nie są oni izolacjonistami, choć głoszą konieczność zmiany priorytetów. Uważają, że Ameryka nie jest już w stanie odgrywać roli światowego policjanta, państwa utrzymującego porządek i równowagę sił w najdalszych zakątkach globu, musi się skoncentrować na sprawach najważniejszych. W przeciwnym razie ciągle będzie wikłana w wojny, które – tak jak w przypadku Afganistanu czy Iraku – będą wyczerpywać jej zasoby, wzmacniając jednocześnie – bo siła ma charakter relacyjny – przeciwników, którzy tak jak Chiny będą prowadzić politykę ostrożną, bez przesadnego zaangażowania. Z podobnymi co republikanie tezami występują też młodsi eksperci z kręgu demokratów w rodzaju Miry Rapp-Hooper czy Rebekki Lissner.

Jeśli zatem J.D. Vance mówi w wywiadzie w Fox News: „Skończyliśmy z finansowaniem wojennego biznesu Ukrainy", to jego słowa należy traktować poważnie, również w kategoriach opisu przyszłego modelu. Oznaczają one również to, że model bezpieczeństwa na wschodniej flance NATO, w tym polityka odstraszania Rosji, to zadanie w pierwszym rzędzie dla państw graniczących z Federacją Rosyjską i Ukrainą, a nie główne zmartwienie Stanów Zjednoczonych.

Jeśli chcemy mieć wpływ na bieg spraw, to prezydent Nawrocki musi przedstawić w Waszyngtonie wizję odpowiadającą zarówno naszym interesom, jak i wpisującą się w politykę zmiany amerykańskich priorytetów oraz szukania oszczędności. Same deklaracje w zakresie zwiększenia wydatków wojskowych państw naszego regionu nie wystarczą, bo Amerykanie uznają ich wzrost za oczywiste i nie wymagające aplauzu zachowanie państw zagrożonych wojną.

Elbridge Colby, jeszcze zanim został osobą nr 3 w Pentagonie, powiedział Litwinom, że „na ich miejscu wydawałby nawet 10 proc. PKB na bezpieczeństwo", bo w pierwszym rzędzie to oni mogą zostać zaatakowani. To samo powiedział w marcu pod adresem rządu Tajwanu, dodając przy tym, że wyspa „jest ważna dla Stanów Zjednoczonych, ale nie egzystencjalnie", co zostało zinterpretowane jako deklarację pomocy w razie ewentualnego chińskiego ataku, ale już niekoniecznie wejścia Ameryki do wojny.

OBECNOŚĆ ŻOŁNIERZY USA

Colby pracuje właśnie nad przeglądem amerykańskiej obecności wojskowej w świecie i uważa się, że we wrześniu Pentagon może podjąć decyzję o redukcji swego zaangażowania, w tym w Europie. Eksperci uznają wycofanie części amerykańskich wojsk za niemal pewne, zastanawiają się jedynie, którą opcję wybierze Trump: czy cofnie decyzję Bidena o przysłaniu do Polski, Rumunii i państw bałtyckich kontyngentu rotacyjnego – bo po wybuchu wojny na Ukrainie do naszej części Europy dyslokowano ok. 20 tys. żołnierzy – czy raczej opowie się za likwidacją części z 35 baz wojskowych, jakie Amerykanie mają w Niemczech.

Berlin intensywnie pracuje nad tym, aby wycofanie objęło w pierwszym rzędzie Polskę oraz państwa naszej części Europy i prezydent Nawrocki w rozmowach z Trumpem winien skoncentrować się przede wszystkim na tej kwestii. Nie chodzi jednak o prośby, aby Biały Dom nie zmniejszał obecności wojskowej w naszym kraju, a raczej o przedstawienie spójnej koncepcji, jak wzmocnić wschodnią flankę, wykorzystać doświadczenia wojny ukraińskiej i zredukować amerykańskie zaangażowanie.

Paradoks sytuacji, w której się znaleźliśmy, polega bowiem na tym, iż można jednocześnie wzmocnić siły NATO, pozycję Polski i zmniejszyć bezpośrednie zaangażowanie wojskowe Stanów Zjednoczonych. Napisał o tym gen. Matthew van Wagenen, zastępca szefa sztabu amerykańskich sił lądowych w Europie, który wraz ze współpracownikami napisał artykuł prezentujący nowe rozwiązania. Jego zdaniem należy połączyć modernizację NATO-wskich sił lądowych, które w związku z doświadczeniami wojny na Ukrainie muszą się zmienić, z budową nowego systemu odstraszania Rosji. Zaproponował on utworzenie linii odstraszania na wschodniej flance. Jego zdaniem w tym celu należy przede wszystkim wzmocnić zdolności sił lądowych państw graniczących z Rosją do współdziałania. To oznacza testowanie w warunkach poligonowych zdolności do wspólnej walki, weryfikację umiejętności istniejących związków taktycznych, tworzenie nowych, wprowadzanie zmian i przede wszystkim budowanie solidnych zdolności bojowych na wysuniętych pozycjach, a także położenie nacisku na kooperację między siłami zbrojnymi państw regionu i proaktywną postawę. Jest to tym

eprasa.pl 9b8aaefe56

istotniejsze, że doświadczenia wojny na Ukrainie są jednoznaczne: trzeba nie tylko walczyć inaczej, masowo stosując systemy bezzałogowe, lecz także nasze zdolności wojskowe muszą być przesunięte możliwie blisko linii ewentualnego starcia. Walczy się bowiem szybciej, nie ma czasu na korygowanie błędnych decyzji, a tym bardziej dyslokację wojsk z Europy Zachodniej na Wschód, co może zająć wiele dni. Strefa graniczna musi zostać przekształcona w obszar, gdzie przy użyciu zdolności bezzałogowych siły rosyjskie zostaną osłabione, zatrzymane i zniszczone.

LINIA ODSTRASZANIA WSCHODNIEJ FLANKI

Innymi słowy, autorzy proponują stworzenie obszaru o głębokości kilku kilometrów, gdzie „w pierwszym szeregu" znajdą się sensory akustyczne, które będą uruchamiać systemy bezzałogowe, a te wejdą do walki, zanim nastąpi kontakt z „klasycznymi" wojskami lądowymi. W tym samym czasie kompleksy obrony powietrznej przeciwnika będą niszczone również przez siły bezzałogowe i artylerię różnych typów, co ma umożliwić lotnictwu przeprowadzenie głębokich uderzeń. Kluczem do zwycięstwa jest zdolność sił lądowych, które w momencie wybuchu będą na pozycjach, do ich utrzymania w czasie ataku przeciwnika i szybkiego przejścia do kontruderzenia.

Realizacja tego projektu wymaga nie tylko przesunięcia potencjału sił lądowych na granicę. Niezbędne będzie także uzyskanie zdolności do walki na różnych, lokalnych teatrach działań. To z kolei oznacza, że nasze związki taktyczne muszą zarówno uczyć się współpracować z Finami, Szwedami i Bałtami, jak i znać teren, w którym być może przyjdzie im walczyć. A może to być nie tylko Polska, bo wschodnia flanka jest znacznie rozleglejsza. W związku z tym Amerykańscy wojskowi proponują nie tylko pogłębienie integracji wojskowej państw wschodniej flanki, lecz także przygotowanie się do sytuacji, w której możemy wysłać nasze wojska np. do Estonii. To wymaga decyzji politycznych, odpowiednich umów międzypaństwowych i uznania, że za zatrzymanie pierwszego uderzenia Rosjan w pierwszym rzędzie odpowiadają państwa regionu.

Elementem tej zmiany jest też przyswojenie doświadczeń z wojny na Ukrainie, w tym docenienie roli świadomości sytuacyjnej i systemów bezzałogowych. Gen. van Wagenen podobnie jak wielu innych wojskowych świata zachodniego jest zdania, iż wszystko zależy od zdolności do zmiany, wprowadzenia nowych rozwiązań. Mamy pięć lat, aby zmodernizować nasze armie, bo Rosjanie nie czekają i wykorzystują doświadczenia wojny. Musimy się wzmocnić i zmienić to, jak będziemy walczyć, w podobnym czasie.

> Prezydent Nawrocki powinien powiedzieć Trumpowi: „Pomoc Amerykanów jest nam potrzebna, ale nie chodzi o to, aby marines wyręczali nas w dziele obrony własnego kraju"

Szef Pentagonu Pete Hegseth również jest zwolennikiem zmian w amerykańskich siłach zbrojnych. Kilka tygodni temu zadeklarował, że Stany Zjednoczone staną się światowym liderem w zakresie zastosowania systemów bezzałogowych w walce i Amerykanie energicznie testują nowe rozwiązania. Ich zaletą jest też to, że aby skuteczniej walczyć, wcale nie potrzeba więcej żołnierzy, co potwierdzają każdego dnia Ukraińcy.

Takie podejście oznacza, że uruchamiając zmiany w naszych siłach zbrojnych, jesteśmy w stanie zwiększyć nasze odstraszanie i zdolności oraz wypełnić lukę związaną z ewentualną redukcją amerykańskiego personelu. Może ona przyjąć inny charakter i w miejsce brygad zmechanizowanych Amerykanie przyślą nam instruktorów nadzorujących i koordynujących przekształcenie oraz modernizację naszych sił lądowych.

Nieco upraszczając ten obraz, możemy mieć ciastko i zjeść ciastko. Amerykanie będą mogli zredukować personel swych sił zbrojnych i pokazać oszczędności, bo bardziej postawimy na jakość, a nie ilość. Rozpoczniemy reformy w naszej armii, które i tak są potrzebne. Zaczniemy się dostosowywać do nowej „gramatyki wojny", wykorzystując we współpracy z Amerykanami doświadczenia ukraińskie. Pokażemy wolę przywództwa na wschodniej flance, bo linia odstraszania bez nas nie ma szansy powstać. Uruchomienie zmian postulowanych przez gen. van Wagenena poprawi też nasze relacje z Ukrainą. Przede wszystkim dlatego, że rozwój zdolności w zakresie systemów bezzałogowych – a to jest kierunek przyszłości – nie jest możliwy bez budowy całego sektora rodzimego przemysłu zbrojeniowego. Ten sektor B, skoncentrowany na nowych technologiach, musi wykorzystywać doświadczenia i dokonania Ukrainy, a w Polsce ma on szansę zaistnieć tylko wtedy, gdy uruchomimy prywatną inicjatywę w tym obszarze. Potrzebna jest nam „nowa ustawa Wilczka" mobilizująca polskich przedsiębiorców i windująca nas do roli jednego z głównych graczy na rynku nowego uzbrojenia. Może to też przyspieszyć rozwój gospodarczy naszego kraju.

Prezydent Nawrocki powinien powiedzieć Trumpowi: „Jesteśmy za utworzeniem linii odstraszania wschodniej flanki, będziemy reformować nasze siły zbrojne i budować nowy przemysł zbrojeniowy. Pomoc Amerykanów jest nam potrzebna, ale nie chodzi o to, aby marines wyręczali nas w dziele obrony własnego kraju. Jesteśmy też w stanie porozumieć się z sąsiadami, zarówno w basenie Bałtyku, jak i z Ukrainą, i zbudujemy nowy, przyjazny Ameryce układ sił. Waszyngton ma w Europie Środkowej partnera, który może zbudować stabilny model bezpieczeństwa, zachęcić amerykańskich inwestorów i odstraszać Federację Rosyjską. Potrzebujemy wsparcia, a nie prosimy o to, aby Ameryka ponosiła główne ciężary".

eprasa.pl 9b8aaefe56

Naturalnie i z klasą

W dniu zaprzysiężenia prezydenta Karola Nawrockiego wszystkie oczy skierowane były nie tylko na głównego bohatera tych zdarzeń, lecz także na jego małżonkę Martę Nawrocką. Jaka będzie nowa pierwsza dama? Czy poradzi sobie z medialną nagonką, której tak boleśnie doświadczała jej poprzedniczka Agata Kornhauser-Duda?

DOROTA ŁOSIEWICZ

W dniu zaprzysiężenia, podobnie jak podczas całej kampanii wyborczej, Marta Nawrocka stała u boku męża, będąc jego wsparciem i podporą. Gdy było to możliwe, małżeństwo trzymało się za ręce, były też subtelne pocałunki.

SZYK I ELEGANCJA

Uwagę mediów natychmiast przyciągnęła stylizacja pierwszej damy, która podczas zaprzysiężenia miała na sobie błękitny kostium o ciekawym kształcie, z charakterystyczną stójką i błyszczącymi guzikami, jasne szpilki, delikatne kolczyki w formie sztyftów i manicure w kolorze écru. Włosy związała w stylowy kok, a ich niewielkie pasmo spadało na jej czoło.

Portal glampress.pl poprosił o komentarz tej stylizacji Izabellę Binkowską, ekspertkę od luksusowego wizerunku i autorkę sensacyjnych zdjęć Danuty Martyniuk, które rozpaliły internet. „Pani prezydentowa prezentuje się zjawiskowo. Wybrała połączenie klasycznej elegancji, która spotyka się z nowoczesnym szykiem. Błękitny kostium jest dopracowany w każdym detalu – zwróćmy uwagę na guziki, które są jak biżuteria, a także na delikatne srebrne szpilki. Stylizacja jest przemyślana, świetnie komponuje się z delikatnym makijażem i blond włosami, idealnie podkreśla sylwetkę" – komentowała Binkowska.

W rozmowie ze mną fotografka dodaje: – Obecna pierwsza dama prezentuje wizerunek, który łączy elegancję i naturalność. Każdy publiczny występ jest starannie przemyślaną kompozycją, precyzyjnie dobrane są kolory i detale stylizacji. To buduje silny przekaz. Jako fotograf i kreator wizerunku widzę w tym przykład godny naśladowania, konsekwencję, dbałość o szczegóły. Widać w tym autorytet i klasę osoby publicznej. Jestem zwolennikiem wzbogacania naturalności i klasyki jakimś małym, charakterystycznym, spójnym detalem z nutą ekstrawagancji. Nie można jednak przesadzić. Od siebie dodam, że moim marzeniem jako fotografki wizerunkowej byłoby zorganizowanie pierwszej damie sesji zdjęciowej.

Jednak nie wszyscy są równie życzliwi. Na Martę Nawrocką posypały się także słowa krytyki. Zdaniem Doroty Wolff, ekspertki od wizerunku i właścicielki marki Forget-me-Not Pecunia, zbyt wyraźna była inspiracja Melanią Trump. „Warto pamiętać, że każda z pań ma swoją urodę, sylwetkę i osobowość" – komentowała stylistka, której nie podobały się także rękawy żakietu. „Bardzo dobry kolor, odpowiednie długości do sylwetki. Idea bardzo dobra, ale wadą są za szerokie rękawy, które zwyczajnie się gniotą. Moim zdaniem jest zła konstrukcja kostiumu i za sztywny materiał" – oceniała na swoim instagramowym koncie Wolff.

Projektant Dawid Woliński mówił w rozmowie z „Faktem": „Zmniejszyłbym zdecydowanie poduszki w żakiecie oraz wydłużył spódniczkę, żeby nadać powagi i smukłości sylwetce".

Stylistka i ekspertka ds. wizerunku Ewa Rubasińska-Ianiro krytykowała brak oryginalności: „Marta Nawrocka czerpie inspiracje z Brigitte Macron i klasyki amerykańskiego stylu, który reprezentuje Melania Trump. Szkoda, bo Polki od lat słyną z wyczucia mody i naturalnej elegancji, a w tym wizerunkowym duecie zabrakło oryginalności" – mówiła.

To tylko nieliczne komentarze, które zalały internet. Fali prostackiego hejtu, który polał się z ust, niestety także kobiet, nie ma nawet sensu przytaczać.

SPOSÓB NA MEDIA

Jednak ten hejt i bycie pod stałym ostrzałem będą teraz codziennością Marty Nawrockiej. A dla jej poprzedniczki Agaty Kornhuser-Dudy media i celebrytki nie były przychylne. Po pierwsze dlatego, że była żoną prawicowego polityka, po drugie z tego powodu, że nie będąc politykiem, przyjęła strategię nierozmawiania z mediami, a swą bogatą działalność społeczną prowadziła w ciszy. Nie wszystkim się to podobało. Dziennikarka Karolina Korwin-Piotrowska nazwała kiedyś pierwszą damę „polską, katolicką odpowiedzią na Barbie". Dorota Wellman stwierdziła, że pierwsza dama nie powinna być „milczącą kukłą, która stoi i ładnie się uśmiecha!", a Ewa Wanat powiedziała: „Taki stereotyp, że jak ktoś jest ładny, dobrze się ubiera, zna języki i ma fajnego i mądrego ojca sam musi być mądry i fajny. No nie, to się nie sprawdza". Paulina Młynarska zarzucała prezydentowej brak niezależności oraz określiła pierwszą damę jako „ładnie ubraną panią u boku uśmiechniętego pana z długopisem".

O to, jak radzić sobie z medialną nagonką i hejtem, pytam Sylwię Gołecką, zastępczynię redaktora naczelnego portalu glampress.pl, dziennikarkę show-biznesową, kreatorkę wizerunku gwizd i specjalistkę od kryzysowego PR.

eprasa.pl 9b8aaefe56

Fot. Wojciech Olkuśnik/East News

– Na media nie wolno się też obrażać, trzeba z nimi współdziałać. Warto też robić stałe spotkania z mediami, żeby opowiedzieć o tym, co się robi. Agata Kornhauser-Duda robiła bardzo dużo, ale nie chciała o tym opowiadać, a nie każdy ma czas wejść na stronę pierwszej damy, gdzie była opisana cała jej działalność. Gdy dzieje się coś ważnego, co porusza opinię publiczną, warto to skomentować. Nawet w kilku zdaniach. Wtedy media nie będą się dobijały o komentarz, bo go dostaną. I to wcale nie musi dziać się na rozpolitykowanej i wojującej platformie X. Wystarczy Facebook czy Instagram. To pokaże, że pierwsza dama jest ze społeczeństwem – komentuje Gołecka. I dodaje: – Pierwsza zasada: reagować szybko, komentować zdarzenia przynajmniej jednym celnym zdaniem. Tak było np. przy okazji Dnia Psa. Proszę sobie przypomnieć, jaki hejt wylał się na Kasię Nawrocką, córkę pary prezydenckiej, za jej spontaniczne zachowanie podczas wieczoru wyborczego. W Dzień Psa Marta Nawrocka wrzuciła zdjęcie swojej córeczki ze zwierzakiem na smyczy z prostym podpisem: „Dzień psa". Szach i mat. Po złej atmosferze pojawia się wspaniałe zdjęcie małej dziewczynki z czworonogiem. Marta Nawrocka sama powinna wyznaczać trendy medialne w swojej sprawie. Rację ma Eryk Mistewicz, który mówi, że kto opisze świat, ten ma władzę. Kto opisze sam siebie pierwszy, ten buduje wokół siebie narrację. A narrację warto potwierdzać czynami i zdjęciami. Pierwsza dama musi więc opowiadać sama o sobie.

Wicenaczelna glampress.pl chwali także wywiad, który z Martą Nawrocką przeprowadził Daniel Nawrocki. – Widać, że media są jego pasją, a do tego ma znakomity kontakt z mamą. Ta rozmowa była znakomita, luźna i w ten sposób ciekawe Marty Nawrockiej media dostały odpowiedź na pytania, które ich interesowały, podane w znakomitej atmosferze. I tak trzeba działać. Samodzielnie dostarczać informacji o sobie mediom. Marta Nawrocka musi na bieżąco śledzić, co się wokół niej dzieje, choć to nie będzie proste, i od razu reagować – dodaje ekspertka od kryzysowego PR.

Dorzuca jeszcze jedną radę: – Pierwsza dama z pewnością tak samo kocha Polskę jak jej mąż, który daje świadectwo tej miłości w sprawach fundamentalnych: historycznych czy politycznych. Pierwsza dama powinna dawać świadectwo miłości do ojczyzny i paliwo medialne w sprawach

eprasa.pl 9b8aaefe56

symbolicznych, np. nosząc apaszkę z Milanówka czy buty z Manufaktury Obuwia lub biżuterię od polskiej projektantki z Zakopanego. Polska i jeszcze raz Polska! Mamy się czym chwalić, a Marta Nawrocka jest i będzie najlepszą reklamą Polski na świecie – podsumowuje Sylwia Gołecka.

I tu z odpowiedzią na tę propozycję spieszy Jarosław Konaszewski, mistrz krawiectwa, który specjalnie dla tygodnika „Sieci" zdradza: – Stylizacje z dnia zaprzysiężenia, jak i kreacje z wieczoru wyborczego to autorski projekt małżonki prezydenta zrealizowany przy współpracy z naszym atelier. Znamy pierwszą damę od lat. Ceni gdańskie rzemiosło i lokalnych twórców, a przede wszystkim ręczne, miarowe krawiectwo. Razem z projektantką zawsze dopracowujemy każdy detal, by stylizacja była dokładnie taka, jak Marta Nawrocka sobie wyobrażała – od pierwszego szkicu po wszycie ostatniego guzika. Pierwsza dama jest obecna na każdym etapie: od wyboru tkanin, krojów, decyzji o dodatkach. Najczęściej stawia na te od polskich projektantów – buty, torebki czy biżuterię.

PIERWSZA DAMA MARTA NAWROCKA

Marta Nawrocka jest absolwentką Wydziału Prawa i Administracji na Uniwersytecie Gdańskim. Ma 39 lat i pracuje w Krajowej Administracji Skarbowej, mając za sobą doświadczenie funkcjonariusza służby celnej. Jest mamą trójki dzieci: Daniela, Antoniego i Katarzyny. Jako młoda dziewczyna uczęszczała do szkoły baletowej w Gdańsku.

„Od 18 lat pracuję jako funkcjonariusz celny na stanowisku młodszego eksperta celnego. Mamy na celu walczyć z nielegalnym hazardem, a także kontrolować ten legalny, np. kasyna czy zakłady wzajemne. Moja codzienność to nie jest siedzenie za biurkiem, przeżywam czasem sceny jak z filmu sensacyjnego. Pracujemy w grupie, która zajmuje się tzw. realizacją, czyli mówiąc wprost, wchodzimy z bronią w miejsca, w których podejrzewamy, że mogą się znajdować nielegalne automaty" – opowiadała pani Marta o swojej pracy jeszcze w trakcie kampanii w wywiadzie udzielonym Marcinowi Wikle dla tygodnika „Sieci". Pierwszym w swoim życiu – warto dodać.

> Stylizacje z dnia zaprzysiężenia oraz kreacje z wieczoru wyborczego to autorski projekt małżonki prezydenta zrealizowany przy współpracy z naszym atelier. Znamy pierwszą damę od lat – mówi Jarosław Konaszewski, mistrz krawiectwa

A jaką pierwszą damą będzie Marta Nawrocka? „Nie chciałabym być definiowana przez pryzmat ani obecnej, ani byłych pierwszych dam. Każda była wyjątkowa, każda ma własną wrażliwość. Każda indywidualnie kształtuje swoją drogę życiową, osobistą czy zawodową" – mówiła prezydentowa w rozmowie z „Rzeczpospolitą". Zapowiedziała też, że będzie konsekwentnie budowała swój wizerunek. „Jestem otwarta na ludzi, chcę dać się im poznać, jak również poznać ich, dostrzegać ich problemy i radości – zapewniła Nawrocka. – Pochylę się nad problemami osób niepełnosprawnych i ich rodzin, kwestiami związanymi z wyrównywaniem szans wśród dzieci i młodzieży, zwłaszcza tych, które mają ograniczony dostęp do rozwijania talentów i pasji".

Rafał Leśkiewicz, rzecznik prezydenta Karola Nawrockiego, mówi tygodnikowi „Sieci": – Małżonka prezydenta położy szczególny nacisk na walkę z hejtem. Nie może być na niego przyzwolenia w przestrzeni publicznej, zwłaszcza gdy dotyka dzieci. Ma w tej kwestii własne doświadczenia z kampanii prezydenckiej. Pierwsza dama będzie też podejmować tematy zagrożeń w sieci. Przez najbliższe pięć lat zamierza aktywnie wspierać męża w jego prezydenckiej misji".

Ani przez chwilę nie wątpię, że tak będzie.

eprasa.pl 9b8aaefe56

Kłopotliwi goście

Wielka sympatia, jaką po rozpoczęciu wojny za naszą wschodnią granicą cieszyli się Ukraińcy, należy już do przeszłości. Dziś w naszych relacjach jest coraz więcej złych emocji i wzajemnych uprzedzeń. Dlaczego?

KONRAD KOŁODZIEJSKI

W Polsce postać białoruskiego rapera Maksa Korża nie była dotąd powszechnie znana. Teraz może się to zmienić za sprawą burd urządzonych przez publiczność podczas jego koncertu na Stadionie Narodowym w Warszawie.

Setki młodych Ukraińców i Białorusinów wtargnęło na płytę stadionu i wdało się w przepychanki z ochroną. Jednak największe oburzenie wywołał młodzieniec wymachujący w sercu Warszawy czerwono-czarnym sztandarem, jednoznacznie kojarzonym z banderowską UPA. Niezależnie od tego, czy była to prowokacja, czy – co bardziej prawdopodobne – zwykła głupota, to gest samobójczy, który może mieć daleko idące konsekwencje dla coraz trudniejszych relacji polsko-ukraińskich.

KONCERT GŁUPOTY

Maks Korż ma za naszą wschodnią granicą status gwiazdy. Występuje na scenie od kilkunastu lat, śpiewa po rosyjsku o tęsknocie za miłością i o poszukiwaniu dobra w złym świecie. Wyemigrował z Białorusi niecały rok temu „z przyczyn politycznych", odwołując jednocześnie wszystkie zaplanowane koncerty w Rosji. Jego krytycy twierdzą, że choć ma w swoim dorobku utwory krytyczne wobec Łukaszenki, to w rzeczywistości jest produktem russkowo mira, który z sukcesem jednoczy młodych ludzi we wszystkich byłych republikach radzieckich.

Popularność Korża na Ukrainie jest tak wielka, że nie zaszkodziły mu nawet występy na okupowanym Krymie. Krótki zakaz wjazdu na terytorium Ukrainy, który otrzymał z tego powodu w 2016 r., został rok później zniesiony po naciskach tamtejszej publiczności. Nic więc dziwnego, że na jego warszawski występ przybyło z całej Europy ok. 60 tys. podekscytowanych młodych fanów – głównie Ukraińców i Białorusinów.

Już w przeddzień koncertu pojawiły się pierwsze problemy, gdy na warszawskiej Woli zorganizowano nielegalną imprezę z udziałem artysty. Tuż pod oknami pobliskich apartamentowców kilka tysięcy osób bawiło się przy akompaniamencie głośnej muzyki i fajerwerków, a osiedlowe uliczki wypełniał huk sportowych samochodów. Początkowo policja nie reagowała, bo „to teren prywatny", ale telefonów od oburzonych mieszkańców było tak wiele, że w końcu pojawiły się pierwsze radiowozy. Ostatecznie w interwencji wzięło udział kilkuset policjantów, którzy wystawili 25 mandatów za zakłócanie porządku i zatrzymali dziewięć osób, w tym sześć za posiadanie narkotyków. Jak relacjonował jeden z mieszkańców osiedla, uczestnicy imprezy „zostawili po sobie syf, a hałas był nie do zniesienia".

Nielegalny zlot na Woli powinien być ostrzeżeniem dla służb i władz miasta. Przecież można się było spodziewać, że następnego dnia, gdy na oficjalnym koncercie zgromadzi się znacznie więcej osób, będzie jeszcze gorzej, ale ten sygnał najwyraźniej zlekceważono.

Tuż przed wejściem na scenę Korża zaczęły pękać pierwsze barierki oddzielające kilkudziesięciotysięczną widownię od płyty stadionu. W internetowej relacji widzimy dziesiątki, a potem setki młodych ludzi przeskakujących

Fot. Screen X.com

eprasa.pl 9b8aaefe56

ogrodzenie i krążących wokół sceny. Niezbyt liczna ochrona nie była w stanie powstrzymać intruzów. W pewnej chwili jeden z nich, niejaki Dima, wyciągnął ze spodni przemyconą banderowską flagę i zaczął nią wymachiwać przy ogólnym aplauzie publiczności.

Jak później twierdził, nie zdawał sobie sprawy z ponurej symboliki, jaką ta flaga ma w Polsce. „Flaga, którą trzymałem, była dla mnie symbolem wsparcia dla Ukraińców. Nie miałem niczego wspólnego z propagowaniem jakiegokolwiek reżimu" – powiedział na filmie zamieszczonym w internecie. „Jeśli ktoś poczuł się urażony, przepraszam. Jestem wdzięczny wszystkim Polakom, którzy pomagali i pomagają Ukraińcom. Dziękuję bardzo z całego serca i przepraszam jeszcze raz" – dodał.

Wszystko wskazuje na to, że przeprosiny były wymuszone sytuacją. Być może ktoś wytłumaczył chłopakowi (a może sam się zorientował), jakie mogą być konsekwencje jego zachowania. Gdzieś w internecie pojawiły się informacje, że mieszkał w Norwegii, a tam – podobnie jak w całej Europie Zachodniej – używanie banderowskich flag nie budzi negatywnych skojarzeń.

Skutek jest jednak taki, że zamiast – jak twierdzi – pomóc sprawie ukraińskiej, ewidentnie jej w Polsce zaszkodził. Dziwne, że wśród jego znajomych nie znalazł się nikt, kto zawczasu powstrzymałby go przed skandalicznym gestem. Być może – i to jest smutna konstatacja – wielu Ukraińców w ogóle nie rozumie polskiej wrażliwości, nie zna Polski i, co więcej, nie chce jej znać. Polacy instynktownie to wyczuwają i odbierają jako przejaw niewdzięczności. Bo gość, który nie przestrzega zwyczajów panujących w domu gospodarza, w pewnym momencie staje się gościem niechcianym i kłopotliwym.

> Wielu Ukraińców w ogóle nie rozumie polskiej wrażliwości, nie zna Polski i, co więcej, nie chce jej znać. Polacy to instynktownie wyczuwają i odbierają jako przejaw niewdzięczności

Jeden z uczestników koncertu na Stadionie Narodowym, młody Ukrainiec, nagrał internetowy filmik, w którym cieszy się, że „Polaków to boli". Można też znaleźć jego zdjęcie, na którym trzyma świadectwo szkolne, wykonując zarazem obraźliwy gest palcem w stronę polskiego godła.

SPIRALA PRETENSJI

Ukraińcy nie chcą się asymilować z polskim otoczeniem. To może świadczyć zarówno o sile ukraińskiego żywiołu, jak i o słabości (niewielkiej atrakcyjności) polskiego. Obie nasze nacje żyją obok siebie i ich światy nie przenikają się wzajemnie. Osobno się bawią, często osobno pracują, mają oddzielne biznesy i żyją innymi problemami. Ukraińska młodzież korzysta z komunikatorów internetowych, głównie z popularnego na Wschodzie Telegramu. To właśnie za jego pomocą zwoływano się na imprezę na Woli, a po koncercie Korża umawiano na dogrywkę. Nie dopuściła do niej policja, która zrobiła nalot na nadwiślańską plażę po praskiej stronie rzeki, gdzie miała się odbyć jeszcze jedna nielegalna zabawa.

Następnego dnia na Telegramie pojawiły się ostrzeżenia przed spacerami po Bulwarach Wiślanych. Odradzano zabieranie ze sobą narkotyków. Policja miała bowiem legitymować młodych Ukraińców i sprawdzać ich kieszenie. Po koncercie Korża ma zostać deportowanych z Polski 57 obywateli Ukrainy i 6 Białorusinów, a wielu ukarano mandatami.

Wielka sympatia, jaką po rozpoczęciu wojny za naszą wschodnią granicą cieszyli się Ukraińcy, należy już do przeszłości. Dziś w naszych relacjach jest coraz więcej złych emocji i wzajemnych uprzedzeń. To z pewnością naturalny skutek frustracji oraz zmęczenia wywołanego przedłużającą się wojną. Ale nie tylko.

W ciągu ostatnich trzech lat, jakie minęły od początku rosyjskiej agresji, obraz ukraińskiego uchodźcy bardzo się zmienił. Początkowo odpowiadał on powszechnemu stereotypowi – uciekające matki z zapłakanymi dziećmi, starsi zagubieni ludzie. Potem jednak na pierwszy plan zaczęła się wysuwać zupełnie inna grupa. Byli to ludzie stosunkowo młodzi, niekiedy ostentacyjnie zamożni. Nie okazywali oni żadnej wdzięczności za udzielone im schronienie, bo często powodziło im się lepiej niż niejednemu Polakowi. Wynajmowali eleganckie apartamenty, jeździli drogimi samochodami, mieli własne (niekiedy szemrane) biznesy. A kraj, w którym przyszło im żyć, jego mieszkańców

Fot. Screen X.com

eprasa.pl 9b8aaefe56

oraz panujące tu zwyczaje mieli głęboko gdzieś. To właśnie za ich sprawą zaczęło u nas narastać przekonanie o rzekomej „ukrainizacji" Polski.

To poczucie wzmocniła fatalna polityka władz w Kijowie, które podczas kryzysu zbożowego w 2023 r. wystawiły do wiatru sprzyjający im rząd PiS oraz prezydenta Dudę. W wielu kręgach, zwłaszcza po prawej stronie, uznano wówczas, że Ukraińcy są wiarołomnymi niewdzięcznikami i nie ma sensu okazywać im sympatii. Ci z kolei bronili się, twierdząc, że przelewają krew nie tylko za swój kraj, lecz także za Polskę, więc powinniśmy być ich dłużnikami. W ten sposób nakręcała się spirala wzajemnych pretensji.

ZŁY WIZERUNEK

Nagromadzona frustracja wylała się podczas koncertu Korża. Do niedawna w Polsce – poza skrajnymi środowiskami w rodzaju Korony Brauna – unikano publicznej krytyki Ukraińców, głównie z powodu wojny oraz trudnego losu uchodźców. Jednak występ młodzieńca z banderowską flagą zwolnił dotychczasowe hamulce. Przez internet oraz niektóre prawicowe media przetoczyła się fala bezprecedensowego oburzenia. Najczęściej wytykano młodym Ukraińcom tchórzostwo. Że oto, zamiast walczyć w obronie ojczyzny, imprezują i urządzają publiczne burdy w sąsiednim kraju.

Warto się na chwilę zatrzymać nad tym zarzutem. Rzeczywiście, z młodych ludzi, którzy zadekowali się w Polsce i w całej Europie, można by zapewne było sformować kilka dywizji. I musi budzić niesmak fakt, że ich mniej zamożni koledzy, którzy pozostali na Ukrainie, masowo giną teraz na froncie, bo nie było ich stać na łapówki i ucieczkę za granicę.

Jednocześnie trudno oczekiwać od każdego człowieka gotowości do najwyższych poświęceń. Jeden z Ukraińców, który kilka lat temu założył rodzinę, ujął to w ten sposób: „Dziecko ma prawo mieć ojca, żona ma prawo mieć męża, a rodzice mają prawo mieć syna". To całkowicie naturalne rozumowanie. I dotyczy nie tylko Ukraińców, lecz także każdego z nas. Warto zatem powstrzymać się z potępianiem takich postaw i wysyłaniem innych na śmierć.

Krytykę powinna za to budzić ostentacja, z jaką używają życia ci, którzy uciekli przed wojną. Nie mam tu oczywiście na myśli zapracowanych ekspedientek w Żabce i całego tłumu ukraińskich proletariuszy z trudem wiążących koniec z końcem. Chodzi mi wyłącznie o wspomnianą już grupę bogatych Ukraińców i ich potomstwo w wieku poborowym. Być może da się to jakoś psychologicznie wytłumaczyć potrzebą zagłuszenia sumienia albo obniżenia napięcia nerwowego. Jednak dla osoby patrzącej z zewnątrz ich fiksacja na zabawie i konsumpcji jest objawem kompletnej znieczulicy na los rodaków i własnego państwa.

> Występ Korża przelał czarę goryczy. Odtąd ukraińskie notowania będą w Polsce coraz słabsze. Niezależnie od przyczyn tej sytuacji, korzyść z niej mogą wynieść wyłącznie nasi wrogowie

W ten sposób wysyłają fatalny sygnał do polskiego otoczenia. Bo skoro oni się bawią i mają własny kraj gdzieś, to czemu mamy się zrzucać na pomoc dla Ukrainy? Tak myśli wielu Polaków, widząc uliczne wyścigi Ukraińców w sportowych samochodach, natykając się na nich w drogich restauracjach i sklepach, czy wreszcie – tak jak ostatnio – wywołujących burdy podczas koncertu. Ci ludzie – być może nieświadomie i bez takich intencji – kreują w Polsce negatywny wizerunek uchodźców i własnego narodu.

PREZENT DLA MOSKWY

Ktoś napisał w internecie, że występ Korża przelał czarę goryczy. Że od tej pory ukraińskie notowania w Polsce, i tak już wcześniej nadwerężone, będą coraz słabsze. To prawdopodobna diagnoza, ale zarazem bardzo niepokojąca. Bo niezależnie od przyczyn tej sytuacji, korzyść z niej mogą wynieść wyłącznie nasi wrogowie.

Polska polityka szybko podchwytuje nastroje społeczne. Niekiedy jednak brakuje przemyślanej strategii. Mam wrażenie, że szeroko rozumiana prawica zanadto się zagalopowała w schlebianiu skrajnym środowiskom. Oczywiście zawsze na pierwszym miejscu trzeba stawiać polski interes, ale nie należy przy tym wylewać dziecka z kąpielą. Niewłaściwe zachowanie konkretnych osób powinno być przykładnie ukarane, jednak nie można się zgadzać na jakąkolwiek odpowiedzialność zbiorową. Właśnie w imię naszego interesu i bezpieczeństwa narodowego. Polacy skłóceni z Ukraińcami to przecież najlepszy prezent dla Moskwy. Zawsze warto mieć to na uwadze. I nie musi to wcale oznaczać pokłonów przed Ukrainą, wystarczy nam umiar i chłodna ocena sytuacji.

Druga strona – obóz Tuska – przygląda się sytuacji i wyraźnie próbuje grać. Motyw jest znany od wielu lat: to wpychanie prawicy do jednego worka z Putinem. Pojawiają się lamenty, że Polacy to nacjonaliści, którzy prześladują Ukraińców i że dzieci uchodźców są nękane przez polskich kolegów (pisze o tym m.in. Sławomir Sierakowski). W ten sposób Ukraińcy, znajdujący się dotąd poza polskim sporem politycznym, są do niego brutalnie wciągani. Ze wszystkimi negatywnymi tego konsekwencjami.

Przedłużająca się wojna na Ukrainie będzie jeszcze pogłębiać te problemy. Z kolei rozejm lub zamrożenie konfliktu jedynie odłoży je w czasie. Trwały pokój, który mógłby wszystko rozwiązać, jest dziś mało prawdopodobny. A to właśnie pokoju najbardziej potrzeba Ukraińcom. Także w codziennych relacjach z Polakami. Na razie nadzieja na taki pokój znów się oddaliła.

eprasa.pl 9b8aaefe56

Patodeweloper w poznańskim ratuszu

Ostrów Tumski w Poznaniu – kolebka państwa polskiego, stolica pierwszych Piastów – jest zagrożony. Zachłanność deweloperów wspieranych przez prezydenta Poznania Jacka Jaśkowiaka może zniszczyć miejsce, w którym Mieszko I i Bolesław Chrobry zaczęli budować naszą państwowość

PIOTR GURSZTYN

Trudno nie mieć skojarzeń z polityką historyczną obecnego rządu i całej Koalicji Obywatelskiej. A właściwie brakiem takiej polityki, obojętnością wobec dziedzictwa narodowego, a nawet niekiedy wrogością. Przypomina się zlekceważenie przez rząd Donalda Tuska tak wielkiej (a nawet atrakcyjnej pod względem politycznego PR) rocznicy, jak tysiąclecie koronacji Bolesława Chrobrego. Trudno nie mieć też skojarzeń z nieobecnością premiera na obchodach najważniejszych uroczystości patriotycznych 3 maja 2023 r., 11 listopada 2024 r. i 1 sierpnia 2025 r.

Prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak

W tym jednak przypadku przeciw zachłanności deweloperów zaprotestowali ludzie o najróżniejszych poglądach, także osoby bliskie obecnej władzy. Mimo to związany z Koalicją Obywatelską prezydent Jaśkowiak nie ustępuje i mocno wspiera deweloperów chcących zabudować miejsce, które jest – bez żadnej przesady – kolebką państwa polskiego. Ignoruje sprzeciw mieszkańców, protesty uczonych, w tym nawet ludzi, których dobrze zna, z którymi współpracował, a nawet należy do jednej partii.

MIESZKAŃCY PROTESTUJĄ

Ostrów Tumski to duża wyspa na Warcie w centrum Poznania. Jej środkowa i południowa część jest zajęta przez nadzwyczaj cenne obiekty historyczne. To katedra (siedziba najstarszego polskiego biskupstwa z 968 r.), Akademia Lubrańskiego i wiele innych ważnych zabytków, w tym rezerwat archeologiczny eksponujący relikty z czasów Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Istniejąca dzisiaj zabudowa mieszkalna to niewysokie budownictwo o kameralnym charakterze. Spór dotyczy części północnej – dużego, ponad 100-ha obszaru. To zaniedbany rejon – tereny poprzemysłowe plus rozległe ogródki działkowe. Dla deweloperów pokusa nie do odparcia – wprawdzie oddzielony od miasta ramionami rzeki, ale tuż przy samym centrum Poznania.

Wiosną br. miasto Poznań ogłosiło plan zagospodarowania przestrzennego „Rejon Ostrowa Tumskiego w Poznaniu – część północna B1", który zakłada przekształcenie terenów poprzemysłowych i ogródków działkowych w nową dzielnicę mieszkaniową dla ok. 10 tys. osób. Mają tam powstać wielkie bloki z podziemnymi garażami, wysokie nawet na 28 m, czyli 9 pięter.

Ta wiadomość zaskoczyła i zmroziła środowiska naukowe (a także mieszkańców okolicy). Historycy sztuki, archeolodzy i urbaniści zaczęli alarmować. I to oficjalnie, bo przez swoje organizacje, takie jak Stowarzyszenie Historyków Sztuki, Towarzystwo Opieki na Zabytkami i Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk. W swoim stanowisku STH otwarcie nazywa plany Jaśkowiaka „patodeweloperką". Protestujący mają mocne argumenty. Uważają, że intensywna zabudowa zniszczy unikalny charakter wyspy objętej ochroną konserwatorską. Nie chodzi im tylko o nieodwracalne zmiany w krajobrazie i zdominowaniu zabytków przez nowe wieżowce. Duża część Ostrowa nadal nie jest przebadana archeologicznie, a dotyczy to warstw z czasów wczesnopiastowskich.

Protestujący wskazują, że budowa parkingów podziemnych zakłóci przepływ wód gruntowych, a to będzie bezpośrednie zagrożenie dla fundamentów wielowiekowych budowli. Przypominają, że już dzisiaj ruch samochodowy jest tam problemem z powodu drgań zagrażających budynkom. Nowe osiedle to kilka tysięcy samochodów więcej na wąskich ulicach Ostrowa Tumskiego. „Z załączonych materiałów wynika też, że ruch samochodowy obciążyłby wówczas ulice prowadzące wzdłuż najważniejszych zabytków wyspy katedralnej, stanowiąc dla nich fizyczne zagrożenie" – czytamy w petycji w obronie tego wyjątkowego miejsca.

Negatywną opinię na temat projektu wydała też rada osiedla Ostrów Tumski–Śródka–Zawady–Komandoria. Wskazała na problemy komunikacyjne i wartość historyczną tej okolicy. Stwierdziła też, że jej opinia wynika z obaw mieszkańców całej dzielnicy. Wskazane zostały również zagrożenia przyrodnicze, czyli zniszczenie zielonego klina ciągnącego się wśród Warty oraz likwidację jednego z najstarszych ogródków działkowych w Poznaniu.

Miasto, a właściwie jego urzędnicy, na początku odpowiedzieli grzecznie. Przedstawiciel Miejskiej Pracowni Urbanistycznej uspokajał, że nie ma zagrożenia dla zabytków ani przyrody, gdyż nowe bloki staną na zdegradowanym terenie po dawnej wytwórni prefabrykatów oraz sąsiednich nadrzecznych łąkach (które akurat nie są zdegradowane). Podkreślił, że zostaną zachowane osie widokowe na katedrę, a sama inwestycja pozwoli zrewitalizować całą wyspę.

PREZYDENT MIASTA KONTRATAKUJE

Za to prezydent Jacek Jaśkowiak walnął z grubej rury. Pominął etap merytorycznej polemiki i od razu zaczął oskarżać obrońców Ostrowa Tumskiego o najgorsze intencje. Stwierdził, że tego typu protesty mają podłoże finansowe, np. wiążą się z roszczeniami o odszkodowania. „Nierzadko protest pod przykrywką obrony praw lokatorskich jest rozkręcany z pobudek czysto biznesowych. Jeszcze częściej, jak w przypadku Ostrowa Tumskiego, z czysto politycznych" – obwieścił Jaśkowiak. Oskarżył protestujących także o manipulacje wizualizacjami, które rzekomo przesadzają z wysokością planowanych budynków.

Jako „winowajcę" politycznego Jaśkowiak wskazał Akademicki Klub Obywatelski im. Lecha Kaczyńskiego, czyli stowarzyszenie rzeczywiście bliskie PiS. Jest faktem, że AKO dołączył do obrony Ostrowa Tumskiego, ale poza tym Jaśkowiak bardzo mocno minął się z prawdą. I to świadomie, bo dobrze wie, kim są inni uczestnicy protestu przeciw zabudowie wyspy.

Petycja „Ratujmy Ostrów Tumski w Poznaniu" zebrała już prawie 5 tys. głosów z całego kraju. Nie ma charakteru politycznego. Poparła ją m.in. artystka daleka od prawicy, czyli Maja Komorowska. Aktorka wydała własne oświadczenie w tej sprawie: „Ostrów Tumski w Poznaniu z najstarszą polską katedrą, mauzoleum Mieszka i Bolesława Chrobrego to kolebka naszego państwa. Ku mojemu przerażeniu dowiaduję się, że na tej samej wyspie władze Poznania chcą postawić wielkie blokowisko. Panie prezydencie, panowie radni, z Ostrowa Tumskiego patrzy na was 1000 lat polskiej kultury, polskiej historii. Anulujcie projekt i rozpocznijcie debatę o stworzeniu właściwego otoczenia, odpowiadającego randze kolebki państwa polskiego".

Kłamstwo Jaśkowiaka nie jest przypadkowym incydentem. Wśród oskarżonych o rzekomo polityczną motywację był jeden z organizatorów protestu, historyk sztuki dr Tomasz Ratajczak. Odpowiedział, że nie jest członkiem AKO ani nawet wyborcą prawicy.

Fot. Sergey Dzyuba/Shutterstock.com, Szymon Mucha/Shutterstock.com

eprasa.pl 9b8aaefe56

Dr Ratajczak jest aktywny w mediach społecznościowych, wyraża tam swoje sympatie i antypatie polityczne, więc rzeczywiście każdy może zweryfikować wiarygodność oskarżeń Jaśkowiaka. Warto dodać, że przynajmniej w dwóch tematach architektoniczno-historycznych Ratajczak wchodził w spór z prawicą. Jeden to pomysł AKO, aby rozbudować Zamek Królewski w Poznaniu (to współczesny obiekt z zachowanymi reliktami przeszłości). Był też przeciwny odtworzeniu w pierwotnym miejscu przedwojennego Pomnika Wdzięczności zwanego też Pomnikiem Najświętszego Serca Pana Jezusa. Z powodu religijnego wydźwięku i monumentalnego posągu Chrystusa jest to blokowane przez władze miasta, wspierane w tym przez antyklerykalną i laicką część mieszkańców Poznania.

Nie są to informacje nieznane prezydentowi Jaśkowiakowi. Prawdopodobnie próbował on ukręcić łeb sprawie, przedstawiając ją jako atak prawicy na niego jako polityka PO. Jako pretekst wykorzystał zaangażowanie w obronie Ostrowa Tumskiego prof. Jacka Kowalskiego – tego, który jest znany szerszej opinii publicznej jako popularny pieśniarz. Rzeczywiście, prof. Kowalski jest członkiem AKO (jednym z ok. 300 i nie pełni tam żadnych funkcji) i nie ukrywa sympatii prawicowych. Ale przede wszystkim jest cenionym historykiem sztuki i profesorem Uniwersytetu w Poznaniu. Na dodatek w obronie Ostrowa Tumskiego prof. Kowalski występuje ramię w ramię z prof. Filipem Kaczmarkiem, prezesem Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a w przeszłości radnym i eurodeputowanym Platformy Obywatelskiej.

Konfrontacyjna reakcja Jaśkowiaka została odebrana przez obrońców Ostrowa Tumskiego jako bardzo jasny sygnał. Ani kroku w tył! „Determinacja godna lepszej sprawy" – skomentował to na platformie X dr Ratajczak. Radna PiS Sara Szynkowska vel Sęk stwierdziła, że miasto jest tak „uparte", bo część terenu już została sprzedana inwestorowi.

Tu trzeba podkreślić, że nie jest to konflikt między oderwanymi od codziennego życia ludźmi świata nauki i kultury a potrzebami gospodarczymi. To kolejny przykład na to, że władze wielkich miast traktują deweloperów w sposób szczególnie uprzywilejowany. Popierają bowiem model szybkiego deweloperskiego geszeftu, a nie myślenie w kategoriach biznesu bazującego na zasadach zrównoważonego rozwoju.

KONFLIKT TRWA

Obrońcy Ostrowa Tumskiego nie są przeciwni zabudowie pustych i zaniedbanych terenów. Postulują wprowadzenie tam zabudowy harmonizującej z miejscem, o bardziej ludzkich i proporcjonalnych wymiarach. Czyli zamiast wielkich bloków kameralne kamienice dostosowane rozmiarami i stylistyką. Na wyspie jest już precedens – tzw. Osiedle Socjalne na Zagórzu wybudowane w okresie międzywojennym. To kompleks ładnych, jednopiętrowych wielorodzinnych domów mieszkalnych z malowniczymi dachami mansardowymi.

> Petycja „Ratujmy Ostrów Tumski w Poznaniu" zebrała już prawie 5 tys. głosów z całego kraju. Nie ma charakteru politycznego. Poparła ją m.in. artystka daleka od prawicy, czyli Maja Komorowska

Dzisiaj w wielu miastach Polski w ich historycznych częściach zburzonych w czasie II wojny światowej wznoszona jest podobna zabudowa. To nurt w architekturze zwany retrowersją, czyli budynki nowoczesne pod względem technologicznym, ale o sylwetce, stylistyce i rozmiarach dawnych kamienic. Tak odtwarzane są zniszczone starówki w Elblągu, Głogowie, Kołobrzegu i wielu innych miastach. Część architektów uważa to za kicz i bezwartościową imitację. Ale ludzie głosują nogami. Odbiór społeczny tych zbudowanych na nowo, lecz z nawiązaniami do historii miejsc jest bardzo pozytywny. Odtworzone starówki tętnią życiem. Także w wymiarze gospodarczym, bo stały się przestrzeniami, gdzie tłumy przesiadują w restauracjach, kawiarniach czy w ogóle korzystają z ulokowanych tam usług.

Retrowersja na pewno jest lepiej odbierana przez społeczeństwo niż pazerna patodeweloperka. I o tym też mówią obrońcy Ostrowa Tumskiego. Ale miasto i tutaj twardo mówi „nie". Na retrowersji deweloperzy nie zarobią tyle, ile na wielkim osiedlu – zauważają radni opozycyjni wobec Jaśkowiaka. Radna Sara Szynkowska vel Sęk stwierdziła, że niższa zabudowa nie opłaca się deweloperom i dlatego nie chcą oni stawiać takich budynków. A prezydent Jaśkowiak jest po ich stronie.

Konflikt trwa. Jacek Jaśkowiak z wielkim zaangażowaniem broni wejścia deweloperów na wyspę. Tak wielkim, że obraża wszystkich swoich oponentów. A nawet sugeruje, aby władze poznańskich uczelni wyciągnęły konsekwencje wobec tych swoich pracowników naukowych, którzy zaangażowali się w obronę piastowskiego dziedzictwa. Niedawno oprócz zarzutów, że profesorowie i inni naukowcy występują przeciw niemu z pobudek politycznych, stwierdził, że wszyscy inni padli ofiarą manipulacji. Nie wiadomo, jaki będzie finał tej wojny. Na miejscowych forach internetowych Jaśkowiak nie ma zbyt wielu obrońców. „Zmarnowany potencjał tego miejsca. Ciekawe, jak to się stało, że te tereny stały się prywatne" – piszą internauci, zauważając m.in.: „Strasznie pan broni deweloperów. To jest niepojęte".

A może właśnie pojęte. Zgodnie z nowelizacją Kodeksu wyborczego z 2018 r. prezydentem miasta można być tylko przez dwie kadencje. Obecna kadencja Jaśkowiaka jako prezydenta Poznania jest druga w świetle tych przepisów. Zatem nie musi się przejmować opinią poznaniaków, bo nie będą już jego wyborcami. Być może ma inne priorytety.

eprasa.pl 9b8aaefe56

Nawrocki rozmawia wPolsce

To pierwszy taki program w historii polskiej telewizji. Syn urzędującego prezydenta zabiera widzów wPolsce na spotkania z ciekawymi ludźmi w ich naturalnym środowisku

Na pierwszy rzut poszedł Filip Chajzer, z którym Daniel Nawrocki spotkał się we Władysławowie. Rozmawiali o wszystkim, niektóre tematy poruszając po raz pierwszy.

O wizytach w Berlinie u ojca Zygmunta Chajzera, który – będąc w Polsce gwiazdą telewizji – na przełomie lat 80. i 90. malował Niemcom mieszkania, żeby zarobić na swój dom. To tam Filip zasmakował w kebabach, które dzisiaj sprzedaje w swojej sieci.

NARKOTYKI I KUR…STWO

„Pytałem: mamo, a pójdziemy do McDonalda? Bo wtedy u nas jeszcze nie było. A drugie moje marzenie, jak jeździliśmy odwiedzić tatę, to było pojechać na Kreuzberg na donera" – opowiadał młodszy Chajzer.

O maratonie w Nowym Jorku, który pokonał bez dnia porządnego treningu, bo podczas przygotowań, po przebiegnięciu 780 m, skręcił kostkę.

„Ja już sprawdzam transport ze Stanów, ile to będzie kosztowało, jakbym niechcący jednak na tym maratonie zszedł" – śmiał się celebryta.

O warszawskim blichtrze, pogoni za pieniędzmi i influencerach. „Narkotyki i kur...stwo" – nie szczypał się w język Chajzer.

Pierwszy odcinek oglądał się świetnie, kolejne zapowiadają się chyba jeszcze ciekawiej. Nie dziwi więc, że nawet nieprzychylni naszym mediom eksperci przyznają, że program młodego Nawrockiego ma spory potencjał.

DAWAŁ ŚWIADECTWO

Będzie sukces? Oby. Jeden już był, i to z kategorii tych życiowych. Młody Nawrocki był bowiem – nie wahajmy się tutaj – jednym z autorów wyborczego sukcesu swojego ojca. Od pierwszego dnia kampanii zaangażował się w nią w 100 proc. Zjeździł Polskę, wieszając bannery taty, uczestniczył we wszystkich ważniejszych wydarzeniach wyborczych, a co najważniejsze: dawał świadectwo, pokazywał, kim naprawdę jest Karol Nawrocki.

Tak było, kiedy liberalne media odpaliły sprawę „kawalerki pana Jerzego". Miała ona wywrócić Nawrockiego seniora, namalować obraz kandydata prawicy, który byłby nie do zaakceptowania przez porządnych ludzi. Przedstawiana przez „Wyborczą", Onet i innych historia brzmiała tak: młody, sprawny i pazerny cwaniaczek wyłudził od schorowanego staruszka atrakcyjne mieszkanie. Miał pomagać, a nie pomógł. Zostawił sąsiada na lodzie, pozwolił, by trafił do przytułku.

Szybko się okazało, że było, mniej więcej, odwrotnie. Kampanię udało się uratować m.in. dzięki otwartości i odwadze Daniela.

„Czytałem kłamstwa i manipulacje na temat mojego Taty. Zarzuty, które mijają się z prawdą, bolą, bo ja znam go najlepiej. To człowiek, który dał mi dom, miłość i wiarę, że mogę być lepszy" – napisał w samym szczycie afery na swoim Facebooku.

„Karol Nawrocki nie jest moim biologicznym ojcem, ale był, jest i zawsze będzie moim Tatą. Poznaliśmy się, gdy miałem 2 lata, a on 20. Mieszkałem wtedy z Mamą w jednym małym pokoju, ona była wtedy studentką, która ciężko pracowała. Tata pojawił się w naszym życiu jak promień słońca – najpierw jako »Karol«, czy »wujek«, a w końcu Tata" – opowiadał.

Pierwszy mecz piłkarski, pierwsze wakacje, pierwszy trening judo. Opowieści o rtm. Pileckim i wyklętych. Nauka życia. Nauka pomagania innym. „Pamiętam, jak z Tatą poszliśmy do sklepu kupić mu telewizor, jak nosiłem mu siatki z zakupami, jak w Wielkanoc odwiedziliśmy go, by złożyć życzenia i dać mu prezent, bo nikogo innego oprócz sąsiada Karola Nawrockiego nie miał, nikt inny się nim nie interesował" – wspominał swoją znajomość z panem Jerzym.

DZIENNIKARSKA DROGA

Daniel Nawrocki także wówczas oberwał. Mocno. „Gazeta Wyborcza" wyciągnęła mu, że w 2023 r. jako dziennikarz lokalnej gazety przeprowadził wywiad z patocelebrytą skazanym za wyłudzenie mieszkania. Nie pomogły tłumaczenia, że dziennikarze, także ci z „Wyborczej", robią rozmowy np. z mordercami i nie oznacza to akceptacji zabijania.

Nawrocki junior pracował krótko w Radiu Gdańsk, potem w „Dzienniku Bałtyckim" (to właśnie tam popełnił tę straszną wywiadozbrodnię), niedawno z kolegami założył fachową, zajmującą się gospodarką „Gazetę Morską".

Teraz rozmawia o życiu i Polsce w telewizji wPolsce. Ciekawie, szczerze, na luzie, ale nie stroniąc od powagi i trudnych tematów. Szukajcie w programie naszej stacji w każdą niedzielę wieczorem.

(ŁW)

eprasa.pl 9b8aaefe56

Grupa Kopernika ostrzega

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Co o Karolu Nawrockim pisze niemiecka prasa? „Antyeuropejski, nacjonalistyczny". Także politycy oraz eksperci za Odrą zdają się obawiać tej prezydentury i wzywają, by jej „przeciwdziałać"

Grupa Kopernika to nieformalne polsko-niemieckie forum eksperckie powstałe w 2000 r. z inicjatywy Niemieckiego Instytutu do spraw Polskich w Darmstadt oraz Fundacji „Krzyżowa" dla Porozumienia Europejskiego. Regularnie publikuje ona tzw. apele, w których zazwyczaj wzywa do zacieśnienia współpracy polsko-niemieckiej. Po wyborze dr. Karola Nawrockiego na prezydenta również wystosowała to swoiste orędzie – w tonie nad wyraz alarmistycznym.

FOCUS online

Gastbeitrag von Manuel Sarrazin

Ein neuer Präsident als Herausforderung für deutsch-polnisches Verhältnis

TAGESSPIEGEL

Rechter Nationalist wird Präsident in Polen

„Nawrocki will die PiS zurück an die Macht bringen"

Denkbar knapp setzte sich Nawrocki im Rennen um das polnische

Po krótkim wstępie o istocie pojednania dla relacji polsko-niemieckich eksperci ostrzegają przed „rosnącą pozycją populistycznej prawicy" zarówno w Niemczech (chodzi oczywiście o AfD), jak i w Polsce, czego wyrazem nad Wisłą ma być właśnie nowy polski prezydent. „Obecne trendy polityczne w Polsce i w Niemczech muszą budzić silny niepokój. Choć odmienne w treści, formie i narodowym kontekście, to w obu krajach zyskują na znaczeniu siły polityczne, które – każda na swój sposób – promują narodowy egoizm, kwestionują zasadność bliskiej współpracy polsko-niemieckiej i tym samym osłabiają fundamenty Unii Europejskiej. Rodzi to realne ryzyko zaprzepaszczenia dorobku ostatnich dziesięcioleci we wzajemnych relacjach i powrotu do logiki wrogości – logiki, która w przeszłości prowadziła do cierpienia i katastrof" – czytamy.

Kto do czyjego cierpienia dążył w przeszłości, eksperci z Grupy Kopernika taktownie przemilczeli. Mieli za to „pilną" radę dla proeuropejskich oraz „rozumiejących wartość relacji polsko-niemieckich" polityków – rzecz jasna, by przeciw-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 9b8aaefe56

działali tym tendencjom. Najlepiej poprzez „intensyfikację współpracy polsko-niemieckiej w obszarze bezpieczeństwa", promocję dotychczasowych sukcesów, „wzmocnienie społeczeństwa obywatelskiego w obu krajach", aktualizację traktatu o dobrym sąsiedztwie z 1991 r. oraz „zbudowanie w Polsce nowoczesnego, europejskiego modelu patriotyzmu pozbawionego antyniemieckości".

Polacy nie mogą się zapewne doczekać, by Niemcy zbudowali nam tu taki patriotyzm, dlatego cieszy, że eksperci, których ze strony polskiej w Grupie Kopernika reprezentuje dr hab. Robert Żurek, dyrektor zarządzający Fundacją „Krzyżowa", zaapelowali przy okazji, by Niemcy „poszanowali Polską wrażliwość", której, jak wynika z powyższego apelu, najwyraźniej sami nie rozumieją.

> Polityk Zielonych stwierdził, że Polska jest „równoprawnym" partnerem Niemiec. Jednak nie na tyle, by Berlin i związani z nimi eksperci, politycy i przedstawiciele mediów przestali nas pouczać

SILNI BEZ NIEMIEC

Przy tej okazji należy zresztą napomknąć, że w ostatnich latach Grupa Kopernika propagowała m.in. utworzenie Instytutu Polskiego do spraw Niemieckich, który w podobny sposób jak Niemiecki Instytut do spraw Polskich przekazywałby Polakom wiedzę i „empatię" na temat sąsiadów. A także, gdy rządził PiS, proponowała Polsce pomoc Niemiec „w powrocie do zasad traktatowych UE". Tyle troski o nasze dobro to aż za wiele.

Ale prezydentura dr. Karola Nawrockiego budzi niepokój nie tylko Niemców zawodowo zajmujących się Polską. Niemiecka europosłanka z liberalnej FDP Marie-Agnes Strack-Zimmermann powiedziała, że wynik polskich wyborów jest „wielkim rozczarowaniem". Podobnie zareagował lider Europejskiej Partii Ludowej, nieoceniony europoseł Manfred Weber, który już w 2023 r. chciał budować „zaporę ogniową przeciwko PiS". Według niego Nawrocki powinien „współpracować z premierem Tuskiem".

To było w czerwcu, tuż po II turze wyborów, i od tego czasu nowy polski prezydent wciąż jest ważnym tematem komentarzy i analiz w prasie niemieckiej. Manuel Sarrazin, polityk Zielonych i były poseł tej partii, napisał na łamach tygodnika „Focus", że Nawrocki to „wyzwanie dla relacji polsko-niemieckich". Zdaniem Sarrazina nowy prezydent ograniczy polityczne pole manewru premiera Tuska w stosunku do Niemiec. Co gorsza, „wizerunek Polski jako regionalnej potęgi gospodarczej, politycznej i militarnej niesie ryzyko, że wzajemna zależność militarna [z Niemcami] nie będzie już odpowiednio komunikowana, a wręcz będzie się zakładać, iż Polska jest wystarczająco silna nawet bez Niemiec". I to w chwili, gdy Berlin chce stworzyć „najsilniejszą konwencjonalną armię w Europie". Jak twierdzi dalej polityk Zielonych, decyzja Tuska o likwidacji stanowiska pełnomocnika do spraw kontaktów z Niemcami (zajmował je prof. Krzysztof Ruchniewicz) wynikała z obaw polskiego premiera przed tym, że zbyt przyjazna postawa wobec Niemiec zostałaby wykorzystana przez jego przeciwników politycznych.

W skrócie: Tusk chciałby kochać Niemcy bardziej, ale mu nie wypada, szczególnie z Nawrockim w pałacu prezydenckim. Tymczasem Niemcy chcą się zbroić, najlepiej razem z Polską, by odstraszyć Rosję, ale z powodu propagandy złych nadwiślańskich populistów Polacy mogą tego nie zrozumieć. Oczywiście o tym, czym prof. Ruchniewicz zasłużył sobie na dymisję ze stanowiska pełnomocnika, w tekście Sarrazina nie padło ani słowo. Polityk Zielonych stwierdził za to, że Polska jest „równoprawnym" partnerem Niemiec. Jednak nie na tyle, by Berlin i związani z nimi eksperci, politycy i przedstawiciele mediów przestali nas pouczać.

POWRÓT PiS DO WŁADZY

Na likwidację stanowiska pełnomocnika do kontaktów z Niemcami, która nastąpiła niemal równocześnie z objęciem urzędu prezydenta przez Nawrockiego, zwrócił też uwagę publicysta „Tagesspiegel" Christoph von Marschall. Gazeta cytuje eksperta z Fundacji Nauka i Polityka (SWP) Kaia-Olafa Langa, który powiedział, że decyzja polskiego MSZ jest „obniżeniem

REKLAMA

14/0725/F

eprasa.pl 9b8aaefe56

znaczenia relacji polsko-niemieckich w polityce zagranicznej Polski". Jego zdaniem po twardej kampanii wyborczej, w której Nawrocki posługiwał się „hasłami antyniemieckimi", nie należy oczekiwać odprężenia we wzajemnych stosunkach.

Tymczasem dziennik „Süddeutsche Zeitung" ze zdumieniem donosi, że tłum zebrany w dniu zaprzysiężenia przed pałacem prezydenckim odmówił modlitwę „Ojcze nasz". I odśpiewał hymn. Według gazety pokazuje to, kim tak naprawdę jest Nawrocki – że nie jest prezydentem wszystkich Polaków i nie chce nim być. „Nie ma też zamiaru konstruktywnie współpracować na rzecz kraju z lewicowo-liberalno-konserwatywną koalicją [Donalda] Tuska. Nawrocki chce reprezentować tych, którzy myślą, tak jak on i jego partia. W logice PiS tylko oni są prawdziwymi i patriotycznymi Polakami" – czytamy. „Süddeutsche Zeitung" dodaje, że jak dotąd można tylko spekulować, jak zachowa się prezydent Nawrocki, którego gazeta nazywa politycznym nowicjuszem. Teraz już nie trzeba spekulować, bowiem jest jasne, że nowy prezydent chce pomóc PiS wrócić do władzy. Powiało grozą. Dlatego gazeta ma dobrą radę dla Tuska: „Nie powinien lękliwie zerkać na prawicę, tylko odważnie iść do przodu".

Były korespondent w Polsce Thomas Urban na łamach magazynu „Cicero" przekonuje, że Nawrocki może być „wielkim prezydentem, jeśli tylko pojedna zwaśnione strony sporu politycznego w Polsce oraz nie będzie prowadził permanentnej wojny przeciwko prawdziwym i rzekomym przeciwnikom – ze szkodą dla Polski". W tym, ma się rozumieć, także przeciwko niemieckim interesom. Mógłby wręcz „przekonać przynajmniej część swoich zwolenników do kompromisu z Niemcami". Zadaniem niemieckich polityków – tłumaczy Urban – będzie przekonanie Nawrockiego, że zarzut, iż Niemcy piszą historię II wojny światowej kosztem Polaków na nowo, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. „Do najpilniejszych zadań należy także wytłumaczenie stronie polskiej, dlaczego niemiecki rząd odrzuca roszczenia reparacyjne. Odstąpienie niemieckich terenów wschodnich uważane jest dziś w RFN, niezależnie od przynależności partyjnej, za odszkodowanie za zbrodnie niemieckich okupantów podczas wojny" – uważa publicysta.

> Tymczasem dziennik „Süddeutsche Zeitung" ze zdumieniem donosi, że tłum zebrany w dniu zaprzysiężenia przed pałacem prezydenckim odmówił modlitwę „Ojcze nasz". I odśpiewał hymn

Süddeutsche Zeitung

Gleich zum Antritt greift er an

NAJNIEBEZPIECZNIEJSZY CZŁOWIEK

Także dziennik „Frankfurter Allgemeine Zeitung" zauważa, że zaraz po złożeniu przysięgi nowy prezydent Polski ostro skrytykował rząd Tuska w wystąpieniu sejmowym.

„Po raczej pojednawczym wstępie Nawrocki pokazał, czego można się po nim spodziewać jako prezydencie [...]. Trudno było w bardziej jednoznaczny sposób wysłać sygnał konfrontacji między prezydentem a rządem, której wielu w politycznej Polsce i tak się spodziewało" – czytamy.

„RedaktionsNetzwerk Deutschland" ocenia w komentarzu, że nowy polski prezydent jest antyniemiecki i antyeuropejski. „Prawicowy populista [Karol] Nawrocki stawia na antyniemieckie hasła, nie ma zbyt dobrego zdania o UE, a bardziej podoba mu się prezydent USA Donald Trump. Nic dziwnego – podobnie jak Trump Nawrocki jest przede wszystkim głośny, świadomy swojej mocy i nacjonalistyczny" – czytamy w gazecie. „Dla Niemiec i Europy nie są to dobre perspektywy, jeśli po Węgrzech i Słowacji kolejne państwo UE ponownie wkracza na drogę ku nieliberalnej demokracji. Spójność UE jest narażona na jeszcze większe zagrożenie – w czasie, gdy jest ona potrzebna bardziej niż kiedykolwiek" – ocenia portal. O konfrontacyjnym kursie wobec premiera Tuska pisze też berliński dziennik „Berliner Zeitung". Gazeta przypomina, że zwycięstwo Karola Nawrockiego nad prezydentem Warszawy Rafałem Trzaskowskim było dotkliwym ciosem dla rządu. „Oczekuje się, że Nawrocki, zwolennik Trumpa i eurosceptyk, będzie próbował doprowadzić do zmiany kursu w Polsce, co będzie miało konsekwencje dla Niemiec i Europy" – czytamy. Lokalny portal wir Freiburg. pobił jednak wszystkie inne medialne publikację na głowę, pisząc, że Nawrocki to „najniebezpieczniejszy człowiek ostatnich 30 lat".

Nasi niemieccy sąsiedzi, skonsternowani zaprzysiężeniem prezydenta, którego wszak miało nie być, najwyraźniej balansują między przerażeniem a nieśmiałymi nadziejami, że zły populista, którego osądzają od czci i wiary, wykaże się rozsądkiem i da się przekonać choćby do części niemieckich racji. A co najmniej nie zatopi wymarzonej przez Berlin koalicji rządzącej Polską od grudnia 2023 r. Okraszone jest to oczywiście zwyczajową butą i arogancją. Ale także dużą dawką bezradności. „Szanujemy wybór Polaków" – rzekł w czerwcu Manfred Weber. Bo cóż im innego pozostaje?

Autopromocja

eprasa.pl 9b8aaefe56

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio

eprasa.pl 9b8aaefe56

Siła konserwatyzmu

Zwycięstwo Karola Nawrockiego jest ważne nie tylko dla Polski, lecz także dla Europy. Pokazuje, że można pokonać globalistyczną machinę propagandową

Z dr. Miklósem Szánthó, szefem węgierskiego konserwatywnego think tanku Centrum Praw Podstawowych, rozmawia Goran Andrijanić

Jest pan szefem think tanku, który w ostatnich kliku latach stał się wyjątkowo aktywny w Europie. Jaki jest jego cel?

Miklós Szánthó: Centrum Praw Podstawowych powstało 12 lat temu po tym, jak zrozumieliśmy na węgierskiej prawicy, że nie da się walczyć z lewicą bez sprawnie działającej, bezpartyjnej infrastruktury politycznej. Takiej, która łączy media, think tanki i influencerów po prawej stronie. 20 lat temu krajobraz medialny na Węgrzech był zdominowany przez lewicę. W ciągu ostatnich 10 lat się zmienił. Na Węgrzech stale rozwija się konserwatywne środowisko medialne, a węgierski ruch konserwatywny zaczął działać w sektorze medialnym naprawdę profesjonalnie. To niezwykle ważne, ponieważ u nas – podobnie jak wszędzie – ludzie korzystają dziś z mediów społecznościowych jako głównego źródła informacji. Ale nie chodzi tylko o media. Chodzi ogólnie o budowanie społeczeństwa obywatelskiego zainspirowanego wartościami konserwatywnymi. O budowanie sieci, która może równoważyć dominację narracji lewicy. Co więcej, zdajemy sobie sprawę, że większość ataków na węgierskie idee konserwatywne nie pochodzi w istocie ze strony opozycji krajowej, ale międzynarodowej elity globalistycznej. Zrozumieliśmy, że bez międzynarodowego zasięgu i budowania mostów między Węgrami a naszymi konserwatywnymi partnerami na całym świecie niemożliwe jest utrzymanie władzy politycznej i wpływów. Dlatego kilka lat temu zaczęliśmy tworzyć międzynarodową platformę, która ma na celu zjednoczenie sił antyglobalistycznych. Naszym flagowym projektem jest CPAC Hungary, coroczna konferencja polityczna. Mamy kilka międzynarodowych biur i utrzymujemy doskonałe relacje z amerykańskim ruchem konserwatywnym.

Dlaczego Węgry są aż tak atakowane przez te, jak pan je nazywa, „międzynarodowe elity globalistyczne"?

Globalistyczne media atakują Węgry, ponieważ bronią swojej suwerenności, granic oraz dziedzictwa i kultury judeochrześcijańskiej. Starają się także stworzyć środowisko gospodarcze bazujące na własności narodowej w sektorach strategicznych. Nie na własności państwowej, ale na tym, co nazywamy narodową korporacją, jak MOL w przemyśle naftowym. Oczywiście chodzi również o to, że węgierski rząd chroni rodziny i dzieci przed ideologią gender. Zrozumieliśmy, że nasi konserwatywni przyjaciele w Polsce, Francji, Hiszpanii, Ameryce Południowej i innych częściach świata mierzą się z bardzo podobną presją globalistów i z tym samym zagrożeniem. Istnieje jednak pewien rodzaj błędnego przekonania lansowanego przez liberałów i postępowców, że konserwatyści to ludzie zainteresowani wyłącznie sprawami narodowymi, którzy w rezultacie nie są w stanie współpracować na poziomie międzynarodowym. To nieprawda.

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 9b8aaefe56

Nasuwa się pytanie, co ma zjednoczyć ruchy suwerenistyczne z różnych państw, które często mają różne interesy narodowe.

Tym, co ma ich połączyć, jest globalne zagrożenie dla ogólnej koncepcji suwerenności na całym świecie. Kiedy Bruksela próbuje przenieść podejmowanie decyzji z poziomu państw członkowskich na poziom federalny, starając się zyskać coraz większe kompetencje w kwestiach polityki rodzinnej, migracji czy ochrony granic, to mamy do czynienia z takim zagrożeniem. Wpływa to na pole manewru politycznego każdego konserwatywnego rządu. Tak więc te same problemy występują na całym świecie. Np. w Ameryce Południowej istnieje postępowa lewicowa sieć zwana Forum São Paulo, która jest bardzo podobna do Open Society George'a Sorosa. Próbują podważyć stabilność różnych konserwatywnych rządów i suwerenność państw, atakują historię narodową i dumę narodową oraz usiłują prać mózgi naszym dzieciom propagandą gender. Jak widzimy, te same problemy pojawiają się wszędzie. Z konserwatywnego punktu widzenia jest jasne, że powinniśmy działać globalnie.

Może spróbujmy zdefiniować międzynarodową sieć globalistyczną. Co się kryje za tym pojęciem?

Kiedy mówię o sieci globalistycznej, mam na myśli połączenie instytucji politycznych i mediów. Do tego trzeba dodać także sieć różnych organizacji pozarządowych, takich jak Human Rights Watch, Reporters without Borders, Freedom House, Transparency International, Amnesty International oraz ich lokalnych agentów działających również w naszym regionie. Oczywiście jest to także coś, co ja nazywam jurystokracją: różne sądy regionalne lub międzynarodowe, które funkcjonują jak organy polityczne. Podam przykład ich działalności. Węgry codziennie otrzymują karę w wysokości 1 mln euro za ochronę swoich granic. Chociaż kwestia ochrony granic, organizacja prawa azylowego i systemu migracji pozostają w gestii państw członkowskich, Europejski Trybunał Sprawiedliwości orzekł, że węgierskie przepisy są niezgodne z traktatami europejskimi i uniwersalnymi wartościami UE. Twierdzą, że nasze przepisy są sprzeczne z prawami człowieka, a o tym, czym są prawa człowieka, decyduje TSUE.

Coraz więcej ekspertów uważa, że główna linia podziałów politycznych na świecie nie jest dziś związana z konfliktem lewicy z prawicą. Teraz główny podział, który definiuje wydarzenia polityczne, to walka globalistów z suwerenistami. Zgadza się pan z taką oceną?

Całkowicie. Ponownie odpowiem przykładem. Na Słowacji rządzi Robert Fico i jego partia SMER. Oficjalnie jest to formacja lewicowa, ale sam Fico wszedł na scenę podczas tegorocznego szczytu CPAC Hungary i powiedział, że jest socjalistą, choć dumnym ze swojej tożsamości narodowej i chce bronić suwerenności oraz interesów swojego narodu. Istnieje wiele innych przykładów, które pokazują, że teza o klasycznym konflikcie prawicy z lewicą nie jest rozstrzygająca. Oczywiście ten konflikt istnieje, ale najważniejszy spór w polityce XXI w. to suwerenność kontra globalizm.

Był pan gościem na inauguracji nowo wybranego prezydenta Karola Nawrockiego.

Tak! I myślę, że zwycięstwo Karola Nawrockiego jest ważne nie tylko dla Polski, lecz także dla Europy. Pokazuje, że można pokonać globalistyczną machinę propagandową, która wspierała Rafała Trzaskowskiego i premiera Donalda Tuska, będącego moim zdaniem marionetką brukselskich elit. Te elity starają się zrobić wszystko, żeby uciszyć polską prawicę. Myślę, że Tusk buduje w Polsce dyktaturę, skazując przeciwników politycznych i uciszając media. I mimo tych wszystkich fałszywych oskarżeń i ataków na Nawrockiego zdołał on wygrać wybory prezydenckie. Dla nas to bardzo ważny przykład, bo mamy węgierską wersję Tuska, marionetkę Brukseli i Manfreda Webera z Europejskiej Partii Ludowej. To Péter Magyar.

Czy uważa pan, że zwycięstwo Karola Nawrockiego zainicjuje jakieś procesy polityczne również w innych krajach europejskich?

Jeśli chodzi o wynik wyborów, zawsze przedstawiam taką perspektywę. Wyobraźcie sobie, w jakiej sytuacji bylibyśmy my, konserwatyści, z Kamalą Harris w Białym Domu. Albo wyobraźmy sobie sytuację w Polsce z Trzaskowskim na stanowisku prezydenta. To oznaczałoby, że Tusk i jego ekipa mogliby zrobić wszystko. Dosłownie wszystko – zniszczyć demokrację i rządy prawa. Zwycięstwo Nawrockiego daje nadzieję nie tylko siłom konserwatywnym w Europie, lecz także tym kierującym się zdrowym rozsądkiem przywódcom, którzy sprawują władzę. Europejskie i międzynarodowe środowisko będzie przynajmniej trochę bardziej normalne, ponieważ Nawrocki pełni funkcję głowy państwa polskiego.

Jak wielu zwolenników w Europie ma polityka zdrowego rozsądku, o której pan mówi?

Myślę, że zurbanizowane obszary Europy Zachodniej są pod tym względem stracone, to pewne. Nie tylko z powodu propagandy gender i woke, lecz także za sprawą migracji. To jest nieodwracalny proces. Myślę, że to, co pozostało z pierwotnej Europy, z cywilizacji zachodniej, jest tutaj, w Europie Środkowej. I tu rodzi się nadzieja na przywrócenie polityki zdrowego rozsądku. W Polsce już zrobiliście ten krok. Wierzymy też w triumf Andreja Babiša w czeskich wyborach w październiku. Z nadzieją patrzymy na naszych słoweńskich przyjaciół i Janeza Janšę, na jego dobry wynik w wyborach na początku przyszłego roku. I zapewniam, że możemy mieć nadzieję w węgierskich siłach konserwatywnych.

Czy Fidesz wygra przyszłoroczne wybory?

To bardzo prawdopodobne. Spójrzcie tylko, jak bardzo elity globalistyczne i Bruksela są sfrustrowane Victorem Orbánem i węgierskim ruchem konserwatywnym. Bo odnosimy sukcesy. Jeśli chodzi o nadchodzące wybory i kampanię na Węgrzech, będzie ciężko, ponieważ globalistyczne elity zrobią wszystko, żeby odsunąć Victora Orbána od władzy. Przede wszystkim dlatego, że sprzeciwia się nie tylko imigracji, ideologii gender i podżeganiu do wojny, lecz także z tego powodu, że węgierski ruch konserwatywny sprzeciwia się przyspieszonemu przystąpieniu Ukrainy do UE.

eprasa.pl 9b8aaefe56

Pierwszy tydzień prezydenta

JAN ROKITA

Nie tylko żaden dotychczasowy prezydent, ale nawet żaden premier, z natury rzeczy bardziej predestynowany do aktywizmu, nie zaczynał urzędowania z tak spektakularnym impetem jak Karol Nawrocki

W środę 6 sierpnia – mowa inauguracyjna w Sejmie, a w niej m.in. zapowiedź rychłego zebrania Rady Gabinetowej, z nieskrywaną intencją konfrontacji z rządem co do inwestycji i długu publicznego. W czwartek 7 sierpnia – Kalisz i inicjatywa rozbudowy sieci kolejowej do miast średniej wielkości, tak jak pierwotnie chciał rząd Morawieckiego, planując CPK. W piątek 8 sierpnia – Kolbuszowa i projekt sporej obniżki podatku dochodowego dla wszystkich oraz radykalnej likwidacji opodatkowania dla rodzin z dwójką dzieci. W sobotę 9 sierpnia – Krąpiel i inicjatywa wydłużenia zakazu wykupu państwowych gruntów rolnych o 10 lat wraz z deklaratywnymi postanowieniami dotyczącymi zmian w WPR, czyli europejskiej polityce rolnej. W niedzielę 10 sierpnia – Gdańsk i turniej bokserski, czyli ukłon w stronę własnego środowiska, oraz inspekcja polityki historycznej w Muzeum II Wojny Światowej. To tyle w ciągu pierwszych pięciu dni prezydentury Karola Nawrockiego.

NAWROCKI JAK TRUMP

Od poniedziałku 11 sierpnia można było odnieść wrażenie, że prezydent skończył przygotowaną wcześniej pięciodniową „falę uderzeniową" i na serio zabiera się do pracy w swoim warszawskim biurze. Był już tylko wieczorny wywiad telewizyjny dla zaprzyjaźnionej stacji telewizyjnej, bez ogłaszania nowych projektów politycznych. Podobnie było we wtorek 12 sierpnia, tyle że tym razem wieczorny wywiad telewizyjny przyniósł pierwszy krok z dziedziny realnej polityki państwowej, wykraczającej poza prezydencką propagandę i budowanie wizerunku: niedwuznaczną, choć na razie jeszcze niesformalizowaną zapowiedź weta do rządowej ustawy wiatrakowej, która nie tylko zmniejsza wymaganą odległość domów od wiatraków do 500 m (co powszechnie wiadomo), lecz także przyznaje spore świadczenia finansowe rodzinom żyjących w pobliżu wiatraków. Prezydent zapowiedział również własną inicjatywę w sprawie zamrożenia cen prądu, co – jak wiadomo – w Sejmie połączono w jednej ustawie z wiatrakami. Takie połączenie Nawrocki uznaje za „szantaż wobec Polek i Polaków" (jak widać, genderowy język będzie już obowiązywać także na prawicy). Lecz prezydent nie jest tu w wygodnej sytuacji, a jego weto niekoniecznie spodoba się wyraźnej większości obywateli.

Tak wyglądał pierwszy tydzień nowej prezydentury. Nawrocki jeszcze odróżnia się od wszystkiego, co mogliśmy dotąd widzieć w podobnych okolicznościach. Nie tylko żaden dotychczasowy

Fot. KPRP

eprasa.pl 9b8aaefe56

prezydent, lecz także żaden premier, z natury rzeczy bardziej predestynowany do tego rodzaju aktywizmu, nie zaczynał urzędowania z tak spektakularnym impetem. Wyraźnie widać intencję wzorowania się na pierwszych dniach drugiej kadencji Donalda Trumpa, który w mniej więcej podobnym czasie i w podobnym stylu w różnych miejscach Ameryki publicznie podpisywał przygotowane wcześniej kluczowe prezydenckie rozporządzenia wykonawcze. Nie tylko Ameryka, lecz także świat był zdumiony tempem, w jakim Trump na serio rewolucjonizuje amerykańską politykę wewnętrzną, wywołując przy tym lawinę krytyki i procesów sądowych próbujących zastopować jego zdumiewający impet.

Inspiracja jest ewidentna, ale realia ustrojowe Polski i Ameryki – odmienne. Czy się to komu podoba, czy nie, polska rządowa propaganda powtarzająca ustami kolejnych polityków Platformy mantrę, iż „prezydentowi pomyliło się, kto w Polsce rządzi", ma swoje uzasadnienie. O ile bowiem rozporządzenia Trumpa wchodziły w życie natychmiast – choć potem na różnych szczeblach bywały kwestionowane przez sędziów – o tyle projekty Nawrockiego trafiają w ustrojową pustkę, gdyż mogą wejść w życie (w całości bądź w części) tylko za zgodą Tuska, albo – na co Nawrocki może liczyć – przy jakimś nagłym konflikcie w obozie władzy, czyli np. przy kolejnym buncie Hołowni, do którego mogliby ewentualnie dołączyć Kosiniak-Kamysz albo Czarzasty. Jednak z wiadomego powodu, czyli dramatycznej i postępującej słabości tych polityków i ich mikropartii, na nic takiego, przynajmniej na razie, się jeszcze nie zanosi.

Czy zatem prezydentowi istotnie „pomyliło się, kto w Polsce rządzi"? Ważne, by zauważyć, iż politycznym celem Nawrockiego wcale nie jest rychłe obniżenie podatku dochodowego albo wiążące nadanie dawnego, kolejowo rozbudowanego kształtu projektowi CPK. Może najwyraźniej to widać przy innej prezydenckiej inicjatywie ustawodawczej, podpisanej w zachodniopomorskiej Krąpieli, a dotyczącej polskiej i europejskiej polityki rolnej. Doradcy Nawrockiego wpisali do tego tekstu nowy wstęp (czyli tzw. preambułę) wyjaśniający inaczej niźli dotąd sens i cele, jakie ustawodawca chce osiągnąć tą ustawą. Te nowe sformułowania miałyby dać Polsce pretekst do protestowania przeciw zmianom w WPR ograniczającym dopłaty rolne w Europie albo umowom o strefach wolnego handlu, takich jak zawarta, ale niepotwierdzona dotąd przez Unię umowa z krajami Ameryki Łacińskiej. Tyle tylko, że po pierwsze – to, co jest napisane w polskich ustawach, nie ma żadnego znaczenia przy decyzjach podejmowanych przez UE. A po drugie – co ważniejsze, teksty preambuł nie kształtują wprost obowiązujących przepisów prawnych.

TRZY POLITYCZNE CELE

Po co zatem Nawrocki robi ów widowiskowy pokaz aktywizmu zaraz po swoim zaprzysiężeniu? Sądzę, że są trzy niewykluczające się, a nawet uzupełniające nawzajem odpowiedzi na to pytanie. W każdym razie nic nie wskazuje na to, aby Nawrockiemu „pomyliło się, kto w Polsce rządzi". Przeciwnie, ów teatr pierwszego tygodnia władzy ma dobrze przemyślany polityczny sens i cel.

Przede wszystkim ma budować społeczny wizerunek prezydenta jako człowieka o niespożytej energii i absolutnie wiarygodnego w wypełnianiu przedwyborczych zobowiązań. Jak każdy kandydat na urząd głowy państwa w ciągu ostatnich dziesięcioleci także Nawrocki składał mnóstwo wyborczych zobowiązań wykraczających poza realny zakres władzy prezydenckiej w Polsce. Nie może ich zatem wypełnić, ale nie może ich też jawnie zignorować, jak skądinąd zwykli to czynić jego poprzednicy po wygranych wyborach. Ale może pokazać, że się stara, że walczy, że jest dobrze przygotowany i ma gotowe projekty. A że najprawdopodobniej nie wejdą one w życie? No cóż, to przecież nie będzie winą prezydenta, tylko większości parlamentarnej. A skoro Nawrocki i tak jest skazany na ostrą polityczną konfrontację z Tuskiem, to zbudowanie reputacji polityka energicznego i dotrzymującego obietnic jest politycznym warunkiem jego sukcesu w tej konfrontacji. To pierwszy, politycznie zrozumiały cel Nawrockiego.

Drugim jest stawka na podsycenie rozłamów w obozie Tuska. Tak zresztą obecnie postępują obie strony polskiego politycznego sporu. Premier dał tego dowód, gdy po prezydenckiej inauguracji z nieskrywaną satysfakcją mówił o złości i niezadowoleniu Jarosława Kaczyńskiego, który w tamtą środę po raz pierwszy na własne oczy dostrzegł młodszego i taktycznie sprawnego rywala do przywództwa na prawicy, zdolnego na dodatek wygrać taki spór o przywództwo. Oczywiście Tusk nic nie wie o relacjach pomiędzy prezydentem i liderem PiS, które zresztą do tej pory wyglądają na dużo lepsze niźli przeszłe relacje Kaczyńskiego z Dudą. Ale gra na podbechtanie złych emocji prezesa,dobrze wiedząc po samym sobie, jak bardzo starzy i zasiedziali przywódcy partyjni boją się wszelkich pojawiających się na horyzoncie „delfinów".

Nawrocki odpłaca się podobną taktyką. Zdaje sobie sprawę, że obniżki podatków dochodowych (w tym zwłaszcza wzrost kwoty wolnej od podatku) jest nie tylko zobowiązaniem

eprasa.pl 9b8aaefe56

przedwyborczym Tuska, z którego ten nie jest w stanie się wywiązać z powodu narastającego kryzysu zadłużeniowego kraju. Wie też, że dla liberalnej grupy Hołowni sprzeciw wobec obniżki podatków może być przedsięwzięciem druzgocącym albo wręcz anihilującym tę mikropartię na polskiej scenie. Tuska bierze zatem w dwa ognie, z jednej strony zapowiadając Radę Gabinetową z intencją rozliczenia rządu z rosnącego długu publicznego, z drugiej – podkładając mu projekt z jego własnym planem obniżki podatków, ale prowadzący do zaciśnięcia się na szyi premiera pułapki zadłużeniowej. A na dodatek coraz bardziej nieznoszącym Tuska koalicjantom z Hołownią na czele, który za chwilę ma utracić laskę marszałka Sejmu, podsuwa myśl o przeciwstawieniu się premierowi i ministrowi finansów w sprawie podatków, skoro Tusk i tak jest na tyle słaby, że musi z zaciśniętymi zębami tolerować każdy bunt na swoim pokładzie. Bezwzględna, ale całkiem nieźle pomyślana gra. A do tego jeszcze ten uderzający sarkazm Nawrockiego, iż chodzi mu przecież o nic innego, jak tylko „o pomoc premierowi".

No i po trzecie, Nawrocki może liczyć na to, że coś z jego projektów politycznym fuksem zostanie jednak uchwalone, nawet za wymuszoną akceptacją Tuska. Najprędzej może się tak zdarzyć z mało znaczącym i mocno deklaratoryjnym projektem prezydenckim o „obronie polskiej wsi". Z perspektywy rzeczywistych priorytetów Tuska przedłużenie o 10 lat zakazu sprzedaży ziemi firmom zagranicznym jest rzeczą niemal bez znaczenia, zwłaszcza że ma dotyczyć wyłącznie państwowego areału ziemskiego. Natomiast puste w istocie deklamacje w ustawowej preambule odnoszące się do polityki europejskiej i tak w niczym nie wiązałyby rządowi rąk. Być może zresztą Kosiniak-Kamysz, o którym Tusk dopiero mówił co w Pabianicach, iż niczego nie umie zrobić na wsi, zechce udowodnić, że stara się jednak o chłopów i zaproponuje jakieś PSL-owskie poprawki do prezydenckiego projektu. Dzisiaj to oczywiście wróżenie z fusów, a jedną istotną rzeczą jest tylko to, że coś z tych najmniej znaczących inicjatyw Nawrockiego faktycznie może zostać uchwalone przez aktualną centrolewicową większość sejmową.

> Nic nie wskazuje na to, aby Nawrockiemu „pomyliło się, kto w Polsce rządzi", jak twierdzą politycy Platformy. Przeciwnie, ów teatr pierwszego tygodnia władzy ma dobrze przemyślany polityczny sens i cel

„DAĆ PO ŁAPACH"

Ta większość i jej przywódca mają tu jeszcze jeden orzech do zgryzienia. Muszą zdecydować, czy Sejm ma się w ogóle zajmować prezydenckimi inicjatywami. Jeśli bowiem konflikt o władzę między Tuskiem i Nawrockim miałby się rozpętać rychło i na całego, to najlepszym wyjściem dla obozu rządowego jest spektakularne pokazanie prezydentowi figi i odsyłanie jego projektów do tzw. zamrażarki. Argument dla zwolenników Tuska jest prosty: oto Nawrocki miesza się do polityki rządowej, nad którą konstytucja nie daje mu żadnej władzy, wykorzystując w ten sposób własne prawo do inicjatywy ustawodawczej w złej wierze. Musimy mu zatem „dać po łapach" (jak to z fantazją ujął wicepremier Gawkowski), aby się nauczył, że nie powinien się wtrącać. Poza lamentami i skargami, jakie na kolejnych posiedzeniach Sejmu mogliby wnosić w takim przypadku posłowie PiS, sam prezydent byłby bezradny wobec takiej taktyki. Mógłby się tylko rewanżować Tuskowi metodą lawinowego weta wobec wszystkiego, co uchwali Sejm, tak jak swego czasu robił prezydent Kwaśniewski wobec upadającej ekipy rządowej AWS.

Z perspektywy Tuska taki ostry sposób na inicjatywy Nawrockiego ma jednak pewien szkopuł. Otóż cały ciężar odpowiedzialności i tłumaczenia się za ignorowanie projektów prezydenckich spadałby nieuchronnie na marszałka Sejmu, który – prawnie czy bezprawnie – ma moc zarządzania sejmową „zamrażarką". A póki marszałkiem jest Hołownia, Tusk nie może być pewny jego lojalności, zwłaszcza po sławetnej odmowie zrobienia „zamachu stanu" przy okazji wyborów prezydenckich. Taka blokada byłaby też wielce niekorzystna dla politycznych interesów samego Hołowni, który na powrót musiałby się stać obiektem ataków, kpin i napaści ze strony prawicy. Trudno powiedzieć, na ile po wszystkich przejściach z Tuskiem Hołownia jest dziś znów zastraszony i posłuszny wobec premiera, widząc polityczną słabość własną i własnej mikropartii. Być może zatem przynajmniej niektóre spośród ustawowych projektów Nawrockiego faktycznie wejdą pod sejmową debatę i głosowania, o ile tylko liderzy koalicji potrafią wcześniej uzgodnić, jak zamierzają z nimi postępować. Jeśli koalicja Tuska zadziała wspólnie, to prezydenckie inicjatywy utracą znaczną część politycznego rażenia zaplanowanego przez Nawrockiego. Jeśli zaś będzie się kruszyć, to Nawrocki nieoczekiwanie może zyskać nowe pole dla własnej twardej politycznej gry.

eprasa.pl 9b8aaefe56

Polsko-polska wojna – czyżby?

W naszym kraju nie toczy się żadna wojna polsko-polska. To nie jest starcie między zwolennikami Polski postępowej, radosnej, lepszej ze zwolennikami Polski zacofanej, ponurej, faszystowskiej. To jest konflikt, w którym siły dążące do zniszczenia polskości, pozbawienia Polaków suwerenności państwowej i odebrania wolności atakują obrońców polskości, tradycji oraz naszego interesu narodowego

ROMUALD SZEREMIETIEW

W jednym z programów TVP w likwidacji zapiekła w nienawiści do Zjednoczonej Prawicy prokurator Ewa Wrzosek (podobno na życzenie ministra Waldemara Żurka ma zastąpić Dariusza Korneluka w Prokuratorze Krajowej) mówiła, że musi ona działać w podobnej sytuacji, jak na początku Polski Ludowej, czyli gdy komuniści dopiero „umacniali" swe rządy. Powiedziała, że teraz też działają „leśne bandy". I potem szybko najpierw minister Tomasz Siemoniak, następnie premier Tusk, a za nimi wszystkie prorządowe media doniosły, że na polsko-niemieckiej granicy pojawiły się „bojówki", ba, nawet faszystowskie bojówki, które podszywają się pod służby państwowe i przeszkadzają w wykonywaniu obowiązków Straży Granicznej.

Prokurator Wrzosek miała więc rację – w lasach na zachodniej granicy grasują „bandy" Ruchu Obrony Granic niejakiego Roberta Bąkiewicza. Mianowany właśnie stary/nowy szef MSWiA Marcin Kierwiński zapowiedział, że zlikwiduje ROG i już zaczął to robić.

O CO CHODZI?

W rozmowie z PCh24TV wpływowy dawniej polityk Platformy Obywatelskiej Jan Rokita powiedział, że to Donald Tusk rozpętał „wojnę polsko-polską": „Tusk wymyślił i ja dokładnie wiem, kiedy, bo rozmawiałem z nim na ten temat, wtedy koncept radykalnej polaryzacji i budowania nienawiści wobec PiS, a konkretnie wobec braci Kaczyńskich". Stwierdził, że Tusk już w 2005 r. uznał – „i to jest kluczowy moment" – „że nienawidzić PiS to zadanie totalne i że to trzeba robić cały czas". Potwierdziła to też żona Tuska Małgorzata w swojej książce „Między nami" (Znak 2013): „Bracia Kaczyńscy zawsze byli solą w oku męża i przeszkadzali mu w osiągnięciu władzy absolutnej."

Dla Rokity jest przerażające, „że polityk taki jak Tusk jest zdolny do wiecznej nienawiści jednopartyjnej, bazuje na niej, sieje ją i dzięki niej wspina się na wyższe szczeble kariery, myśląc, że jest kimś. Smutne i absurdalne, a jednocześnie niestety takie prawdziwe. To się nigdy nie skończy" – pesymistycznie podsumował Rokita.

Kiedy w 2005 r. PiS zdobyło władzę w Polsce, lider przegranych, czyli Tusk, uznał (ktoś mu to uświadomił?),

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9b8aaefe56

że w naszym kraju powstał front wojny polsko-polskiej. Z jednej strony miały na nim walczyć nowoczesne, europejskie siły liberalno-lewicowe, postępowe, głównie w przestrzeni obyczajowej (LGBT+, genderyzm), z drugiej – przeciwne im, ponure moce ciemnoty i zacofania, zwłaszcza katolickiego, reakcyjne, rasistowskie, homofobiczne, ksenofobiczne, ba, nawet faszystowskie, a pewnie i „naziolskie". Tusk objawił się więc jako przywódca sił postępu i wskazywał na przywódcę sił zła – miał nim być „kaczor dyktator", prezes Prawa i Sprawiedliwościowi Jarosław Kaczyński.

Wtedy ogłoszono też, o co toczy się ta wojna. O to, jaka będzie Polska – nowoczesna, radosna, otwarta czy ponura, reakcyjna, zacofana, może nawet wykluczona z UE.

WOLNY NARÓD

Naród polski uformował się jako jeden z pierwszych w Europie, a np. Niemcy osiągnęli to dopiero po zjednoczeniu w 1871 r. w Cesarstwo Niemieckie. Polacy niewątpliwie są jednym z najstarszych narodów europejskich. Zbudowali też jedną z najstarszych demokracji (pierwsza konstytucja w Europie). Tworzyli przy tym państwowość poddaną obywatelom (demokracja szlachecka), podczas gdy w tym czasie w innych krajach europejskich cała ludność była pod władzą monarchy, musiała znosić jego rządy absolutystyczne, dziś byśmy powiedzieli – autorytarne, lub wprost byli niewolnikami władcy we wschodnich despocjach, pod władaniem turańskich carów i sułtanów.

W naszych dziejach zawarte jest silne pragnienie wolności i dlatego najlepsi Polacy zawsze byli gotowi do ponoszenia największych ofiar, aby odzyskać traconą wolność osobistą i niepodległość państwową. Przy tym wolność osób i narodu zawsze traktowali nierozdzielnie!

Dzieje Polski są też wpisane w bardzo konkretny porządek cywilizacyjny, zdefiniowany przez badacza tej problematyki prof. Feliksa Konecznego jako „cywilizacja łacińska". To bardzo ambitna formuła, w niej człowiek powinien zwłaszcza rosnąć i rozwijać się duchowo jako osoba ludzka, persona. W Europie ta cywilizacja powstawała wraz z umacnianiem się chrześcijaństwa, ale tylko dzięki wyznaniu rzymskokatolickiemu (rozdział władz: Kościół, władza duchowa działa w ramach obowiązującego prawa, ale władza publiczna słucha napomnień moralnych władzy duchowej, stosując się do nich).

Powstały też inne odłamy chrześcijaństwa – najpierw na Wschodzie Europy prawosławie, następnie na Zachodzie protestantyzm, oba znajdujące się w innych kręgach cywilizacyjnych, „gromadnościowych", gdzie Kościół był i jest podporządkowany władzy państwowej (turanizm, bizantynizm). Dodajmy – cywilizacji wrogich tej łacińskiej, zwalczających jej wpływy. Łacińska Polska musiała toczyć wojny z bizantyńskimi Krzyżakami/Prusami i turańską Moskwą/Rosją. Te procesy cywilizacyjnej rywalizacji stale zachodzą na terenie Europy, także na naszych oczach. Następuje bowiem – jak to określił amerykański politolog Samuel Huntington – „zderzenie cywilizacji". Wówczas to kulturowe i religijne tożsamości ludzi stają się głównym źródłem konfliktów.

Teraz rzeczywiście nastąpiło takie zderzenie między napływającymi do Europy masami migrantów ekonomicznych wyznających islam a tzw. szeroko pojmowaną cywilizacją Zachodu. Nasiliła się przy tym ofensywa różnorodnych miejscowych „tęczowych" ideologii, formujących się w kręgu cywilizacji bizantyńskiej/niemieckiej, widzących w tym sposobność usunięcia wpływów cywilizacji łacińskiej, bezpardonowo atakujących szczególnie jej wartości. Składową tej ofensywy „tęczy" jest w istocie wspomniana wojna „polsko-polska", która w naszym kraju jest jej pierwszym, pierwotnym przejawem.

W tym starciu widoczne jest odrzucenie wszystkiego, co konstruuje tożsamość narodową i świadomość Polaków, a dotyczy także poglądów określających polskie interesy oraz mające wpływ na przyszłość naszej ojczyzny. Wpływy zewnętrzne (Niemcy) i wewnętrzne (atak „tęczowy") powodują rozliczne negatywne następstwa w funkcjonowaniu państwa i jego struktur – państwa ciągle bazującego na regułach funkcjonowania cywilizacji łacińskiej, zwłaszcza w obszarze porządku ustrojowo-prawnego i w życiu społecznym. Zderzenie sposobów i metod działania, a także rozwiązywania konfliktów, opanowywania sytuacji kryzysowych, jest bardzo trudne. Może być niemożliwe w sytuacji, gdy ludzie wychodzą ze sprzecznych systemów wartości, inaczej widzą kategorie dobra i zła, prawdy i fałszu, nie rozumieją potrzeby respektowania aspektu moralnego w swoim działaniu. A w polityce uznają za cel dążenie do zdobycia władzy nad ludźmi wszelkimi metodami i za każdą cenę.

Kiedyś w Sejmie RP św. Jan Paweł II powiedział – polityka jest roztropną troską od dobro wspólne, tym dobrem jest Rzeczpospolita. Dlatego należy stwierdzić, że potęgowany w naszym kraju konflikt cywilizacyjny stanowi wielkie zagrożenie dla istnienia polskiej państwowości. Zagraża nam nie tylko agresja rosyjska, lecz także niszczenie polskich wartości narodowych. Zresztą te dwa zagrożenia nie wykluczają się, a nawet występują razem, współgrają ze sobą, zniszczenie polskich wartości jest bowiem jednym z warunków skuteczności rosyjskiego ataku (taki jest przecież cel wojny „hybrydowej" na granicy Polski z Białorusią, do czego obecnie dołączają się na swojej granicy z Polską Niemcy!).

ALE TO JUŻ BYŁO!

Kiedy po zakończeniu II wojny światowej Stalin instalował w Polsce powolny sobie reżim, używał do tego polskojęzycznych komunistycznych kolaborantów, którzy dobrze znali rosyjski. Te siły uosabiały totalitarna partia PPR/PZPR i kierowany przez nią aparat represji – KBW, UB, MO zastąpiony później w PRL przez SB i ZOMO.

Sowieccy kolaboranci twierdzili, że są Polakami, patriotami (zmieniali nazwiska na polskie) zabiegającymi o interesy i dobro polskiego „ludu pracującego miast i wsi", a zwalczali siły reakcji, antykomunistów, wrogich każdemu postępowi, do tego odrzucających przyjaźń ze Stalinem, największym dobrodziejem i sojusznikiem Polski, wielkim wodzem ZSRS.

Z czasem komunistyczne rządy umocniły się (zlikwidowano niepodległościowe podziemie zbrojne), uformowało się satelickie państwo Moskwy (Polska Rzeczpospolita Ludowa) i zaczęto twierdzić, że zwalczanie podziemia niepodległościowego było przejawem wewnętrznej polskiej „wojny domowej". Mieli w niej brać udział zwolennicy lewicowego postępu propagujący rzeczy potrzebne, prezentujący słuszne patriotyczne postawy i walczący o rzeczywiste interesy

eprasa.pl 9b8aaefe56

współczesnej Polski. Walczyli oni z siłami postulującymi niesłuszne, szkodliwe dla kraju rozwiązania i zamiary cofające państwo w rozwoju, z niedobitkami jakichś „londyńskich" emigrantów kapitalistów.

Toczyła się więc wojna domowa, którą wygrali „słuszni" Polacy z orłem bez korony, a ci z orłami w koronie – przegrali. Taka była też świadomość wśród „utrwalaczy". Rozmawiałem kiedyś z „kombatantem" z Armii Ludowej. On wiedział, jakie mam poglądy. Zagadnął: „Powinien pan zrozumieć, że to my wygraliśmy i dlatego nasi pułkownicy zamykali do więzień pułkowników Armii Krajowej. Gdybyście wygrali, to wasi zamykaliby naszych". ALowiec staruszek, zdaje się, były ubek, nie wspominał, że o ich „zwycięstwie" zdecydowało sowieckie wsparcie.

Charakterystyczne, że w argumentacji, jaką współcześnie rozwijają politycy, ideolodzy, publicyści obecnego obozu władzy, ujawnia się podobna kierunkowo „narracja", a nawet podobne „wartości" do tych wpajanych w latach stalinowskich. Słyszymy przecież, że tylko koalicja 15 października reprezentuje prawdziwy polski interes „europeizowania" Polaków. Dawniej to była też – postępowa przecież – „sowietyzacja". Znowu dowiadujemy się, że polskość osadzona w narodowych dziejach, narodowe tradycje, wiara katolicka to godne pogardy objawy wstecznictwa, a Polacy respektujący te wartości, wierzący w Boga to rasiści, faszyści, ba, naziści i bojówkarze (Bąkiewicza), których trzeba pilnie eliminować z życia politycznego, a nawet społecznego.

Dziś rządzący tak jak dawniej komuniści do narodowych flag dodają inne, „lepsze". Kiedyś powiewali czerwonymi płachtami, teraz tęczowymi. Znamienne, że rozliczni spadkobiercy reżimu PRL, potomstwo aparatczyków PZPR i funkcjonariuszy SB, ujawnili się wśród najbardziej oddanych, tych walczących w imię tęczowych ideologii. Takich ludzi bez trudu odnajdziemy też na najwyższych stanowiskach państwowych w III RP, na kluczowych pozycjach wpływu na poglądy i postawy społeczeństwa – w mediach, na uczelniach i w edukacji!!! Ludzie tego pokroju mają tym samym ogromny wpływ na kształtowanie kolejnych pokoleń Polaków, poczynając od przedszkola, a kończąc na obróbce propagandowej. I to wśród ludzi najstarszych, rozpowszechniając kłamliwe, wrogie Polsce opowieści (TVN, „GW").

Opozycjoniści traktujący niechętnie PiS mówią, że całe zło w kraju kreuje rządzący naprzemiennie dupol PO i PiS, a to jest „jedno zło". Zamiar likwidacji „dupolu" w innej formie deklarują także uczestnicy obecnej koalicji 13 grudnia (Hołownia, Kosiniak-Kamysz). Czasem mówi o tym sam Tusk, który jednak widzi jedność po całkowitym unicestwieniu „kaczyzmu" i tryumfie jego „postępowej" formacji.

Kwestionujący „dupol" zdają się nie rozumieć, że w państwie europejskiej tęczy nie będzie miejsca nie tylko dla konfederackich oponentów PiS, lecz także spolegliwych wobec Tuska ludowców i hołownianych lewo-liberałów. Nie rozumują, że to PiS ciągle jest główną przeszkodą w realizacji „teczkowych" zamiarów. Zapewnienia wrogów duopolu o dążeniu do jedności, odbudowie polskiej wspólnoty narodowej są tak naprawdę pustymi dźwiękami. Nie da się po prostu połączyć zdeklarowanych wrogów polskości z polskimi patriotami. Nie ma też żadnej innej polskości niż ta ukształtowana w tysiącleciu państwa polskiego z dewizą „Bóg, honor, ojczyzna". A to zwycięska „tęcza" Tuska odrzuci i zniszczy!

> Kwestionujący „dupol" zdają się nie rozumieć, że w państwie europejskiej tęczy nie będzie miejsca nie tylko dla konfederackich oponentów PiS, lecz także spolegliwych wobec Tuska ludowców i hołownianych lewo-liberałów

Ryzykowny eksperyment okrągłego stołu, gdzie podjęto próbę pojednania komunistycznych katów z opozycyjnymi ofiarami (Frasyniuk ściskający rękę Kiszczaka) przyniósł jak najgorsze rezultaty, zwłaszcza że po obu stronach w zasadzie decydowali ludzie reżimu i zależni od niego (TW „Bolek"). Dlatego teraz doświadczamy, co prawda w łagodniejszej jeszcze formie, recydywy stalinizmu i stanu wojennego, co tak dobitnie wykazują postawy, takie jak prezentowane przez wspomnianą na wstępie prokurator Wrzosek, nazwaną w przejęzyczeniu zwolennika Tuska Ewą Braun, czy pojawiająca się coraz częściej w publicystyce teza, że przeżywamy w Polsce walkę wnuków UB z wnukami AK.

„Wygrana" – z silnym wspomaganiem sowieckim – komunistów powojennej Polski Ludowej kosztowała Polaków bardzo dużo. Skutkowała nie tylko wieloletnią niewolą, lecz także był to czas eksterminacji polskich wartości w umysłach naszych rodaków, zastępowania ich wartościami cywilizacji najeźdźców i próbą wychowania jakiegoś „pseudo-Polaka", w istocie mówiącego po polsku wroga polskości. Jak widzimy współcześnie, w znacznej mierze komunistom to się udało – mamy rzesze wyborców, którzy w demokratycznym procesie mogą ustanowić w Rzeczypospolitej rządy wrogów polskości! To się przecież stało, tylko dywizje sowieckie zastąpiły „dywizje finansowe" (KPO) wysyłane do Polski z Brukseli–Berlina.

* * *

Reasumując: w naszym kraju nie toczy się żadna wojna polsko-polska. To nie jest starcie między zwolennikami Polski postępowej, radosnej, lepszej ze zwolennikami Polski zacofanej, ponurej, faszystowskiej. To konflikt, w którym siły dążące do zniszczenia polskości, pozbawienia Polaków suwerenności państwowej i odebrania wolności atakują obrońców polskości, tradycji oraz naszego interesu narodowego.

Cały czas chodzi o to samo: jak zniszczyć Polskę, która z tym, czym jest i co sobą stanowi, tkwi niczym zadra w gardle unijnych marzeń mocarstwowych (europejskie superpaństwo) i burzy spokój wewnętrzny mających wiele na sumieniu naszych sąsiadów – Niemców i Rosjan, a ostatnio, zdaje się, też Ukraińców.

Bardzo popularna w Polsce Ludowej Agnieszka Osiecka napisała piosenkę, która zaczynała się słowami: „Ale to już było i nie wróci więcej". Spodziewam się, że takimi słowami będziemy mogli skwitować „wojnę polsko-polską" w czasie prezydentury Karola Nawrockiego.

eprasa.pl 9b8aaefe56

Kto Polak, a kto Niemiec?

Szczepan Twardoch

Polska i niemiecka narracja historyczna, lansowane pod maską europeizacji wspólnej pamięci, rozchodzą się. To nowe zjawisko polityczne. A wystawa „Nasi chłopcy" to nie tyle wypełnianie białych plam, ile celowe odcinanie się od polskiej opowieści o II wojnie światowej

MACIEJ WALASZCZYK

Od połowy lipca br. w gdańskim ratuszu można obejrzeć wystawę „Nasi chłopcy" powstałą przy współpracy z Muzeum II Wojny Światowej oraz Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie. Podejmuje ona problem służby mieszkańców Pomorza Gdańskiego w niemieckiej armii podczas II wojny światowej, a więc po prostu Polaków z terytoriów włączonych w 1939 r. do hitlerowskich Niemiec gwałtem wcielonych do Wehrmachtu.

Reakcja na to wydarzenie, a raczej na pewną prowokację, była do przewidzenia i z pewnością organizatorzy brali ją pod uwagę. Po stronie polskiej przeważało słuszne oburzenie, które przez wszystkich, którzy stanęli po stronie pomysłodawców i organizatorów wystawy, było przedstawiane jako irracjonalna histeria i dowód „ignorancji historycznej". Korespondent „Frankfurter Allgemeine Zeitung" pisał nawet o „ignorancji w połączeniu z agresją". Muzeum Gdańska jako organizator rytualnie sprzeciwiło się „niesprawiedliwym i powierzchownym" ocenom, „niezrozumieniu" kontekstu historycznego i edukacyjnego oraz próbom politycznego wykorzystywania całej historii. Taki był bowiem tragiczny „los ludzi", „synów, braci i ojców z pomorskich rodzin" lub – jak pisała „Krytyka Polityczna" – „złożone losy mężczyzn z tych ziem".

TWARDOCH MÓWI, JAK JEST

Wbrew pozorom najbardziej miarodajną reakcją na wystawę i jej krytykę wykazał się Szczepan Twardoch. Dziś nikomu nie trzeba go przedstawiać – jest jednym z najgłośniejszych pisarzy ostatnich lat. Tym głośniejszym, że pieczołowicie dbającym o swoją skandalizującą renomę. Niegdyś nadzieja prawicowej publiczności, obecnie identyfikujący się jako Ślązak, narodowy apostata i reprezentat kultury nowego mieszczaństwa. A ta, jak słusznie zauważył filozof prof. Wawrzyniec Rymkiewicz, zastąpiła klasycznego polskiego inteligenta, który bez względu na pochodzenie odnajdywał swoją wolność w polskości. Tymczasem w przypadku Twardocha rozwód z polskością jest całkowity, co potwierdził po raz kolejny, komentując polskie reakcje na wystawę.

„Dla nas to zawsze byli i będą nasi chłopcy. Dla was nie muszą, ale to jest nasza historia, innej nie mamy, póki żyje o nich pamięć" – napisał. I dobitnie odgryzając się na koniec, oświadczył: „Do cudzej, waszej pamięci nie będzie się zapisywać – z szacunku tak samo dla naszej, jak i dla waszej właśnie. Każdy należy do swojej i każdy ma do swojej prawo". W ten sam sposób z polskiej historii i wspólnoty pamięci wypisywali się przecież Litwini, Rusini stający się Ukraińcami

Fot. Dariusz Grochal/Shutterstock.com

eprasa.pl 9b8aaefe56

czy Białorusini, co potem miało krwawe konsekwencje.

Twardoch, który buduje nową, aspirującą do rangi narodowej tożsamość śląską na odcięciu się od polskiej tożsamości i pamięci historycznej, faktycznie potwierdził wszystkie słowa sprzeciwu, jakie padły z ust m.in. historyków profesorów Andrzeja Nowaka czy Wojciecha Polaka, prezydenta Andrzeja Dudy, liderów prawicowej opozycji, szefa PSL Władysława Kosiniaka-Kamysza czy licznych publicystów. Wszyscy wspólnie orzekli, że przeszłość opowiadana przez polskie instytucje powinna być opowieścią polską.

NARODOWA APOSTAZJA

Historia Twardocha jako literackiej gwiazdy także wpisuje się w prowokację, której kulminacją było spektakularne przecięcie polskiej pępowiny. Dlatego gdy zmienił zdanie, uczynił to głośno, pisząc: „Pierdol się, Polsko" jako komentarz wyroku Sądu Najwyższego, który w grudniu 2013 r. odmówił wpisania Stowarzyszenia Osób Narodowości Śląskiej do KRS.

Powszechnie wiadomo, że zmienił skórę. Dwa lata temu na łamach „Sieci" przypominałem, że jeszcze 17 lat temu zaproszony na łamy konserwatywnych periodyków nie miał wątpliwości, że język śląski to tylko dialekt. Deklarował nawet, że choć zna go świetnie, to jednak tylko „po polsku myśli, po polsku czuje, po polsku kocha". Dzisiaj bierze udział w pracach Rady Języka Śląskiego, starającej się kodyfikować ten język jako odrębny od polszczyzny. Wtedy demaskował nawet zachodnią dekadencję, pisząc o miękkiej i niezdolnej do przemocy Europie, „odurzonej dostatkiem i rozpustą", o Europejczykach zdolnych do masowego abortowania własnych dzieci w imię łatwego życia, a bezradnie patrzących z okna, jak „hordy śniadych barbarzyńców podpalają im samochody". Dziś to reprezentant liberalnego, wielkomiejskiego prekariatu, jak on marzącego o porzuceniu rodzimej tożsamości.

WCIĄŻ BOLI „DZIADEK Z WEHRMACHTU"

„Więź" postawiła sprawę jasno: „Dziadkowie z Wehrmachtu nie są zatem jednostkowym doświadczeniem, ale drugowojenną traumą ciążącą na całym regionie". A więc właśnie to wciąż tak bardzo boli ową „stronę liberalną, która przegrywa dyskusje historyczne".

Zbliża się 20 lat od prezydenckiego pojedynku między Lechem Kaczyńskim a Donaldem Tuskiem, kiedy Jacek Kurski wrzucił do medialnego obiegu granat z informacją przypominającą pewnemu zwycięstwa liderowi PO o jego polsko-niemieckiej tożsamości, o której niechętnie wspominał swoim wyborcom. Informacja ta zadziałała w sposób piorunujący, a ku rozczarowaniu liberalnej opinii wcale się nie zestarzała i wciąż nabiera aktualności.

Dlatego to sama wystawa, a nie reakcje na nią, ma swój cel polityczny. Ma nie tyle przypomnieć i wyjaśniać wojenne losy tysięcy Polaków z Pomorza i Śląska, ile neutralizować polską narrację historyczną na temat II wojny światowej, a w tym konkretnym przypadku – służbę w armii okupanta. To zresztą również polityczna konsekwencja obecności w UE, gdzie kwestia konfliktów między europejskimi państwami od lat jest sprowadzana do obrazu wojny domowej z wybitym na pierwszy plan starciem demokracji i nazistowskiego totalitaryzmu. Stąd wszechobecni „naziści" i ich nacjonalistyczni pomocnicy, ale rzadziej Niemcy, czy próby pisania wspólnych podręczników historycznych, w praktyce będących neutralizowaniem narodowej pamięci i robieniem miejsca tej europejskiej lub lokalnej.

Zresztą grono naukowców, które wystosowało list otwarty w obronie wystawy, otwarcie wyznało, że wszelkie głosy sprzeciwu wpisują się w „kampanię, której rzeczywistym celem zdaje się demontaż obecności Polski w UE". Podpisali się pod nim m.in. kierujący Instytutem Pileckiego prof. Krzysztof Ruchniewicz, Basil Kerski z Europejskiego Centrum Solidarności czy były już dyrektor Muzeum II Wojny prof. Paweł Machcewicz.

BO BYLI POLAKAMI

Problem przymusowej służby w jednostkach armii niemieckiej w czasie ostatniej wojny od dawna nie jest już przemilczany. Owszem, było tak w czasach PRL. Istnieją opracowania naukowe na ten temat, wielokrotnie pisano o tym w prasie. Sprawa jest trudna, ale to, co dla wielu rodzin było tragedią i powodem do zwykłego wstydu, przedstawiane jest tu jako sprawa celowo komplikująca problem okupowanego i okupanta, kata i ofiary, a w końcu samej tożsamości narodowej. I dlatego sposób, w jaki próbuje się o tym opowiadać, wywołuje gwałtowne reakcje. Przecież w bitwie pod Monte Cassino po obu stronach nie walczyli tajemniczy mieszkańcy wschodnich kresów II RP ze Ślązakami i Kaszubami, ale po prostu Polacy. Tymczasem słyszymy o „mieszkańcach Pomorza", „mężczyznach", „synach, braciach i ojcach tej ziemi". A przecież jeśli przymusowo wcielano ich do niemieckiej armii, a w razie odmowy oni i ich rodziny byli narażeni na prześladowania z pobytem w obozie koncentracyjnym i śmiercią włącznie, to dlatego, że byli Polakami. To dla nich stworzono obóz koncentracyjny w Sztutowie, którego budowę rozpoczęto jeszcze w czasie, gdy broniły się Gdynia czy Westerplatte.

Przywracanie pamięci po dawnych mieszkańcach niemieckich miast, odnawianie rujnowanych przez dekady zabytków i dziedzictwa kultury materialnej jest pożądane. Jednak od początku lat 90. XX w. mamy do czynienia z konsekwentnym wyodrębnianiem niemieckiej pamięci historycznej, stawianiem jej na równorzędnym miejscu, a nawet jako pierwszą identyfikację dla kolejnych pokoleń Polaków mieszkających we Wrocławiu, Gdańsku, Wałbrzychu czy Gorzowie Wielkopolskim. Przecież obchodzone w tym roku 80-lecie powrotu Ziem Zachodnich w granice Polski nie istnieje w świadomości społecznej. Dlatego „Nasi chłopcy" to nie upominanie się o pamięć o przymusowo wcielanych do niemieckiej armii Polakach z Pomorza, ale próba wyłączenia ich z polskiej narracji o II wojnie światowej. To Niemcy zaatakowały państwo polskie i wspólnie ze swoim sowieckim sojusznikiem dokonały jego likwidacji, a potem realizowały plan stopniowej eksterminacji jego ludności. Debata, która ma miejsce przy tej okazji, pokazuje, że drogi między opinią liberalną a opinią polską rozchodzą się. W tej sprawie nie ma trzeciego wyjścia.

eprasa.pl 9b8aaefe56

Brygada Świętokrzyska – spór o kolaborację, spór o Polskę

81 lat temu powstała Brygada Świętokrzyska NSZ. O jej działalność od lat spierają się zarówno historycy, jak i politycy. Jedni oskarżają brygadę o zdradę i kolaborację z Niemcami, a także zbrodnie na ludności żydowskiej i działaczach lewicowych. Drudzy pokazują jej niepodległościowy charakter, walkę z komunistami, uratowanie więźniów obozu w Holiszowie oraz wyrwanie z rąk Sowietów setek patriotów, którzy niechybnie padliby ofiarą czerwonego terroru

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

W marcu 1944 r. po długich negocjacjach podpisano umowę scaleniową między Narodowymi Siłami Zbrojnymi a Armią Krajową. Porozumienie gwarantowało NSZ dużą autonomię w strukturach AK. Umowy nie zaakceptowała jednak część przywódców politycznych i wojskowych, która wywodziła się z Grupy Szańca i ze Związku Jaszczurczego. W wyniku rozłamu powstały dwie organizacje: NSZ-AK oraz NSZ-ZJ. To właśnie ta druga sformowała największą jednostkę polową na okupowanych ziemiach polskich: Brygadę Świętokrzyską.

DLACZEGO POWSTAŁA?

W czerwcu 1944 r. na terenie powiatu opatowskiego doszło do koncentracji kilku oddziałów partyzanckich NSZ. Z ich żołnierzy powstał 204. Pułk Piechoty Ziemi Kieleckiej. Następnie na ten teren przerzucono 202. Pułk Piechoty Ziemi Sandomierskiej. I wtedy, 11 sierpnia 1944 r. w majątku Lasocin, sformowano Brygadę Świętokrzyską NSZ, której dowódcą został płk Antoni Dąbrowski-Szacki „Bohun". W grudniu 1944 r. liczyła już 822 ludzi.

W styczniu 1945 r. doszło do reorganizacji oddziału – odtąd składał się on z trzech pułków: Świętokrzyskiego, Jasnogórskiego i Legii Nadwiślańskiej, a także oddziałów liniowych. Polityczne zwierzchnictwo nad jednostką sprawowała tajna Organizacja Polska. W oczach dowództwa brygady III Rzesza niemiecka i Związek Sowiecki były równorzędnym zagrożeniem dla przyszłości Polski. Ponieważ porażka Niemców wydawała się wówczas przesądzona, pierwszoplanowym celem stało się przetrwanie w warunkach wojny oraz przygotowanie sił do konfrontacji z komunizmem, który w 1944 r. jawił się jako główne zagrożenie.

PÓŁ ROKU WALK

Na Kielecczyźnie Brygada Świętokrzyska przeprowadziła wiele akcji bojowych. Walczyła z grupami Armii Ludowej, jaczejkami PPR i partyzantką sowiecką. Już w lipcu 1944 r. pod Skrobaczowem doszło do dużego starcia między 204. pułkiem NSZ a oddziałami AL i BCh. 8 września pod Rząbcem oddziały brygady rozbiły zgrupowanie Armii Ludowej Tadeusza Grochala „Tadka Białego" wspartego przez jednostkę sowieckiego wywiadu wojskowego pod dowództwem Iwana Karawajewa. 13 października zlikwidowano działający w okolicy Sekurska oddział AL Stanisława Wilka „Sarny" oraz zniszczono pod Soborzycami radziecką radiostację. Z kolei 18 grudnia we wsi Krzelów zaatakowano grupę radzieckich partyzantów z oddziału Awangarda.

W tym samym czasie patrole NSZ wyłapywały i likwidowały członków komunistycznych struktur bandyckich. Rozbijane były grupy rabunkowe powiązane z AL, odzyskiwano zrabowane mienie i zapasy oraz odbijano zakładników ze wsi i dworów. W ten sposób udało się też uratować pojmanych przez komunistów działaczy polskiego podziemia niepodległościowego, a także zwykłych cywilów. Działalność komunistów spod znaku AL i PPR na kielecczyźnie została skutecznie sparaliżowana.

Brygada unikała bezpośrednich starć z niemieckim Wehrmachtem. Strategia dowództwa NSZ-ZJ zakładała bowiem ochronę oddziału przed zniszczeniem oraz zachowanie możliwości bojowych wobec wroga nadchodzącego ze Wschodu. Dodatkową motywacją było nienarażanie ludności cywilnej na akcje odwetowe. Krytycy brygady widzą

eprasa.pl 9b8aaefe56

Żołnierze Brygady Świętokrzyskiej

Fot. IPN

w tym przejaw wspierania okupanta niemieckiego. W rozmowie z PAP historyk z Muzeum Historii Polski Bartosz Wójcik przekonywał, że Brygada Świętokrzyska w przeciwieństwie do sowieckich dywersantów i partyzantów AL nie podejmowała wystarczających działań przeciwko III Rzeszy niemieckiej. „Nawet jeśli działania Brygady Świętokrzyskiej wynikały z odrębnego postrzegania przez jej zaplecze polityczne polskiej racji stanu, to niewątpliwie jako uzgadniane przynosiły one korzyści siłom okupacyjnym i w tym sensie należy rozpatrywać je w kategorii współpracy" – przekonywał Wójcik.

Warto jednak pamiętać, że brygada walczyła z Niemcami. Żołnierze NSZ stoczyli kilkadziesiąt bitew i potyczek zarówno z oddziałami niemieckiej żandarmerii oraz Wehrmachtu, jak i formacjami kolaboracyjnymi. 22 lipca pod wsią Czarnocin, idąc z odsieczą miejscowym strukturom Batalionów Chłopskich, rozbito 70-osobowy oddział pacyfikacyjny składający się z niemieckich żandarmów i Ukraińców. 27 sierpnia w okolicach wsi Kaniów i Jasiów brygada stoczyła walkę z oddziałem zwiadowczym złożonym z żołnierzy Ostlegionen wspieranych przez pociąg pancerny. 20 września pod Cacowem starła się z oddziałem Niemców w sile ok. 400 żołnierzy Luftwaffe i ok. 100 żandarmów. 19 grudnia pod Krzelowem oddział „Żbika" zaatakował grupę niemieckich saperów. Tego samego dnia pod Marcinkowicami 204. pp stoczył zwycięską walkę z oddziałem złożonym z Niemców i żołnierzy Legionu Turkiestańskiego. Okupanci zostali rozbrojeni i pozbawieni mundurów. Po południu z odsieczą zatrzymanym przyszła kompania Schutzmannschaft, która zaatakowała kwatery brygady. Atak odparto ogniem, a śmiałym kontratakiem zmuszono napastników do wycofania się.

OSKARŻENIA

Brygadzie Świętokrzyskiej zarzuca się zbrodnie dokonane na ludności żydowskiej i działaczach lewicowych. Jedno z oskarżeń dotyczy rzekomego rozstrzelania jeńców po wspomnianej batalii pod Rząbcem. Najczęściej jednak oskarżenia dotyczą mordowania działaczy lewicowych i osób pochodzenia żydowskiego. Problem w tym, że przytaczane zarzuty w większości bazują na relacjach AL-owców, pochodzą z propagandy PRL-owskiej i materiałów wytworzonych przez ówczesny aparat bezpieczeństwa. A komuniści głęboko nienawidzili członków podziemia narodowego. Nie ma w tym nic dziwnego, w końcu już wcześniej NSZ (w tym Brygada Świętokrzyska) aktywnie walczyły z sowiecką agenturą działającą na terenie Polski. Dlatego nie można bezkrytycznie podchodzić do źródeł wytworzonych przez ludzi, którzy mieli bezpośredni interes w dyskredytowaniu narodowców.

Jednostka dowodzona przez „Bohuna" toczyła bitwy z oddziałami komunistycznymi, wykonywała także wyroki śmierci na działaczach PPR i osobach rozpoznanych jako sowieccy agenci. Nie ma jednak żadnego udokumentowanego przypadku dokonania przez członków brygady zabójstwa obywateli polskich żydowskiego pochodzenia ze względu na pochodzenie etniczne. Warto przy tym pamiętać, że w szeregach tej formacji służyli Polacy żydowskiego pochodzenia.

eprasa.pl 9b8aaefe56

MARSZ NA ZACHÓD

W styczniu 1945 r., z chwilą ruszenia wielkiej ofensywy sowieckiej, dowództwo brygady stacjonującej w rejonie Miechowa zdecydowało się podjąć marsz na zachód. Polecenie Komendanta Głównego NSZ płk. Zygmunta Broniewskiego brzmiało: „Brygada ma wykonać rozkaz wycofania się na Śląsk. Pomocy nie możemy udzielić. Należy liczyć na własne siły". To właśnie okoliczności tego marszu mają budzić największe kontrowersje. Brygada zawarła bowiem porozumienie taktyczne z lokalnymi dowódcami Wehrmachtu. Umowa umożliwiała wycofanie się oddziału NSZ na teren zajmowany przez Niemców w zamian za unikanie wzajemnych starć.

15 stycznia po uzyskaniu niemieckiej zgody brygada przeprawiła się przez Pilicę. Wcześniej oddziały NSZ zostały ostrzelane przez Niemców. Przebywając na terytorium kontrolowanym przez Wehrmacht, narodowcy kluczyli między wycofującymi się na zachód potężnymi zgrupowaniami niemieckimi, cały czas mając za plecami nacierające wojska sowieckie. Podczas rozmów z niemieckimi oficerami „Bohun" odrzucał naciski, żeby skierować brygadę do walki na front wschodni. Aby uzyskać zgodę na dalszy odwrót, dowódca brygady zgodził się na przerzut przez Wehrmacht drogą lotniczą wybranych żołnierzy NSZ na ziemie polskie zajęte przez Armię Czerwoną. Mieli oni kontynuować działalność antykomunistyczną. W lutym–kwietniu 1945 r. do Polski zrzucono cztery grupy żołnierzy na spadochronach, wysłano też piesze patrole zaopatrzone przez Niemców.

CZY TO JUŻ ZDRADA?

Krytycy Brygady Świętokrzyskiej nazywają porozumienie z Niemcami aktem kolaboracji, a więc zdrady. Dodatkowo mówią o korzystaniu z transportu kolejowego udostępnionego przez Niemców oraz wsparciu zaopatrzeniowemu. Obrońcy brygady – zarówno byli żołnierze, jak i historycy, tacy jak Leszek Żebrowski i dr hab. Wojciech J. Muszyński – podkreślają jednak, że było to porozumienie czysto taktyczne, zimna kalkulacja podyktowana koniecznością ocalenia oddziału przed rozbrojeniem przez Armię Czerwoną i NKWD. Istotne, że brygada zachowała własną strukturę dowodzenia oraz nigdy nie brała udziału w operacjach przeciwko siłom alianckim. W tym ujęciu kontakty z Niemcami były wymuszoną przez realia wojenne grą o przetrwanie.

Powojenna odznaka

KL HOLLEISCHEN

W marcu 1945 r. jednostka dotarła na Morawy. Tam nawiązała kontakt z czeskim podziemiem niepodległościowym. Brygada miała wesprzeć przygotowywane powstanie zbrojne w Pilźnie, które ostatecznie nie doszło do skutku z powodu zwłoki ze strony nacierających z zachodu Amerykanów. W kwietniu brygada ponowiła marsz na zachód, a 1 maja jej żołnierze zakwaterowali się w pobliżu Pilzna. W tym czasie dowództwu udało się nawiązać łączność z 3. Armią Amerykańską gen. George'a Pattona – taki był cel morderczego marszu i warunek przetrwania polskiej jednostki. Po uznaniu brygady za część sił alianckich, żołnierze „Bohuna" rozpoczęli działania antyniemieckie.

5 maja żołnierze BŚ wyzwolili kobiecy obóz koncentracyjny w Holiszowie. Uwolniono 700 więźniarek, głównie Żydówek i Francuzek, które Niemcy zamierzali wymordować przy użyciu specjalnie przywiezionych beczek z benzyną. Dzień po wyzwoleniu Holiszowa Polacy patrolowali miasto wspólnie z żołnierzami amerykańskimi.

KOMPANIE WARTOWNICZE I OŚRODEK WYWIADOWCZY

Dowództwo jednostki szybko nawiązało kontakt z Polskimi Siłami Zbrojnymi na Zachodzie. Od początku zabiegano o dalsze przesunięcie formacji na zachód, aby uniknąć konfliktów z czeskimi komunistami i Armią Czerwoną. Rozważano także włączenie Brygady do 2. Korpusu Polskiego gen. Andersa, do czego ostatecznie nie doszło. 6 sierpnia 1945 r. wspólnie z amerykańską armią zdecydowano o przeniesieniu jednostki do Coburga we Frankonii. W tym samym miesiącu brygada została formalnie rozwiązana. Niedługo potem ze względów bezpieczeństwa przeniesiono ją do Karlsfeld koło Monachium. Kolejnym etapem było utworzenie na bazie brygady polskich kompanii wartowniczych przy armii amerykańskiej w Niemczech.

W kontekście walki o niepodległość Polski ważniejszym, chociaż zdecydowanie mniej znanym faktem było utworzenie przez działaczy NSZ i Organizacji Polskiej ośrodka umożliwiającego kontakt z krajem. Przywódcy Brygady Świętokrzyskiej znaleźli się w Regensburgu (Ratyzbonie), gdzie w lipcu 1945 r. utworzyli Ośrodek Wywiadowczy NSZ tzw. Ekspozytury EN. Kluczową postacią dla stworzenia szlaku łączności z Polską był Jerzy Kozarzewski „Konrad", który przybył do Katowic 29 czerwca 1945 r. W lipcu udało mu się dotrzeć do dowództwa NSZ i ważnych działaczy OP w kraju. W drodze powrotnej do Regensburga „Konrad" pozostawił w Katowicach adresy kontaktowe ustanowionych na szlaku punktów prowadzących do Bawarii. Szlak wiódł przez Cieszyn, Pragę i Pilzno, skąd samochodem docierało się bezpośrednio do Regensburga. Od pseudonimu twórcy trasa została nazwana drogą Konrada. W 1945 r. był to kluczowy dla całego niepodległościowego podziemia szlak kurierski łączący kraj z polskimi ośrodkami emigracyjnymi.

Brygada Świętokrzyska pozostaje jednym z najbardziej niejednoznacznych fenomenów polskiej historii XX w. Była symbolem oporu wobec komunizmu, a także formacją uwikłaną w skomplikowaną grę między dwoma totalitaryzmami. Dowództwo brygady podejmowało trudne, czasami kontrowersyjne decyzje. Głównym celem pozostawała jednak walka o wolną i niepodległą Polskę. Przy ocenie tej jednostki trzeba także pamiętać o szeregowych żołnierzach. Ci oddawali przecież życie zarówno w walce z komunistami, jak i Niemcami. A przedostanie się brygady na Zachód pomogło ocalić od niechybnej śmierci setki z nich.

Fot. Topory/Wikipedia

eprasa.pl 9b8aaefe56

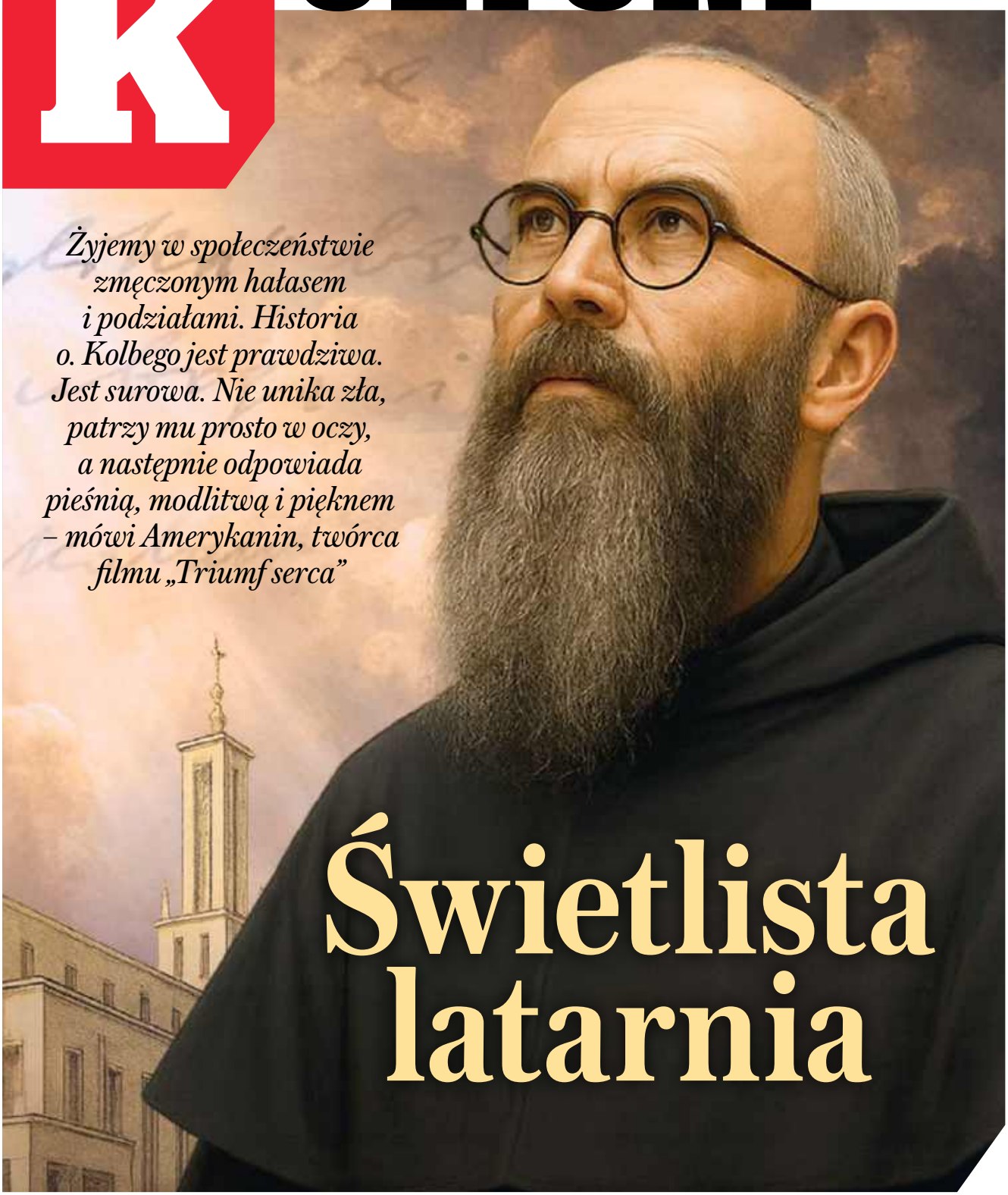

Świetlista latarnia

Żyjemy w społeczeństwie zmęczonym hałasem i podziałami. Historia o. Kolbego jest prawdziwa. Jest surowa. Nie unika zła, patrzy mu prosto w oczy, a następnie odpowiada pieśnią, modlitwą i pięknem – mówi Amerykanin, twórca filmu „Triumf serca”

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 9b8aaefe56

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Najnowsza fabularna opowieść o św. Maksymilianie Kolbem została już pokazana pierwszym widzom. Tuż po warszawskiej prapremierze, 14 sierpnia (w 84. rocznicę śmierci franciszkanina), trafiła do Niepokalanowa, miejsca bliskiego i ważnego dla zakonnika wizjonera. Dzień później do Zduńskiej Woli, gdzie urodził się przyszły męczennik. W kinach „Triumf serca" – z Marcinem Kwaśnym w głównej roli – pojawi się 12 września.

Równocześnie trwa realizacja fabularyzowanego dokumentu „Marzenie Świętego Maksymiliana". Tu będziemy mogli zobaczyć m.in. – przetworzone dzięki współczesnej technologii – autentyczne zdjęcia o. Kolbego z lat przedwojennych, gdy oddany duchowo Maryi zakonnik miał wizję i marzenia na miarę współczesnych, medialnych czasów.

Twórcy tego obrazu mają szansę pokazać swój film w 85. rocznicę śmierci o. Kolbego. Tymczasem przed nami amerykańska wersja historii męczennika z Auschwitz.

BEZ OBCIĄŻEŃ

Film Anthony'ego D'Ambrosio nie ma obciążeń hollywoodzkiej sztampy. Trudno mu też zarzucić jakąkolwiek stronniczość. To wielkie atuty obrazu 38-letniego twórcy. Pisarza i reżysera. Człowieka doświadczonego przez chorobę i tym mocniej odczuwającego cierpienie oraz rozumiejącego trwanie w nim w imię wyższej idei, wyższego dobra.

„Triumf serca" wprowadza widzów do celi śmierci. Poprzez retrospekcje poznajemy losy współwięźniów i wybory głównego bohatera, które doprowadziły go do decyzji oddania życia za drugiego człowieka oraz do ostatniej drogi – głodowej kaźni, w czasie której był wsparciem i opoką dla dziewięciu towarzyszy.

– Kolbe zmienił współwięźniom perspektywę umierania. Odchodzili z pieśnią i modlitwą na ustach. Towarzyszył im do końca. Pocieszał, był powiernikiem ich tajemnic, rozgrzeszał i dawał nadzieję wbrew nadziei – mówi Marcin Kwaśny, podkreślając, że rola o. Maksymiliana to najtrudniejsze zadanie aktorskie, jakiego się podjął. Największym wyzwaniem było w nim zagranie „procesu dojrzewania do śmierci".

NIEZACHWIANA NADZIEJA

Jak to się stało, że film o polskim świętym nakręcił Amerykanin? D'Ambrosio twierdzi, że nie planował tej realizacji. Jednocześnie podkreśla, że „kultura Polski ma w sobie coś głęboko poruszającego: powagę oraz mroczną, niezachwianą nadzieję", która od zawsze go fascynowała. I przyciągnęła szczególnie mocno, gdy „przechodził przez osobisty mrok".

Zauważa, że jako Amerykanin zyskał unikalną perspektywę wobec Maksymiliana Kolbego. Pozwoliła mu ona zobaczyć, jak ważna i uniwersalna jest ta opowieść.

– Często będąc blisko własnej historii, nie dostrzegamy jej wyjątkowości. A dziś, w czasach, gdy jesteśmy coraz bardziej odizolowani i zamknięci w mentalnych bańkach, głodni prawdziwej nadziei, historia św. Maksymiliana Kolbego lśni niczym świetlista latarnia, wskazująca drogę do nieba i pokoju – dodaje.

Po raz pierwszy usłyszał o o. Kolbem jako bardzo młody człowiek. Historia zakonnika wróciła do niego w czasie przewlekłej choroby, która – jak mówi – powodowała zagrażającą życiu bezsenność.

– Podczas długich, niemal niekończących się nocy prowadziłem swoisty wewnętrzny dialog z o. Kolbem. Stał się dla mnie towarzyszem w cierpieniu. Jego historia pomogła mi wrócić do życia – wspomina reżyser.

FILMOWA MISJA

„Triumf serca" został nakręcony dzięki wsparciu amerykańskich darczyńców, zwykłych ludzi, których przekonał do projektu zrealizowany wcześniej film krótkometrażowy oraz scenariusz do wersji pełnometrażowej.

eprasa.pl 9b8aaefe56

– Nie ma w Hollywood przestrzeni dla takich projektów, jak film o Kolbem – zauważa reżyser. – Określiliśmy to jako misję ratowania kultury, która zboczyła z właściwej drogi. I udało się. [...] Zdumiało nas, jak szybko i hojnie zaczęły napływać darowizny. Żyjemy w społeczeństwie zmęczonym hałasem i podziałami. Historia Kolbego jest prawdziwa. Jest surowa. Nie unika zła, patrzy mu prosto w oczy, a następnie odpowiada pieśnią, modlitwą i pięknem. Ludzie byli tego głodni.

OSTATNIE SŁOWO

„Chcę zobaczyć, jak w tym księdzu gaśnie wola życia" – mówi na ekranie niemiecki oficer, a reżyser podkreśla: – Tytuł filmu jest odpowiedzią. Niemcy mieli swoją machinę propagandową, dali światu „Triumf woli" mający gloryfikować władzę i dominację, ale Auschwitz nie był końcem tej historii. Miłość Kolbego przecięła tę ciemność jak ostrze. [...] „Triumf serca" brzmi niemal sentymentalnie, dopóki nie zrozumie się, jak wielkim kosztem został osiągnięty ten triumf. [...] Jednocześnie każdy, kto zobaczył nasz film, mówił o radości, która go ogarnęła na końcu... Bo Kolbe kierował się czymś głębszym niż ziemski sukces czy zwycięstwo. Udowodnił, że bez względu na to, jak wielka ciemność nas otacza, miłość zawsze ma ostatnie słowo, nadzieja jest możliwa, serce może naprawdę zatriumfować. W dzisiejszym świecie chyba nie ma bardziej optymistycznego przesłania.

POZA SCHEMATEM

O duchowej sile, która potrafi przetrwać czas i nienawiść, ma opowiadać także „Marzenie Świętego Maksymiliana" – fabularyzowany dokument, który nie tylko z racji gatunku inaczej niż „Triumf serca" rozkłada narracyjne akcenty.

– Mamy ok. 10 scen fabularnych. Cela śmierci się pojawi, ale pokażemy ją w inny sposób, bo nie chcemy powielać utartych schematów – zapowiada reżyser.

Jerzy Szkamruk, autor filmów, takich jak „Historia Chopina", „Złączyć się z narodem", „W intencji pokoju", pytany o sens realizowania kolejnej ekranowej historii o św. Maksymilianie Kolbem, przypomina, że „Życie za życie" Krzysztofa Zanussiego z Edwardem Żentarą w roli głównej powstało ponad trzy dekady temu. Oczywiście zna tę produkcję, podobnie jak „Dwie korony" (2017) Michała Kondrata z Adamem Woronowiczem, ale – jak podkreśla, przywołując słowa samego Zanussiego z nagranych już wywiadów – o Kolbem można opowiedzieć wiele ciekawych historii.

AMBASADORZY DUCHA

Kilka lat temu Jerzy Szkamruk filmował powstanie Kaplicy Adoracji w Niepokalanowie. To był jeden z przedwojennych planów o. Kolbego, który miał też inne marzenia. Dotyczyły one m.in. radia, telewizji, a nawet lotniska. – Jeździł po świecie, był medialnym wizjonerem – zauważa reżyser. Dziś, jak podkreśla Szkamruk, św. Maksymilian to międzynarodowy bohater wiary. – Jest wszędzie. I w Korei, i w Japonii, w Kazachstanie, Stanach Zjednoczonych, i w Ameryce Południowej. Widziałem to na własne oczy. Kiedy wejdziemy do kościołów w różnych zakątkach świata, gdzie są katolicy, wszędzie widzimy św. Faustynę (wizerunek Jezusa Miłosiernego), św. Jana Pawła II i św. Maksymiliana Kolbego. To nasi najlepsi ambasadorzy ducha.

Tymczasem w naszym kraju zamiast wizji i świętości z życiorysu Kolbego często wyciąga się elementy konfrontacyjne, konfliktogenne, sugerując np. antyżydowskość. – Absolutnie się z tymi zarzutami nie zgadzam, ponieważ to, co dziś przedstawiane jest jako antysemityzm, w czasach Kolbego było akceptowalną normą. To jest niezrozumienie języka tamtej epoki i jej realiów, filtrowanie ówczesnych wypowiedzi przez obowiązującą dziś poprawność polityczną. Współczesnemu odbiorcy brakuje wiedzy na temat kontekstu historycznego – ocenia Szkamruk. – Pisząc m.in. o żydomasonerii, Kolbe nigdy nie pisał negatywnie o Żydach. I warto jeszcze dodać, że w Niepokalanowie w czasie wojny przechowywane były żydowskie rodziny, a w obozie koncentracyjnym – i są tego świadkowie – o. Maksymilian nieraz dzielił się chlebem, nie patrząc na pochodzenie współwięźnia.

POKAZAĆ DROGĘ

– Żyjemy w czasach, w których – zwłaszcza wielu młodych ludzi – trzeba przekonywać, również poprzez film, że wiara i nasza tradycja nie niosą w sobie nic złego. Owszem, wypaczenia należy piętnować, ale nie wolno potępiać całości – podkreśla reżyser. I dodaje: – Od zawsze zajmowałem się filmem historycznym i społecznym. Dziś, w obliczu głębokich podziałów, uważam, że warto tworzyć filmy, które pokazują drogę, korzenie, wartości, które nas kształtują. Nie kręcimy materiału hagiograficznego – opowiadamy o człowieku z marzeniami i planami, który w chwili próby podjął decyzję niewyobrażalną: oddał życie za drugiego człowieka.

W scenach fabularyzowanych w rolę o. Kolbego wcieli się Andrzej Mastalerz, a narratorem i jednym z jego współbraci będzie Dariusz Kowalski. Obecnie trwają zdjęcia do części dokumentalnej, a ujęcia fabularne rozpoczną się w październiku.

Twórcy wciąż liczą na finansowe wsparcie projektu: https://12gwiazd.pl/wsparcie/.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 9b8aaefe58

HITY i KITY ZAREMBY

Powrót zawsze grzecznego Supermana

Na filmowego „Supermana" szedłem z obowiązku. Wszak to powrót do popkulturowej klasyki, wskrzeszenie jednego z komiksowych superbohaterów Marvela

Superman zawsze wydawał mi się najbardziej konwencjonalny, mdły ze wszystkich superbohaterów. Prawda – latał, ratował świat w swoim śmiesznym stroju, ale co więcej? Batman zmagał się z mrocznościami – tymi wymierzonymi przeciw niemu, a także tymi, które odkrywał w sobie. Spider-Man czasem był zabawny, a czasem ujmująco smutny w swojej dwoistości: heros, a równocześnie zwykły chłopak. Podwójność osobowości to zresztą jeden z głównych motywów tych filmów. A zarazem np. Tim Burton potrafił otoczyć swojego Batmana tak niesamowitymi postaciami, jak Joker Jacka Nicholsona czy Pingwin Danny'ego DeVito.

Na tym tle Superman... Wprawdzie przybysz z kosmosu też udaje – nieco fajtłapowatego dziennikarza Clarka Kenta. Ale miałem wrażenie, może krzywdzące, że nic szczególnego z tego nie wynika. Tragiczny wymiar nadał tej historii dopiero aktor Christopher Reeve. Grał Supermana cztery razy (1978–1987), a potem uległ paraliżowi. Świat z zapartym tchem śledził jego autentyczną dzielność.

Oryginalnym wykorzystaniem tego archetypu stał się telewizyjny serial „Tajemnice Smallville", pokazywany od 2001 r. Kent, kosmita wychowany przez małżeństwo skromnych farmerów, był w nim po prostu licealistą (jak Spider-Man), podobnie jak jego archetypiczny wróg Lex Luthor. Serial trwał za długo, ale było w nim coś autentycznego, przy całej fantastyczności wyjściowego pomysłu.

Czy jest coś pociągającego w filmie Jamesa Gunna? To wytrawny twórca. Poza popisami efektownej konfekcji dla starszych dzieci, takimi jak „Strażnicy galaktyki" czy „Legion samobójców", nakręcił dwa dobre filmy: pełen wyrazistych postaci „Świt żywych trupów" (2004) i mroczny „Eksperyment Belko" (2016).

Ten jego film zaczyna się jakby od środka – widzimy Supermana podczas walki z potworami nasyłanymi na Amerykę. Równocześnie pada on ofiarą intrygi bezwzględnego szefa korporacji Lexa Luthora. Mamy kolejne sekwencje podniebnych pojedynków i pościgów przeplatanych nieszczęściami, jakie spadają na naszego (super)bohatera. W ramach szukania przesłań mamy opowieść o tym, że w dzisiejszym świecie łatwo o wirtualne fejki deformujące rzeczywistość. I mamy wątek quasi-polityczny. W sojuszu z obrzydliwym prezydentem fikcyjnego państwa wyrzucającym z siebie słowiański bełkot (Rosjanin?) Luthor usiłuje zawładnąć innym krajem, kojarzącym się bardziej z Azją niż z Europą.

Wątek podwójności postaci jest wykorzystany słabo. Grający Supermana 32-letni David Corenswet jest tylko chwilę dziennikarzem Clarkiem Kentem. Za to w zawrotnym tempie akcji, widowiskowych ujęciach gubi się powód, dla którego jego postać i losy miałyby mnie mocniej obejść. Wiem, że niektórzy recenzenci zachwycali się, iż Gunn wrócił do korzeni popkultury, czyli do bezpretensjonalnego filmu fantasy. Szanuję takie podejście, ale do mnie, skądinąd fana spider-manów i batmanów, jakoś to nie dotarło. Za mało we mnie dziecka?

Wiele sobie obiecywałem po obecności Nicholasa Houlta jako Lexa Luthora. To jeden z moich ulubionych aktorów wciąż młodego pokolenia, równie poruszający, kiedy gra brytyjskiego pisarza Tolkiena, jak i wtedy, gdy w „Mad Maksie: Na drodze gniewu" kradnie show głównym postaciom jako Nux, chłopak zdeformowany przez jądrowy kataklizm. Niestety Gunn nie dał mu szansy na nic poza schematyczną demonicznością. Choć i tak przyglądamy mu się baczniej niż grzecznemu Supermanowi.

Widowiskowość zła to jedna z reguł tego gatunku.

Piotr Zaremba

Wielki koszmar. Gursztyn oskarża Rosjan

Dlaczego Rosjanie są inni? – pyta Piotr Gursztyn w tytule swojej książki. Jej podtytuł brzmi „Historia rosyjskiej mentalności". Wypada pogratulować autorowi erudycji. Po wielu dziełach na podobny temat potrafi znaleźć rzeczy nowe

Zaczyna od ciekawych uwag językowych. Wskazuje na słowa i sformułowania mające być dowodem na inność Rosjan, rezygnację z indywidualizmu, pochwałę bierności i swoisty fatalizm. Potem bierze byka za rogi, próbując objaśnić tę inność. Wskazuje na różne uwarunkowania – od przyrodniczych przez naturę prawosławia po najazdy mongolskie. Żadnego nie uznaje za przesądzający.

Znaczna część książki to po prostu dzieje Rusi, a potem Rosji. Chwilami autora ponosi temperament historyka, gdy wchodzi w szczegółowe opowieści o wojnach i władcach bez bezpośrednich linków do ruskiej mentalności. Przetyka ten w zasadzie linearny wywód dygresjami, skacząc, czasem nadmiernie, po epokach.

A jednak... To jest po prostu ciekawe. To od Gursztyna ja, także historyk, dowiaduję się, że Dymitr Samozwaniec zapowiadał się na łagodnego cara reformatora. A czy znałem dzieje Pomorców, potomków przesiedlonych mieszkańców Wielkiego Nowogrodu, którzy po wiekach wciąż są inni, bardziej ludzcy, od reszty Rosjan?

Zarazem Gursztyn opisuje ten naród bez taryfy ulgowej. Pokazuje go jako zbiorowisko bezkształtne, zawsze ulegające przemocy i odpowiadające przemocą wobec siebie nawzajem. Ma na podorędziu masę relacji z różnych epok. Chwilami tak czarnych, że ma się pokusę choć odrobinę bronić Rosjan.

Autor lekceważy wszelkie szanse na to, że Rosja mogła pójść inną drogą. „Liberalny" car Aleksander II? Taki sam zamordysta jak inni, twierdzi, choć dopiero co cytował Rosjan, którzy lekceważyli tego władcę jako zbyt łagodnego. Etos rosyjskiej inteligencji? Trafnie zauważa, że zanadto ulegała pokusie przemocowego radykalizmu. Ale czy cała? Pytam jako fan twórczości Antona Czechowa. Choć zgoda, szanse na „inną Rosję" były iluzją.

Jednoznaczna odpowiedź na pytanie o genezę rosyjskiej mentalności ostatecznie nie pada. Poprzez carat i bolszewizm, przedstawiany jako kolejna erupcja wielkoruskiego imperializmu, autor doprowadza nas do Putina. Tak pisze o współczesnej rosyjskiej elicie, częściowo słowami Wiktora Jerofiejewa: „Wszystko jest im znane – łagry, ludobójstwo, wojenne hekatomby, poddaństwo chłopów, łapownictwo, cenzura, celowo utrzymywana ciemnota, pijaństwo. [...]. Widzą, że inni żyją inaczej, ale im to nie wychodzi. [...] Już wiedzą, że nie dogonią Zachodu na polu rywalizacji gospodarczej, technologicznej, cywilizacyjnej. Jedyną »szansą« na wyrównanie poziomów znów zdaje się być wojna".

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

KINO GATUNKÓW: OD JAMESA BONDA DO KANIBALI

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Wyszedł piąty tom cyklu „Europejskie kino gatunków". To produkt pasji jego redaktora, znakomitego filmoznawcy Piotra Kletowskiego. On nie traci okazji, aby prowadzić Polaków po najbardziej dziwnych czy egzotycznych zakamarkach świata filmu

Kino gatunków lub gatunkowe to zbiorcze określenie komedii, kryminałów, horrorów, filmów wojennych i innych, czasem bardzo specyficznych rodzajów twórczości filmowej, często niesłusznie lekceważonych. Jeden z tekstów w tym zbiorku opowiada o tzw. filmach mondo, w których Włosi straszyli widzów, jak w „Pieskim życiu", paradokumentalnymi okropnościami świata.

Kletowski nie buduje linearnej opowieści o gatunkach filmowych. Jak w poprzednich tomach dostajemy zbiór subiektywnie dobranych esejów różnych autorów, czasem o poszczególnych nurtach w kinie narodowym (zwłaszcza brytyjskim i włoskim), czasem o pojedynczych filmowcach – jak Włosi Ruggero Deodato i Fernando Di Leo. Obaj specjalizowali się w kinie drastycznym. Tego pierwszego pasjonował temat kanibalizmu.

Mamy przegląd brytyjskich kryminałów z uroczą panoramą adaptacji powieści Agaty Christie i brytyjskiego kina gangsterskiego, a także włoskich filmów grozy, szalenie popularnych 40, 50 lat temu. Czasem patrzymy na świat filmu z innej perspektywy (rozdział o brytyjskiej cenzurze obyczajowej). Aż dwa eseje są poświęcone filmom z Jamesem Bondem, wciąż pamiętanym i kochanym.

Zgłaszam pewne wątpliwości co do wyboru tematyki. „Konwencje gatunkowe w kinie Kena Russella" to esej Sary Nowickiej. Oczywiste, że w każdym filmie mogą się pojawiać refleksy różnych gatunków, ale Russell to chyba klasyczny przykład kina autorskiego przeciwstawianego gatunkowym regułom. Niektórzy autorzy serio traktują ideologiczne przesłania reżyserów. Czy brytyjskie kino gangsterskie naprawdę stanowi przyczynek do historii kapitalizmu z czasów Margaret Thatcher? Pewnie twórcy tak myśleli, ale czy my też powinniśmy?

W sumie mamy jednak okazję do odbycia pasjonującej podróży. I prowokuje się nas do szukania opisywanych filmów w necie, niestety często nieskutecznego.

3 MIŁOŚCI

Маркус Вольф, Angry Birds i Stasi

ROBERT TEKIELI

Franciszek Karpiński, autor najpiękniejszej polskiej kolędy „Bóg się rodzi, moc truchleje", na wieść o podpisaniu trzeciego rozbioru Polski w 1795 r. załamał się i osiwiał w jedną noc. Porzucił poezję i przez kolejnych 30 lat nie napisał już żadnego utworu literackiego. Doświadczył traumy, z której nie podniósł się już do śmierci. Polska zniknęła z mapy Europy. Jeszcze kilka pokoleń wstecz środkowoeuropejskie mocarstwo zostało rozdarte i wchłonięte przez sąsiadów.

Polska nie ma dobrej prasy od połowy XVIII w. Wielcy polityczni gracze przedstawiali Rzeczpospolitą jako chorego człowieka Europy. Ci z Petersburga i Moskwy opłacali brzęczącą monetą Voltaire'owe „Pisma przeciw Polakom", dziś skrajnie wrogą nam politykę informacyjną i historyczną prowadzą Tel Awiw, Kijów i Berlin. Wojnę hybrydową z Polską prowadzono również ze względu na jej katolicyzm. A i dziś członkowie współczesnych areopagów uważają, że katolicyzm trzeba całkowicie unicestwić, by zapanowały ogólne szczęście, wolność i tolerancja. Do tego polski patriotyzm jest z definicji wolnościowy. Antydespotyczny i antyimperialny. Polska jest po prostu inna.

„Moja instynktowna sympatia do Polski zrodziła się pod wpływem ciągłych oskarżeń miotanych przeciwko niej; i – rzec mogę – wyrobiłem sobie sąd o Polsce na podstawie jej nieprzyjaciół. Doszedłem mianowicie do niezawodnego wniosku, że nieprzyjaciele Polski są prawie zawsze nieprzyjaciółmi wielkoduszności i męstwa. Ilekroć zdarzało mi się spotkać osobnika o niewolniczej duszy, uprawiającego lichwę i kult terroru, grzęznącego przy tym w bagnie materialistycznej polityki, tylekroć odkrywałem w tym osobniku, obok powyższych właściwości, namiętną nienawiść do Polski. Nauczyłem się oceniać ją na podstawie tych nienawistnych sądów – i metoda okazała się niezawodna" – napisał 103 lata temu jeden z najprzenikliwszych pisarzy XX w., Brytyjczyk Gilbert Keith Chesterton. Mamy czego bronić.

Najgroźniejsza dla polskiej suwerenności jest piąta kolumna, kulturowo oswojona, wytresowana, kompradorska, zdradziecka elita

Rozgrywka o przyszłość Europy wchodzi w decydującą fazę. Po ośmiu dekadach amerykańskiej dominacji po ster Starego Kontynentu sięgają trzy stolice. Przejęcie inicjatywy w kwestii europejskiego bezpieczeństwa przez imperialną trójkę – Francję, Wielką Brytanię i Niemcy – dla Polski skończy się fatalnie.

Jeśli obecny warszawski rząd inercji wewnętrznej oraz dryfu w polityce międzynarodowej dotrwa do jesieni, a Stany Zjednoczone, postawiwszy na Merza, rozpoczną likwidowanie swej rotacyjnej obecności na wschodniej flance NATO, Rzeczpospolita znów stanie się łupem. Kartą przetargową skarlałej Starej Europy w grze z Moskwą. Dwa zakompleksione niegdysiejsze wielkie imperia – wraz z Berlinem aspirującym do tej roli od 150 lat – znów spróbują zapłacić nami za pokój z Moskwą, podczas gdy USA będą zajęte walką o swoje interesy na głównym dziś, azjatyckim teatrze w wojny o globalną dominację. A uzurpatorski triumwirat ma w Polsce sojusznika. Najgroźniejsza dla polskiej suwerenności jest piąta kolumna, kulturowo oswojona, wytresowana, kompradorska, zdradziecka elita.

„Polska zawsze będzie krajem peryferyjnym. W naszym interesie jest rezygnacja ze snów o podmiotowości. Tylko wówczas w spokoju będziemy mogli korzystać z dobrodziejstw naszego peryferyjnego położenia. Jesteśmy wewnętrzną gospodarką Niemiec, wywijanie szabelką to samobójstwo" – mówił Bartłomiej Sienkiewicz.

Według uśmiechniętych jesteśmy brzydką panną na wydaniu, a Niemcy są „naszym mentorem", co rodzi – jak napisał na swoim Facebooku Adam Bodnar – po stronie mentora „szczególną odpowiedzialność". Jeśli „oswoi się zwierzątko, to nie można go później porzucić". Polska. Oswojony chomik. Ludzie i podludzie. Polskie elity są zakompleksione. Mało – polskie elity są antypolskie.

W ich zamyśle III Rzeczpospolita nigdy nie miała być niepodległym państwem. Według nich naród nie mógł zostać suwerenem. III Rzeczpospolita, ukształtowana przez uczestników spisku, który został zawiązany w Magda-

eprasa.pl 9b8aaefe56

lence oraz przy okrągłym stole, miała zapewnić wygodne lądowanie właścicielom PRL. Ale nawet głoszone wtedy hasło „władza za własność" było oszustwem. Bo funkcjonariusze resortów siłowych i wierchuszka partii komunistycznej nie zrzekli się realnej władzy.

Orzeł zyskał koronę, przywrócono Senat – jak w II Rzeczypospolitej – ale banki i biznesy zostały w rękach członków partyjnej nomenklatury, a w części sprzedano je za bezcen mentorom z Zachodu. Mafijna deweloperka, układy i mafie VAT-owskie, patologiczna prywatyzacja, kamienice oddawane 120-latkom za symboliczną złotówkę... Wolność wywalczona w 1918 r. i wolność po 1989 r. były zupełne innymi rodzajami wolności.

Patrzę na to wszystko z niepokojem. Obezwładniona, rozbijana od wewnątrz Rzeczpospolita i państwa imperialne, przez wieki skutecznie pilnujące swoich interesów i wizerunku. Ujawniono właśnie notę brytyjskiego rządowego komitetu wojskowego, Defence and Security Media Advisory, wysłaną do redaktorów brytyjskich mediów 28 października 2023 r., nakazującą im niepublikowanie informacji o udziale brytyjskiego wojska i wywiadu w ludobójstwie w Strefie Gazy. Rozkazy cenzury zostały wykonane. Czy mam o to pretensje do Brytyjczyków? Ja im zazdroszczę. Oczywiście nie uczestnictwa w ludobójstwie. Państwa.

Jednocześnie 27 proc. Niemców uważa, że w najbliższych latach może dojść do ataku na ich kraj. A tylko 17 proc. chce bronić ojczyzny z bronią w ręku. W Polsce rewolucyjna lewica nie dokonała jeszcze takich spustoszeń. Na Zachodzie trwa wojna domowa. Lewicowo-liberalny establishment od sześciu dekad toczy wojnę z normalnością. Aż po granice absurdu.

I tak „European Heart Journal" proponuje, by wysokość emisji CO_2 generowanej podczas operacji kardiologicznych była brana pod uwagę przy wyborze procedur medycznych. Również tych ratujących życie. Nieważna skuteczność leczenia, nieważny wskaźnik przeżywalności – ślad węglowy może zadecydować o twoim życiu.

A w „zielonych" Niemczech – potwierdzony liczbowo i oficjalnie początek deindustrializacji. Niemieckie izby przemysłowe opublikowały zbiorcze dane, z których wynika, że ponad 49 proc. niemieckich firm planuje przenieść lub zamknąć produkcję. Niemcy, niegdyś motor przemysłowy Europy, dziś duszą się pod ciężarem własnych regulacji i kosztów energii. W Teksasie megawatogodzina energii przemysłowej kosztuje 45–60 euro, w Niemczech – ok. 200. EU prze w stronę ubóstwa, żeby redukować marginalne ilości CO_2, a w tym czasie Chiny wystrzeliwują w kosmos.

Idźmy dalej: 31 lipca i 1 sierpnia miały miejsce dwa sabotaże na linii kolejowej Düsseldorf–Duisburg. Odpowiedzialność za podpalenie kabli przypisano lewicowej grupie Kommando Angry Birds, dążącej do „zniszczenia systemu technologiczno-przemysłowego" w celu ochrony natury. Zielonych wymyślili moskiewscy komuniści w latach 80. XX w. Pisał o tym Markus Johannes Wolf „Michael Storm", „Mischa", „Маркус Вольф", ostatni szef Stasi.

Rewolucyjna kulturowa lewica to piąta kolumna Moskwy i marksistowskich Chin. A plan neomarksistowskiej rewolucji jest prosty. W 1998 r. Bill Clinton powiedział: „Dzięki masowej imigracji biali będą mniejszością w Ameryce". Do fali migracyjnej – fanatyczny feminizm, aborcja na życzenie, nienawiść do własnej kultury i tradycji, ideologiczna cenzura i wspomniany klimatyzm. Komuniści zawsze są tacy sami. Prezydent Macron ostrzega przed „nową reakcyjną międzynarodówką". Znamy ten język.

W Polsce walczących o wolność patriotów nazywano zaplutymi karłami reakcji. Nie ma reakcyjnej międzynarodówki, jest za to globalistyczny spisek. Chrystofobia elit. Sprzeczne interesy globalistów kontra interesy narodów. A wojnie domowej w łonie Zachodu przypatrują się islam, Rosja i Chiny.

Wojna o duszę Zachodu trwa. Naprzeciwko siebie stoją globaliści i patrioci. Wykorzenieni kulturowi marksiści i narody. Kompradorski establishment i dbające o siebie wspólnoty. Amerykańskiej lewicy nie udało się domknąć systemu. Europejska wręcz się rozpędza.

Dziś lewica i prawica nie są już dwiema różnymi ideologiami. To dwie cywilizacje. Oparte na innych fundamentach duchowych. Cywilizacja chrześcijańska kontra cywilizacja śmierci.

Mohery i fajnopolacy. Katolicy i marksiści kulturowi, Polacy i kosmopolici. Zwolennicy wychowania do życia w rodzinie kontra zwolennicy edukacji seksualnej. Patrioci kontra ludzie, którzy wstydzą się polskości i za granicą nie mówią po polsku. Trzecie pokolenie AK kontra trzecie pokolenie UB. Poczuwający się do spuścizny żołnierzy wyklętych kontra resortowe dzieci.

Świat stał się bardzo dziwny. W Polsce przed wyborami ateiści śpiewają kolędy, Klaus Schwab daje Europejczykom do jedzenia robaki zamiast mięsa, a dzieci kastrują się w obronie klimatu. Ktoś kiedyś powiedział, że w obecnej sytuacji geopolitycznej Polska może istnieć tylko dzięki działaniu Bożej opatrzności. Więc nie mamy wyboru: musimy się modlić o nowych świętych. Państwo, naród, społeczeństwo – te najważniejsze formy życia zbiorowego muszą stać na zdrowych duchowych fundamentach.

Czy starczy nam czasu i czy Polaków stać będzie na poświęcenie się za ojczyznę? Czy będziemy w stanie za cenę krwi bronić jej w czasie próby? Historia właśnie zadaje te pytania kolejnym pokoleniom.

Fot. IPN

eprasa.pl 9b8aaefe56

Iga Świątek jest obecnie jedyną globalnie znaną Polką w ogóle, nie tylko w sporcie

Triumf kobiet

Piłkarki nie parodiują męskiego futbolu – one tworzą po prostu historię piłki nożnej. Warto też zauważyć, że na wielu arenach to właśnie kobiety bronią dziś honoru polskiego sportu

STANISŁAW JANECKI

To parodia prawdziwego futbolu – takie głosy pojawiły się, gdy reprezentacja Polski zagrała (po raz pierwszy) w mistrzostwach Europy w piłce nożnej kobiet (rozgrywanych w Szwajcarii 2–27 lipca 2025 r.). Niestety nasze piłkarki trafiły do „grupy śmierci" z Niemcami (przegrana 0:2), Szwecją (0:3) i Danią (wygrana 3:2) i nie awansowały do fazy pucharowej. W finale broniąca tytułu Anglia pokonała Hiszpanię, zdobywając mistrzostwo Europy po raz drugi z rzędu.

Kobiety, także reprezentantki Polski, nie parodiują prawdziwego futbolu. Tworzą historię piłki nożnej. I ludzie chcą je oglądać: mecz z Niemkami obejrzało w Polsce ponad 2 mln widzów.

Kobiecy futbol nie ma tak długich tradycji jak męski głównie ze względu na historyczne bariery społeczne, kulturowe i instytucjonalne, które ograniczały jego rozwój. Męska piłka nożna zaczęła się na poważnie w połowie XIX w., kobieca – pod koniec XX w. Ale w wielu krajach żeński futbol był dyskryminowany, np. w Anglii w 1921 r. kobietom zakazano gry na „męskich" boiskach, co zatrzymało rozwój kobiecej piłki na dekady (zakaz zniesiono dopiero w 1971 r.). W Brazylii kobiecy futbol był zakazany w latach 1941–1979.

FIFA zorganizowała pierwsze mistrzostwa świata kobiet dopiero w 1991 r., a kobieca Liga Mistrzów UEFA ruszyła w 2001 r. I nie jest prawdą, że kobiecy futbol mało kogo interesuje. Finał mistrzostw świata w 2019 r. oglądało na stadionie 87 tys. widzów, a gwiazdy kobiecej piłki są globalnie znane i doceniane. Przykładem jest Lily Parr (z Anglii), która zdobyła ponad 1 tys. bramek w 31-letniej karierze. Parr była pionierką kobiecego futbolu w czasach, gdy dyscyplina była marginalizowana. Jej zespół przyciągał tłumy, np. mecz w 1920 r. oglądało 53 tys. kibiców. Wielką globalną gwiazdą była Marta Vieira da Silva (z Brazylii), uznawana za najlepszą piłkarkę w historii – zdobyła Złotą Piłkę FIFA sześć razy z rzędu. Znano ją z wirtuozowskiej techniki. Wielką gwiazdą była też Mia Hamm (USA) dwukrotna mistrzyni świata (1991, 1999) i dwukrotna złota medalistka olimpijska (1996, 2004). Gwiazdą o wielkim zasięgu była Birgit Prinz (Niemcy), trzykrotna zdobywczyni Złotej Piłki FIFA (2003–2005),

Fot. Leonard Zhukovsky/Shutterstock.com

eprasa.pl 9b8aaefe56

dwukrotna mistrzyni świata (2003, 2007) i trzykrotna brązowa medalistka olimpijska. Nie gorzej radziła sobie Alex Morgan (USA), mistrzyni świata (2015, 2019), złota medalistka olimpijska (2012). Ewa Pajor (Polska), królowa strzelczyń Bundesligi w barwach VfL Wolfsburg, a obecnie zawodniczka FC Barcelony, regularnie pojawiająca się w rankingach najlepszych piłkarek świata.

Poza futbolem kobiecy sport też nie jest parodią czy namiastką męskiego. Obecnie to kobiety bronią honoru polskiego sportu w wielu dyscyplinach, szczególnie podczas igrzysk olimpijskich. I rzecz chyba najważniejsza z punktu widzenia rozsławiania Polski na świecie: to tenisistka Iga Świątek jest obecnie jedyną globalnie znaną i najwyżej cenioną postacią z Polski w ogóle, nie tylko w sporcie.

IGA ŚWIĄTEK I POLSKIE „ZŁOTKA" OLIMPIJSKIE

Iga Świątek przez 125 tygodni była liderką światowego rankingu (co plasuje ją na siódmym miejscu w historii pod względem długości panowania na szczycie tej listy), a obecnie jest trzecia. To zwyciężczyni sześciu turniejów wielkiego szlema oraz 17 turniejów niższej rangi. Świątek jest trzecią najlepiej zarabiającą (z gry) w historii żeńskiego tenisa (40,52 mln USD) – za Sereną Williams (94,8 mln USD) oraz Venus Williams (42,6 mln USD). Jest rozpoznawalna i ceniona nie tylko dzięki swoim osiągnięciom sportowym, lecz także – w równym stopniu – jako globalna ikona. M.in. dzięki przyjaźni z największymi gwiazdami sportu na świecie, np. z bardzo popularnymi i utytułowanymi amerykańskimi narciarkami alpejskimi Mikaelą Shiffrin i Lindsey Vonn. Jest zaprzyjaźniona z legendą tenisa Rafaelem Nadalem – trenowała w jego akademii na Majorce, co odnotowano na świecie. Znają ją, cenią i wymieniają z nią widomości oraz opinie gwiazdy kina, np. nieżyjący już Matthew Perry, któremu globalną popularność przyniósł serial „Przyjaciele". Świątek ceni i daje temu wyraz (z wzajemnością) australijski kierowca Formuły 1 Oscar Piastri. W 2023 r. francuski kierowca Pierre Gasly rzucił Idze wyzwanie w mediach społecznościowych: kto złapie piłkę tenisową z zamkniętymi oczami. Iga wykonała to zadanie z humorem, dodając trudniejszą wersję ze skrzyżowanymi dłońmi. Informacje o tym obiegły światowe media. Dzięki sportowym osiągnięciom i wsparciu sław show-biznesu Iga Świątek stała się światową marką i ikoną.

W ostatnich kilkunastu latach Polki odnoszą większe sukcesy medalowe na letnich igrzyskach olimpijskich niż Polacy, co potwierdzają dane z ostatnich edycji igrzysk (Londyn 2012, Rio de Janeiro 2016, Tokio 2020, Paryż 2024). W Londynie Polska zdobyła 11 medali (2 złote, 2 srebrne, 7 brązowych), z czego kobiety wywalczyły 6 medali, w tym 1 złoty (Anita Włodarczyk w rzucie młotem) i 2 srebrne (Sylwia Bogacka – strzelectwo, sztafeta 4x200 m kobiet). Mężczyźni zdobyli 5 medali, w tym 1 złoty (Tomasz Majewski w pchnięciu kulą). W Rio de Janeiro Polska zdobyła 11 medali (2 złote, 3 srebrne, 6 brązowych), z czego kobiety wywalczyły 8, w tym 2 złote (Anita Włodarczyk w rzucie młotem oraz Magdalena Fularczyk-Kozłowska i Natalia Madaj w wioślarstwie). Mężczyźni zdobyli 3 medale i żadnego złotego. W Tokio Polska zdobyła 14 medali (4 złote, 5 srebrnych, 5 brązowych), a kobiety 9 z nich, w tym 3 złote (sztafeta mieszana 4x400 m z udziałem kobiet, Anita Włodarczyk w rzucie młotem, Natalia Kaczmarek z koleżankami w sztafecie 4x400 m). Mężczyźni zdobyli 5 medali, w tym 1 złoty (Dawid Tomala w chodzie sportowym). W Paryżu Polska zdobyła 10 medali (1 złoty, 4 srebrne, 5 brązowych), z czego kobiety aż 8, w tym 1 złoty (Aleksandra Mirosław we wspinaczce sportowej) oraz 3 srebrne (Daria Pikulik – kolarstwo, Klaudia Zwolińska – kajakarstwo górskie, Julia Szeremeta – boks). Mężczyźni zdobyli ledwie 2 medale (srebro w siatkówce, brąz w wioślarstwie). W Paryżu kobiety wypracowały 78 proc. dorobku medalowego, co jest rekordowym wynikiem w historii startów na letnich igrzyskach. Po 2010 r. kobiety odnoszą większe sukcesy medalowe zarówno pod względem liczby medali (31 wobec 15 mężczyzn), jak i złotych krążków (7 wobec 2). Już od 2004 r. polskie kobiety zdobywają więcej medali na letnich igrzyskach olimpijskich niż mężczyźni.

KOBIETY KONTRA MĘŻCZYŹNI

Mężczyźni mają przewagę w dyscyplinach wymagających siły, szybkości i mocy (np. podnoszenie ciężarów, sprinty), ze względu na większą masę mięśniową i szybsze włókna mięśniowe typu II. Kobiety świetnie sobie radzą w dyscyplinach wytrzymałościowych lub wymagających precyzji, np. w pływaniu – dzięki lepszej ekonomii ruchu, czy w strzelectwie sportowym. Mimo wielu sukcesów kobiecy sport jest mniej widoczny w mediach, a często wręcz bagatelizowany. Różnice fizyczne wpływają na wyniki, ale kobiety przełamują stereotypy, odnosząc sukcesy w wielu dyscyplinach, w tym tych uznawanych za „męskie" (np. strzelectwo, ultramaratony, kolarstwo). W 2024 r. Katarzyna Niewiadoma wygrała arcytrudny Tour de France Femmes, choć dystans jest krótszy, a liczba etapów mniejsza niż w wyścigu mężczyzn.

Rekord prędkości sprintu w piłce nożnej mężczyzn (Kylian Mbappé) to ok. 36 km/h, podczas gdy u kobiet (Sam Kerr) wynosi ok. 30 km/h. W piłce nożnej kobiety i mężczyźni osiągają porównywalny poziom w zakresie dryblingu, podań czy precyzji strzałów. Zawodniczki takie jak Alexia Putellas (dwukrotna zdobywczyni Złotej Piłki) czy Ewa Pajor demonstrują technikę na poziomie najlepszych mężczyzn. Analizy UEFA dowodzą, że precyzja podań w kobiecej Lidze Mistrzów (ok. 85 proc. w meczach topowych drużyn) jest zbliżona do męskiej (ok. 87 proc. w męskiej LM). Kobieca piłka nożna rozwija się w kierunku bardziej technicznego i pozycyjnego stylu gry, podobnego do męskiego. Drużyny takie jak FC Barcelona Femení czy reprezentacja Hiszpanii stosują zaawansowane schematy taktyczne (np. tiki-taka), które nie ustępują męskim odpowiednikom. Według danych FIFA (za 2023 r.) średnia liczba goli w kobiecych meczach na mistrzostwach świata wynosi 2,7 na spotkanie, a w męskich 2,5, co sugeruje podobny poziom skuteczności, choć różni się styl gry (kobiety strzelają

eprasa.pl 9b8aaefe56

Ewa Pajor, Katarzyna Niewiadoma i Anita Włodarczyk

więcej goli z dystansu, mężczyźni z akcji kombinacyjnych). Męska piłka nożna jest bardziej rozwinięta m.in. dzięki większym budżetom (np. Manchester City dysponuje 700 mln euro rocznie, podczas gdy porównywalna klasą i osiągnięciami FC Barcelona Femení – ok. 10 mln euro).

Z raportu „Sytuacja kobiet w polskim sporcie wyczynowym" (z 2020 r.) wynika, że kobiety nie są reprezentowane w kadrach narodowych w równym stopniu z mężczyznami. Obserwuje się natomiast „większy udział kobiet w kadrach narodowych niż w grupie osób uprawiających sport wyczynowy w Polsce". Ogółem wśród reprezentantów Polski kobiety stanowią 39 proc. zawodników należących do kadr narodowych. Udział kobiet w kadrach narodowych maleje wraz z wiekiem: w kategorii juniorskiej zawodniczki stanowią 41 proc. ogółu reprezentantów Polski, w kategorii młodzieżowej – 40 proc., a w kadrze narodowej seniorów – tylko 35 proc.

W grupie zawodników należących do kadry narodowej aż 68 proc. mężczyzn i tylko 31 proc. kobiet nie zauważa różnic w wysokości wynagrodzeń w zależności od płci. Bardzo duże różnice w wynagrodzeniu kobiet i mężczyzn w sporcie wyczynowym widoczne są w przypadku zawodniczek i zawodników z klubów lub drużyn występujących w Ekstralidze kobiet i PKO Ekstraklasie mężczyzn w piłce nożnej, Lidze Siatkówki Kobiet i PlusLidze mężczyzn, PGNiG Superlidze kobiet i mężczyzn w piłce ręcznej, Basket Lidze Kobiet i Energa Basket Lidze Mężczyzn. Te różnice wynikają przede wszystkim z wyników oglądalności i popularności poszczególnych lig wśród kibiców, co przekłada się na poziom zainteresowania sponsorów.

STEREOTYPY I MITY

Kobiety w sporcie są pokrzywdzone już na starcie, bowiem jednym z podstawowych stereotypów płciowych jest podział dyscyplin na „kobiece" i „męskie". W raporcie o sytuacji kobiet w sporcie wyczynowym możemy przeczytać, że „o ile mężczyźni nigdy nie postrzegają uprawianego przez siebie sportu jako »kobiecego«, o tyle w wypadku kobiet 51 proc. badanych deklaruje, że zdecydowanie lub raczej zgadza się ze stwierdzeniem, że uprawiany przez nią sport jest typowo »męski«".

Dominującym stereotypem płciowym funkcjonującym m.in. w Polsce i rzutującym na sytuację kobiet w sporcie jest przekonanie, że sport jest domeną mężczyzn. W przypadku zawodników co drugi badany uważa, że mężczyźni lepiej sprawdzają się w uprawianej przez nich dyscyplinie. Z kolei w grupie zawodniczek wyższość mężczyzn w ich sporcie dostrzega 28 proc. badanych. Rozpowszechnionym stereotypem dyskryminującym ze względu na płeć jest przekonanie, że sport kobiet ma być atrakcyjny wizualnie, czyli stosuje się tu kryterium ze świata rozrywki. Stereotypy o sporcie kobiet decydują m.in. o poziomie finansowania ze środków przekazywanych przez sponsorów – w efekcie mężczyźni dysponują większymi pieniędzmi. Zawodniczki „zmagają się też z przekonaniem opinii publicznej oraz środowiska sportowego co do wyższości sukcesów mężczyzn". Zarzuca się kobietom, że ze względu na ich mniejszą liczbę w sporcie łatwiej jest im otrzymać powołanie do kadry narodowej oraz uzyskiwać lepsze wyniki w zawodach.

W pracy „Sport kobiet – historia i współczesność" (wydanej w 2024 r.) można przeczytać: „Zakaz stadionowy, czyli wykluczenie kobiet z nowożytnej rywalizacji olimpijskiej, było zaprzeczeniem równouprawnienia, przejawem dominacji płci męskiej, a w szczególności świadectwem zabobonnej i szkodliwej społecznie ekspozycji wyższości etosu dżentelmena nad wartościami i oczekiwaniami sportowymi kobiet. Kobiety nie liczyły się, nie były brane pod uwagę jako ewentualne olimpijki-sportsmenki. Nie solidaryzowano się z ich sportowymi oczekiwaniami i dążeniami. Nie były przecież dżentelmenami. Podczas imprez olimpijskich mogły towarzyszyć dżentelmenom jako partnerki oraz uczestniczki życia rodzinnego: córki, narzeczone, mężatki, matki, rozwódki, wdowy czy teściowe – ale na trybunach".

Skutki olimpijskiego wykluczenia kobiet zniknęły dopiero 116 lat po inauguracji igrzysk w Atenach w 1896 r.: na igrzyskach w Londynie w 2012 r. Dopiero wówczas wszystkie państwowe ekipy olimpijskie miały w swoich reprezentacjach zawodniczki.

W Polsce ten problem praktycznie nie istniał, a pierwszy złoty medal olimpijski dla naszego kraju na letnich IO w Amsterdamie (1928) zdobyła Halina Konopacka (w rzucie dyskiem). Odegrała ona też wielką i chwalebną rolę w wywiezieniu z Polski złota (ok. 40 t) po agresji Niemiec w 1939 r. Konopacka była zapowiedzią wielkich sukcesów polskich kobiet w sporcie, co obecnie jest chyba najbardziej widoczne. Innymi słowy – kobiety górą.

Fot. Mikołaj Barbanell/Shutterstock.com, ErreRoberto/Shutterstock.com, g.garitan

eprasa.pl 9b8aaefe56

SŁODKO-SŁONY

Sen o grzybach

ANNA MONICKA

Pierwsza jajecznica z kurkami już za mną. Na spacerze w lesie, na jakiejś niewinnie wyglądającej górce nad ukrytym wśród buków jeziorkiem, moja córka nagle wydała dziki wrzask i padła na kolana. Myślałam, że zaplątała się w pajęczynę albo nadepnęła na żmiję, więc pędem ruszyłam w jej kierunku.

Okazało się jednak, że był to okrzyk szczęścia. Nigdy wcześniej nie znalazła tylu prawdziwków! Dosłownie wdepnęła w składającą się z kilkunastu okazów rodzinkę i za jednym zamachem pośpiesznie zapełniła drżącymi z podniecenia rękami wyciągniętą torbę. Wiem, że grzybów nie powinno się zbierać do plastiku, żeby się nie kisiły, ale nie miałyśmy koszyka, bo nie spodziewałyśmy się, że cokolwiek znajdziemy. Oczywiście poza piórami, które namiętnie kolekcjonuję. Jest tragicznie sucho i nie zmieniają tego nawet kilkugodzinne ulewy, więc miał to być po prostu spacerek, żeby nacieszyć się zapachem puszczy. Jednak po odkryciu mojej córki cała nasza rodzinna wycieczka rozpierzchła się niczym psy gończe. Zaczęliśmy wypatrywać kępek mchu, zwalonych pni, świetlistych polanek. I każdy coś znalazł, chociaż już nie tak spektakularnego. W sumie – ze 3 kg samych borowików.

Kilka minut później moje dziecko znowu się darło. Tym razem pod dywanem z bukowych liści błysnęło jej coś pomarańczowego. I dopiero wtedy zaczęły się żniwa, bo kurki rosną całymi koloniami, a my weszliśmy chyba w jakiś „czarci krąg". Trzeba było bardzo uważać, żeby nie zniszczyć podziemnej grzybni, która wyraźnie już się obudziła z letargu i zataczała pod liśćmi koła ze sporym rozmachem.

Przeczesaliśmy spory kawałek lasu, ale grzyby były tylko w tym jednym miejscu. Po powrocie do domu zrobiłam sobie mapkę, żeby zapamiętać przepiękną buczynę. Po wyszorowaniu zbiorów i odcięciu robaczywych korzeni i tak przywiozłam pięć sporych słoików. A zapach i smak pierwszej jajecznicy z kurkami śni mi się w nocy – to było wspaniałe zwieńczenie urlopu, a może i zapowiedź wyjątkowo grzybnej jesieni.

Przepis na jajecznicę jest prosty. Oczyszczone kurki podsmażamy na maśle z cebulą – wystarczy 10–15 min, żeby odparowała woda. Wbijamy jajka, mieszamy, aż się zetną i na koniec solimy do smaku. Posypujemy natką i gotowe. Czas w las!

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Gęsi na ściernisku

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jadąc niedawno na północ autostradą A1, miałem okazję ujrzeć scenę przyrodniczą z rodzaju takich, jakie często rozgrywają się niedostrzeżone, a których świadkami i uczestnikami są „tylko orły, jastrzębie, kruki i zwierz polny".

Ponieważ musiałem uważać na drogę, scena mignęła mi tylko przez chwilę, pozostawiając jednak silne wrażenie. Pozwolę sobie jeszcze raz posłużyć się cytatem, bo pasuje jak ulał. „Słońce zachodziło właśnie, a czerwonawe jego promienie rozświetlały okolicę pustą zupełnie". Albo prawie zupełnie. Za ogrodzeniem autostrady rozciągało się pole – ściernisko po zbiorach zbóż. Właśnie tam w gasnącym świetle zachodu, w zasadzie bardziej półmroku, przysiadło stado dzikich gęsi – zapewne zbożowych lub tundrowych, ptaków północnej Eurazji, niezakładających u nas gniazd, ale licznych na przelotach i zimowiskach.

Ścierniska, na których pośród kłujących źdźbeł pozostaje dużo ziarna, są dla roślinożernych gęsi atrakcyjnym żerowiskiem. Zapewne zamierzały spędzić tam krótką letnią noc. Można sobie wyobrazić, jak stopniowo kończą żerowanie i drzemiąc czujnie, czekają, czasem z cicha gęgając, aż niebo zacznie jaśnieć jeszcze przed wschodem słońca, żeby strząsnąć z piór rosę, pokręcić się chwilę i nagle zerwać do lotu w chłodzie sierpniowego przedświtu. Aby dopełnić trylogicznego wrażenia, do tego ptactwa i tych pól można dodać dwie sarny, „zwierza polnego", które pasły się w pobliżu stada gęsi – niby obojętne, ale w oczywisty sposób również zainteresowane gośćmi z dalekich stron.

Wieczór na autostradzie był okazją do jeszcze jednej obserwacji, tym razem zjawiska nietypowego i bardzo chyba nowego. Widywałem zresztą niejeden raz – lecz po raz pierwszy niedawno w zeszłym roku – coś, co bardzo szybko staje się regułą. Latarnie wzdłuż autostrad są noclegowiskiem bocianów białych. Niekiedy nawet na kilku latarniach z rzędu, czasem, gdy jest jeszcze całkiem jasno, zasiadają bociany – stają swoim zwyczajem na jednej nodze i szykują się na nocleg na tym niedostępnym stanowisku. Wyglądają przy tym jak nocujące na akacjach pośród sawanny marabuty, z którymi są zresztą spokrewnione, i stają się dowodem na to, jak przyroda adaptuje, zasiedla i włącza w ekosystem miejsca stworzone przez człowieka.

eprasa.pl 9b8aaefe56

OGNIEM NA WPROST

Stajnia Augiasza Kijowa

Andrzej Rafał Potocki

Nie jest żadną tajemnicą, że Ukraina to państwo skorumpowane. Skala nadużyć mieści się gdzieś między Moskwą a Unią Europejską. Jednak ostatnia afera wstrząsnęła krajem i rządem Wołodymyra Zełenskiego, a według niektórych analityków może zagrozić samemu prezydentowi. Sprawa nie jest jednak tak jednoznaczna, jakby się mogło wydawać. Zaczęło się od zatrzymania grupy agentów i pracowników ukraińskiego CBA, czyli NABU (Narodowe Antykorupcyjne Biuro Ukrainy) przez Służbę Bezpieczeństwa Ukrainy (SBU), wśród nich dyrektora jednego z departamentów śledczych Rusłana Mahamedrasułowa. Miał on ułatwić sprzedaż objętej sankcjami technologii jego teściowi, który jest... obywatelem Federacji Moskiewskiej i mieszka w Dagestanie. Przymknięto także Wiktora Husarowa, funkcjonariusza elitarnego i supertajnego wydziału D-2 (podległego NABU). Jego „opiekunem" miał być Dmytro Iwancow, zastępca szefa bezpieki za czasów Janukowycza, zwerbowany na Krymie przez ruską FSB. Ciekawostką jest to, że w NABU pracuje wielu ludzi związanych z promoskiewską parlamentarną Platformą Opozycyjną – Za Życiem. Szefostwo NABU wszystkiemu zaprzecza. Jednocześnie agenci SBU wparowali do SAP, czyli Specjalnej Prokuratury Antykorupcyjnej, by „skontrolować przestrzeganie tajemnicy państwowej". W ramach kontrakcji NABU ujawniło, że prowadzi sprawę karną przeciw funkcjonariuszom SBU, którzy brali kasę od organizatorów ucieczek dezerterów za granicę na kwotę 300 tys. dol. w zamian za wyciszenie sprawy. Choć sąd nie podjął jeszcze żadnej decyzji w tej sprawie, to zatrzymani przez SBU funkcjonariusze NABU kiblują w areszcie. Złapał Kozak Tatarzyna...

Kontrowersyjne działania NABU i SAP odbiły się kryzysem na froncie. Według Wasyla Maluka, szefa SBU, w maju br. po nalocie służb antykorupcyjnych na dom dowódcy Gwardii Narodowej Ukrainy Ołeksandra Piwnienki wybuchł bunt w jednostkach. „Jak można iść do dowódcy Gwardii Narodowej, bohatera Ukrainy, gen. Piwnienki, i go przeszukać? A potem rozgłaszać to wszystko na kanałach Telegramu? Połowa Gwardii Narodowej złożyła broń, nie chciała wykonywać zadań, bo wątpili, jakim jest dowódcą. A druga połowa chciała jechać do Kijowa, siłą ratować dobre imię dowódcy" – powiedział Maluk, dodając, że Piwnience nie postawiono żadnych zarzutów. Jakby tego było mało, do zadymy wtrąciła się Werhowna Rada (parlament). Szybko została przegłosowana ustawa (miażdżącą większością głosów) rozbijająca służby antykorupcyjne. Posłowie wszystkich opcji zagłosowali tutaj wyjątkowo zgodnie, także ci, którzy na co dzień się nienawidzą i zawzięcie zwalczają. Jeszcze tego samego dnia ustawę podpisał prezydent Zełenski, co spotkało się ze sprzeciwem szefów NABU i SAP. Wojsko też się ucieszyło, bowiem na co dzień NABU i SAP, zamiast pomagać, raczej przeszkadzały, a wiadomo, że w warunkach wojennych potrzebne środki i materiały zdobywa się wszelkimi, nie zawsze praworządnymi metodami.

W tym kompetencyjnym bardaku obca agentura może się poruszać bez większych trudności. Podobna sytuacja była w Etiopii przed komunistycznym przewrotem, w ostatnich latach panowania Hajlego Syllasjego. Sowiecki wywiad bez trudu zinfiltrował etiopską armię, bo służby były bardziej zajęte podkopywaniem siebie nawzajem niż ochroną państwa. Włączenie NABU i SAP w struktury administracyjne powoduje faktyczną likwidację tych instytucji i nawet jeśli nie dojdzie do umorzenia prowadzonych przez nie postępowań, to zostaną one sparaliżowane na miesiące. Szef SBU Wasyl Maluk przekonuje, że niczego nie zlikwidowano, a tylko przywrócono porządek zgodny z konstytucją. Pożar próbuje gasić też Zełenski, ale słabo mu to wychodzi, bowiem wiele wskazuje na to, że w sprawę umoczone są osoby ze środowiska prezydenta włącznie z nim. Likwidacja NABU i SAP nie jest dobrym sygnałem w kontekście europejskich i NATO-wskich aspiracji Ukrainy. Liczba Ukraińców widzących europejskie perspektywy swojego kraju dramatycznie spada. Kunktatorstwo europejskich państw daje efekty. Ostatnio Ukraina dostała bowiem wiele sygnałów, że na NATO nie ma co liczyć, a i wstąpienie do UE stoi pod znakiem zapytania. Kijowowi powoli przestaje zależeć na europejskim uznaniu. Ukraińskim oligarchom wstąpienie do Unii do niczego nie jest potrzebne. Kremlowskie kanały podbijają konflikt, podkreślając z jednej strony, że „złodzieje od Zełenskiego zlikwidowali instytucję, która patrzyła władzy na ręce", a z drugiej akcentują, że NABU i SAP były narzędziem „amerykańskiej kontroli nad Ukrainą". Władze w Kijowie nie miały tu dobrego ruchu, bo albo zostawiają sobie na tyłach w newralgicznym obszarze jawnie działającą moskiewską agenturę, albo wywołują skandal. Tak czy inaczej są ugotowani. Bo i tak źle, i tak niedobrze.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9b8aaefe56

Michał Korsun prezentuje:
Żona polskiego astronauty i jej mąż

Wycinki z przeszłości

Transmitowane na żywo sztaby żniwne z udziałem najwyższych władz, raporty o postępach w zbiorach poszczególnych upraw, mobilizacja studentów, żołnierzy, pracowników sfery budżetowej do pomocy – tak wyglądało to w okresie PRL, a dziś jeszcze na Białorusi. Choć i tam jest to uważane przez ludzi za dziwactwo dyktatora, byłego przewodniczącego kołchozu. W Polsce i na Zachodzie żniwa przechodzą niezauważalnie. To normalne, ale o ciężkiej pracy rolników trzeba pamiętać, należy im się szacunek i podziękowanie. Doceniajmy, że w tak niestabilnych czasach dzięki nim mamy zapewnione bezpieczeństwo żywnościowe i jeszcze potężny eksport. Dlatego w naszym kąciku specjalnie dla pracujących przy żniwach dwie przedwojenne ilustracje z pisma „Kobieta w świecie i domu" oraz magazynu „PLON". Prawda, że piękne?

(mk)

Z WOLEJA

O dniu ów...

Ryszard Czarnecki

Kibice często wzdychają: „Kiedyś, panie, to były sukcesy!". Cóż, mają sporo racji – i też jej trochę nie mają.

Jednak 18 sierpnia – a więc dzień, w którym ukazuje się ten numer tygodnika „Sieci" – zapisał się w historii polskiego sportu złotymi zgłoskami. Niedawno pisałem w tym miejscu o Kevinie Youngu, amerykańskim mistrzu olimpijskim z Barcelony (1992), którego rekord świata na 400 m przez płotki przetrwał 29 lat. Jego polskim odpowiednikiem jest Artur Partyka, wicemistrz olimpijski w skoku wzwyż z Atlanty (1996). Jego rekord też ma 29 lat: 18 sierpnia 1996 r. na mityngu w Niemczech skoczył 2,38 m. Jest jednym z dwóch najbardziej utytułowanych skoczków wzwyż w historii Polski – obok Jacka Wszoły, mistrza olimpijskiego z Montrealu (1976) i wicemistrza olimpijskiego z Moskwy (1980). Wtedy na IO w ZSRR Polaka wyprzedził niemiecki kucharz Gerd Wessig, który nigdy wcześniej ani później niczego poważnego nie zdobył i wśród specjalistów powszechne jest przekonanie, że był wtedy naszprycowany dopingiem – jak olbrzymia większość reprezentantów komunistycznej NRD w sportach letnich i zimowych.

Też 18 sierpnia, tyle że 2004 r., Polska zdobyła swój pierwszy – i ostatni – złoty medal olimpijski w pływaniu. „Mazurka Dąbrowskiego" wysłuchała Otylia Jędrzejczak za wygraną na 200 m motylkiem. Stało się to w Atenach. Byłem na tych igrzyskach. Widząc w ich przeddzień nerwowo krzątających się wokół obiektów olimpijskich Greków, nie do końca wierzyłem, że 108 lat po pierwszych nowożytnych IO w tym kraju zawody się udadzą. A jednak Hellada jako organizator igrzysk spisała się świetnie – znacznie lepiej niż jako członek strefy euro. Zaś Biało-Czerwoni wciąż marzą o medalu olimpijskim w pływaniu, są blisko, ale ostatecznie krążki z wody wyciągają inne nacje.

I znów 18 sierpnia – dokładnie 17 lat temu – Biało-Czerwoni wywalczyli swoje pierwsze – i ostatnie – złoto olimpijskie w gimnastyce. Dokonał tego Leszek Blanik w efektownej konkurencji skok przez konia. Dzisiaj polscy gimnastycy są dalej od olimpijskiego medalu niż nasi pływacy. Ale kto wie, może za trzy lata w Los Angeles o medal nie powalczą nasze filigranowe specjalistki od gimnastyki artystycznej, lecz reprezentanci gimnastyki sportowej.

I jak tu nie przyznać racji kibicom, którzy mówią, że kiedyś to nasi lali innych...

Wigilia 18 sierpnia to dla mnie również wyjątkowa data, bo to dzień urodzin mojej śp. Mamy. Nie ma jej już od 20 lat, ale wciąż przecież jest. Tak jak każda prawdziwa mama.

cprasa.pl 9b8aaefe56

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Tygodnik dla ludzi na poziomie

Spotkaliście kiedyś osoby uważające się za „ludzi na poziomie", bo regularnie czytają tygodnik „Polityka"? Pod wieloma względami to bardzo dobry periodyk. Publikuje sporo wartościowych tekstów. Od dekad z powodzeniem mebluje głowy części Polaków. Jego sukces wynika m.in. z tego, że wielu czytelników postrzega jego przekaz jako rzetelny i obiektywny. Niestety to tylko pozór.

TO W KOŃCU BYŁ „BOLKIEM"?

Czytamy artykuł prezentujący sylwetkę Sławomira Cenckiewicza, którego prezydent elekt wyznaczył na szefa BBN („Polityka" z 16 lipca 2025 r.). Sylwetka jak sylwetka, fakty przeplatają się z insynuacjami. Normalka. Zatem nie o sposobie prezentacji Sławomira Cenckiewicza dziś tu piszemy.

ANATOMIA MANIPULACJI

Autorka tekstu Katarzyna Kaczorowska pisze, że historyk Cenckiewicz ma sympatie ideowo-polityczne: „Te sympatie są wyraźne – to chociażby Anna Walentynowicz, której przyszły szef BBN poświęcił książkę »Anna Solidarność«. Już sam tytuł stawiał Walentynowicz w wyraźnej opozycji wobec Lecha Wałęsy, którego w swojej najgłośniejszej książce »SB a Lech Wałęsa« Cenckiewicz przedstawił jako współpracownika służb PRL".

Przeczytajcie to uważnie: autorka nie wspomina, że Cenckiewicz naukowo udowodnił agenturalność Wałęsy, i to na długo przed ujawnieniem bezpośrednich dowodów, czyli teczek TW „Bolka" z oryginalnymi podpisami Wałęsy.

Nie, redaktor Kaczorowska napisała, że Wałęsę „Cenckiewicz przedstawił jako współpracownika służb PRL". Ot, mógł przecież, kierując się swoimi sympatiami, przedstawić nie fakty, a tylko swoje widzimisię! A gdyby czytelnik „Polityki" nadal nie wyrobił sobie właściwego poglądu, to dowie się, że w procesie lustracyjnym „sąd w 2000 r. wydał wyrok, że Lech Wałęsa nie był tajnym współpracownikiem SB".

Do czego służy fałszowanie naszej historii poprzez podtrzymywanie zamętu wokół postaci Lecha Wałęsy?

Wszystko, co zacytowaliśmy z tekstu Kaczorowskiej, to przecież prawda. Faktycznie – Cenckiewicz przedstawia tak Wałęsę w swej książce, a sąd wydał takie orzeczenie. Więc co nie gra?

Otóż takie ujęcie sugeruje, jakoby agenturalność Wałęsy była jedynie interpretacją Cenckiewicza, a nie faktem potwierdzonym przez IPN oraz biegłych grafologów. Czytelnik „Polityki" nie dowie się też, że Piotr Gontarczyk, współautor książki „SB a Lech Wałęsa", w swojej części książki przekonująco wykazał nieprawidłowości, których w 2000 r. dopuścił się sąd lustracyjny.

Nie dowie się, iż żaden poważny historyk nie uważa, że Cenckiewicz fałszywie przedstawił Wałęsę jako donosiciela TW „Bolka" w swoich publikacjach. Dlatego w lipcu 2024 r. Karol Nawrocki, występując w podcaście Anity Gargas, powiedział: „Nie ma chyba bardziej ugruntowanej naukowo agenturalności niż kwestia Lecha Wałęsy, czyli tajnego współpracownika o pseudonimie »Bolek«". I redakcja „Polityki" dobrze to wie. Ale jednak udaje, że jest inaczej.

Oczywiście trwają spory o całościową ocenę roli Wałęsy w rewolucji Solidarności, ale to zupełnie co innego niż podważanie tez bazujących na solidnym materiale dowodowym.

DLACZEGO W TO BRNĄ?

Odpowiedź na to pytanie pozwoli nam lepiej zrozumieć naturę III RP i całej postokrągłostołowej formacji polityczno-kulturowej, która zachowuje w Polsce spore wpływy.

Chodzi o utrwalanie fałszywych schematów w umysłach milionów zmanipulowanych osób, by odebrać im umiejętność rozróżniania prawdy od fałszu, a w konsekwencji dobra od zła. Znalazło to rażący wyraz w manifestacjach tzw. Komitetu Obrony Demokracji, gdy na manifestacji niektóre osoby z własnej woli fotografowały się z podsuniętymi im przez „Wyborczą" plakatami z napisem „Jestem TW »Bolek«".

Takimi ludźmi łatwiej manipulować. Co z tego, że na pierwszy rzut oka tygodnik „Polityka" nie narusza zasad dziennikarskiej rzetelności? Wystarczy, że przedstawia informacje w sposób wyraźnie prowadzący do fałszywych interpretacji.

Do czego służy fałszowanie naszej historii poprzez podtrzymywanie zamętu wokół postaci Wałęsy? Chodzi m.in. o to, by pozbawić naszą wspólnotę tego fundamentu racjonalnej rozmowy, którym są niepodważalne fakty.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl 9b8aaefe56

„Zbudujmy razem studio z widokiem na Polskę. Bo niezależne media to nasza wspólna sprawa".

ZBIERAMY NA NOWE STUDIO TELEWIZYJNE

numer konta:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577
tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**

CEL: 1 000 000 zł **WESPRZYJ patriotyczne media**

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

telewizja naziemna	CANAL+	netia	orange	vectra	polsat box	PLAY (dawniej upc)	inea	TOYA	evio
52	62	192	32	825	196	65	459	631	43

eprasa.pl 9b8aaefe56

Czytaj nas w najlepszej cenie!

Teraz **tylko 7,35 zł** za jedno wydanie (w prenumeracie rocznej), podczas gdy cena w kiosku to **12,90 zł**.

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1

Wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
cena prenumeraty	118 zł	207 zł	**375 zł** NAJLEPSZY WYBÓR
cena w kiosku	~~167,70 zł~~	~~322,50 zł~~	~~657,90 zł~~

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00 (poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2

Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na poczcie:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty: .....

.....

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota: .....

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)

eprasa.pl-9b8aaefe56